

JULES VERNE

LATARNIA NA KOŃCU ŚWIATA

TŁUMACZYŁA JANINA KARCMAREWICZ–FEDOROWSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU LE PHARE DU BOUT DU MONDE

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy Inauguracja latarni moeskiej	2
Rozdział drugi Wyspa Stanów	7
Rozdział trzeci Trzej latarnicy	11
Rozdział czwarty Kongre i jego szajka	16
Rozdział piąty Szkuner “Maule”	22
Rozdział szósty Zatoka Elgar	27
Rozdział siódmy Grota.....	32
Rozdział ósmy Naprawa szkunera	37
Rozdział dziewiąty Vasquez.....	42
Rozdział dziesiąty Po katastrofie statku.....	47
Rozdział jedenasty Rabusie wraków	52
Rozdział dwunasty Wypływając z zatoki.....	58
Rozdział trzynasty Następne trzy dni	63
Zakończenie.....	76

ROZDZIAŁ PIERWSZY

INAUGURACJA LATARNI MOESKIEJ

Słońce chowało się już za wzgórzami zamykającymi horyzont na zachodzie. Była piękna pogoda. Po przeciwnej stronie widnokregu, ponad morzem zlewającym się z niebem na północnym wschodzie i na wschodzie, w paru chmurkach odbijały się ostatnie promienie, które miały niebawem zgasnąć w cieniach mroku trwającego dość długo na tej szerokości geograficznej, na pięćdziesiątym piątym równoleżniku południowej półkuli. W chwili kiedy skrył się górny rąbek tarczy słonecznej, na pokładzie awiza* "Santa Fé" rozległ się wystrzał armatni i rozwijająca się na wietrze bandera Republiki Argentyńskiej została wciągnięta na gafel bezanmasztu.

W tej samej sekundzie rozbłysło światło na szczycie morskiej latarni zbudowanej w zasięgu strzału karabinowego w głębi zatoki Elgor, w której okręt był zakotwiczony. Dwaj latarnicy, robotnicy zebrani na nabrzeżu oraz załoga zgromadzona na dziobie okrętu powitali gromkimi okrzykami pierwsze światło, które zapłonęło na tym dalekim skrawku ziemi.

Odpowiedzią na te okrzyki były dwa dalsze strzały armatnie, kilkakrotnie rozgłośnie powtórzone przez echo na wybrzeżu. Bandera na awizie została wówczas ściągnięta, zgodnie z regulaminem obowiązującym okręty wojenne, i cisza zapanowała znowu na Wyspie Stanów, położonej w miejscu, gdzie zlewają się wody Atlantyku i Pacyfiku.

Robotnicy natychmiast weszli na pokład "Santa Fé" i na lądzie pozostali tylko trzech latarnicy.

Jeden był na posterunku w pokoju wachtowym, a dwaj jego koledzy, zamiast wrócić do mieszkania, spacerowali gawędząc wzdłuż brzegu.

— A więc już jutro awizo wyjdzie w morze, Vasquez — powiedział młodszy.

— To prawda, Felipe — przytaknął Vasquez — i mam nadzieję, że nie będzie miał zbyt przykrego rejsu wracając do domu.

— Daleka to droga, Vasquez!

— Nie jest dalsza, jak się wraca, niż jak się przybywa, Felipe.

— Mam pewne wątpliwości — odparł ze śmiechem Felipe.

— A nawet, mój chłopcze — ciągnął dalej nie zrażony tym Vasquez — nieraz trzeba dłużej płynąć w tę stronę niż z powrotem, chyba że się złapie pomyślny wiatr. W końcu tysiąc pięćset mil to nie jest Bóg wie ile, jeśli statek posiada dobrą maszynę i dobrze idzie pod żaglami.

— W dodatku kapitan Lafayate zna świetnie drogę...

— Która jest prosta jak strzełił, mój chłopcze. Wziął kurs na południe, żeby tu dopłynąć, teraz weźmie kurs na północ, żeby wrócić, a jeżeli wiatr nadal będzie dmuchał od lądu, to znajdzie się pod osłoną ziemi i pożegluje jak po rzece.

— Tak, ale po rzece posiadającej zaledwie jeden brzeg.

— To nie ma znaczenia, jeżeli to jest dobry brzeg, a jest on zawsze dobry, gdy się go ma po nawietrznej.

— Racja — przyznał Felipe. — Ale co będzie, jeśli wiatr przeskoczy z jednej burty na drugą?

— To byłby nieszczęśliwy przypadek, Felipe, ale miejmy nadzieję, że wiatr nie obróci się przeciwko "Santa Fé". W ciągu piętnastu dni statek może przebyć te swoje tysiąc pięćset mil i rzucić kotwicę na redzie w Buenos Aires...

— Bo ani od strony lądu, ani od morza nie znajdzie żadnego portu, żeby się schronić!

* Awizo — mały okręt wojenny do służby patrolowej i pomocniczej.

— Tak jest, jak mówisz, mój chłopcze. Ziemia Ognista czy Patagonia, nigdzie najmniejszej ostoi. Trzeba pruć na otwarty ocean, żeby się nie dać przy dusić do brzegu!

— No, ale według mnie, Vasquez, wygląda na to, że pogoda się utrzyma.

— Takie jest też i moje zdanie, Felipe. Przecież jesteśmy prawie u progu pięknej pory roku... Perspektywa trzech miesięcy — to bardzo wiele...

— Tak, prace zostały zakończone w dobrej chwili — przerwał Felipe.

— Wiem o tym, mój chłopcze, wiem, na początku grudnia. To tak jak by powiedzieli marynarze z północy — na początku czerwca. O tej porze roku stają się coraz rzadsze te pieskie szkwały, które bez ceremonii potrafią równie dobrze zdmuchnąć statek na pełne morze, jak i zerwać człowiekowi z głowy züdwestkę!... A zresztą, dopóki "Santa Fé" jest w porcie, wiatr może dać i gwizdać, i wściekać się, ile tylko sam diabeł zapragnie! Nie ma obawy, żeby nasza wyspa poszła na dno razem ze swoją latarnią!

— Tak, tak, na pewno, Vasquez. Gdy awizo zawiezie od nas ukłony do domu i wróci tutaj ze zmianą warty...

— Za trzy miesiące, Felipe...

— To zastanie wyspę na swoim miejscu...

— I nas na niej — Vasquez zatarł ręce i wypuścił z fajki kłęb dymu, który go otulił gęstą chmurą. — Widzisz, chłopcze, tutaj nie jesteśmy na pokładzie statku gnanego przez wichry tam i z powrotem, a skoro to ma być statek, to jest mocno zakotwiczony na ogonie Ameryki i kotwica nie wyrwie się z dna... Zgadzam się, że te strony nie są gościnne, a ocean wokół przylądka Horn zasłużył sobie na złą reputację! To fakt, że nie dałoby się policzyć statków, które zatoneły przy Wyspie Stanów, a rabusie wraków nie mogliby wybrać sobie lepszego zajęcia dla nabijania kabzy. Ale to wszystko się zmieni, Felipe! Oto bowiem stoi teraz na Wyspie Stanów latarnia morska i nie ma takiego huraganu, nawet gdyby dał ze wszystkich zakamarków nieba, któremu udałoby się jej światło zdmuchnąć! Statki dojrzą je na czas, żeby skorygować kurs! Będą się na nie kierować nie ryzykując, że wpadną na skały przylądka San Juan, cypla Diegos albo cypla Fallows, i to nawet wśród najczarniejszej nocy! To my właśnie będziemy oświetlać drogę tą naszą pochodnią i nie wypuścimy jej z garści!

Na zakończenie Vasquez dorzucił:

— Widzisz, mój chłopcze, ja przez czterdzieści lat przemierzałem wszystkie morza Starego i Nowego Kontynentu, najpierw jako chłopak okrętowy, nowicjusz, potem jako marynarz, wreszcie jako bosman. No, a teraz, kiedy pora iść na emeryturę, nie mógłbym sobie wymarzyć nic lepszego niż stanowisko strażnika latarni morskiej, i to jakiej! Latarni na Końcu Świata!

Tak, zaiste, nazwa ta była najzupełniej usprawiedliwiona dla latarni zbudowanej na krańcu wyspy zagubionej na oceanie daleko od wszelkiego lądu zamieszkanego czy nadającego się do zamieszkania.

— Powiedz no mi, Felipe — odezwał się ponownie Vasquez, wytrząsając popiół z fajki do swojej dłoni — o której zluzujesz Moriza?

— O dziesiątej.

— Dobrze, a o drugiej nad ranem na mnie przyjdzie kolej objąć posterunek aż do świtu.

— Zgoda, Vasquez. Toteż najmądrzejsza rzecz, jaką możemy zrobić, to położyć się spać.

— Do łóżka, Felipe, do łóżka!

Vasquez i Felipe wspięli się na zagrodzony placzyk, pośrodku którego wznosiła się latarnia morska, i weszli do mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Noc minęła spokojnie. Kiedy wstawał świt, Vasquez zgasił latarnię płonąca od dwunastu godzin. Przypląwy, zazwyczaj słabe na Pacyfiku, zwłaszcza wzdłuż wybrzeży Ameryki i Azji omywanych przez ten ogromny ocean, są bardzo silne na Atlantyku i dają się gwałtownie odczuwać nawet w odległych okolicach Magellania.

Tego dnia odpływ zaczynał się o szóstej rano, toteż awizo, żeby zeń skorzystać, powinien był szykować się do odbicia od brzegu już skoro świt. Ale ponieważ przygotowania nie zostały całkowicie zakończone, kapitan postanowił wyjść z zatoki Elgor dopiero przy wieczornym odpływie.

Statek "Santa Fé", należący do marynarki wojennej Republiki Argentyńskiej, miał dwieście ton wyporności, maszynę o sile stu sześćdziesięciu koni, a dowodził nim kapitan wraz z pierwszym oficerem, mając pod rozkazami pięćdziesiąt osób załogi razem z bosmanami; okręt był przeznaczony do patrolowania brzegów począwszy od ujścia Rio de la Plata aż do Cieśniny Le Maire'a na Oceanie Atlantyckim. Poruszany śrubą "Santa Fé" robił nie więcej niż dziewięć mil na godzinę, ale była to prędkość wystarczająca dla policji patrolującej wybrzeża Patagonii i Ziemi Ognistej, odwiedzane wyłącznie przez statki rybackie.

W tym roku awizo otrzymał zadanie nadzorowania prac związanych z budową latarni morskiej, którą rząd argentyński stawiał przy wejściu do Cieśniny Le Maire'a. Na jego to pokładzie zostali przetransportowani robotnicy oraz przewiezione materiały niezbędne do prac budowlanych, właśnie zakończonych pomyślnie według planów doświadczonego inżyniera z Buenos Aires.

Już od trzech tygodni "Santa Fé" stał na kotwicy w głębi zatoki Elgor. Po wyładowaniu zapasów na cztery miesiące i upewnieniu się, że strażnikom nowej latarni morskiej niczego nie zabraknie do chwili zmiany warty, kapitan Lafayate zamierzał odwiedzić do domu robotników przysłanych na Wyspę Stanów. Gdyby pewne nieprzewidziane okoliczności nie opóźniły prac, okręt powinien był właściwie już miesiąc temu znaleźć się z powrotem w swoim macierzystym porcie.

Była siódma, kiedy kapitan Lafayate i pierwszy oficer Riegal wyszli ze swoich kabin położonych w kasztele rufowym awiza. Marynarze kończyli szorowanie pokładu i ostatnie strugi wody uciekały spod szwaber przez szpigaty. Jednocześnie starszy bosman krzątał się wydając dyspozycje, żeby wszystko było w pogotowiu na moment odjazdu. Chociaż miało to nastąpić dopiero po południu, z żagli zdejmowano pokrowce, czyszczono wentylatory, pucowano mosiężne części naktuza i okratowań, zawieszano dużą łódź na szlupbelkach, pozostawiając mniejszą na wodzie dla połączenia z wyspą.

Gdy słońce weszło, na gafel bezanmasztu wciągnięto banderę.

W trzy kwadranse później dzwon na dziobie wybił cztery szklanki i marynarze rozpoczęli kolejną wachtę.

Po wspólnym śniadaniu obydwaj oficerowie znowu weszli na mostek, uważnie przyjrzeni się niebu, które wiatr wiejący od lądu oczyścił trochę z chmur, i kapitan dał rozkaz bosmanowi, żeby ich zawieziono na brzeg.

Tego ranka dowódca okrętu zamierzał dokonać ostatniej inspekcji latarni i przybudówek — pomieszczeń dla latarników oraz magazynów żywności i paliwa — no i sprawdzić prawidłowe funkcjonowanie aparatury.

W asyście pierwszego oficera zszedł na ląd i skierował kroki w stronę ogrodzonego terenu latarni.

W drodze ogarnęła ich obawa o los trzech strażników, którzy mieli pozostać w tej ponurej samotni na Wyspie Stanów.

— Trudna to służba — odezwał się kapitan. — Trzeba jednak uwzględnić i to, że ci dzielni ludzie przez całe życie wiedli bardzo ciężką egzystencję, bo przecież rekrutują się przeważnie z dawnych marynarzy. Dla nich obsługa latarni morskiej jest nawet pewnego rodzaju wypoczynkiem.

— Oczywiście — odrzekł Riegal — ale co innego być latarni — Idem gdzieś na uczęszczanych szlakach, mając łatwą komunikację z lądem, a co innego mieszkać na bezludnej wyspie, którą statki tylko rozpoznają, i to możliwie z jak największej odległości.

— Zgadzam się z panem, Riegal. Ale zmiana latarników nastąpi już za trzy miesiące. Vasquez, Felipe i Moriz rozpoczynają służbę w najmniej dokuczliwym sezonie.

— Słusznie, panie kapitanie, i nie będą musieli doświadczyć na sobie tej potwornej zimy, z jakich słynie przylądek Horn...

— Tak, zimy są tu straszne. Odkąd przed paroma laty przeprowadzaliśmy rekonesans w cieśninie, na Ziemi Ognistej i Ziemi Rozpaczy w Archipelagu Kerguelena, od Przylądka Dziewic do przylądka Filar, nic mi już nie jest w stanie zaimponować, jeśli chodzi o rozszalałe żywioły. Ale w końcu nasi latarnicy mają solidny dom, którego nie są w stanie zniszczyć żadne wichury. Nie zabraknie im ani żywności, ani węgla, nawet gdyby ich służba miała się przedłużyć o parę miesięcy. Pozostawiamy ich w dobrym zdrowiu i w tak samo dobrym zdrowiu zastaniemy ich znowu, bo chociaż powietrze tu jest ostre, ale przynajmniej czyste, na styku Oceanu Atlantyckiego i Spokojnego! A zresztą, Riegal, proszę zwrócić uwagę i na to, że kiedy władze wojskowe szukały strażników do Latarni na Końcu Świata, miały nie lada kłopot z nadmiarem kandydatów.

Obaj oficerowie dotarli do ogrodzenia, przy którym oczekiwali ich Vasquez z kolegami. Otwarto furtkę w obmurowaniu, oficerowie przystanęli i odpowiedzieli na przepisowe zaskłutowanie trzech latarników.

Kapitan Lafayate, nim się odezwał, zlustrował ich wzrokiem od stóp obutych w mocne marynarskie buty do głów okrytych kapturami ceratowych płaszczy.

— Wszystko było w porządku tej nocy? — zapytał zwracając się do starszego strażnika.

— W porządku, panie kapitanie — odpowiedział Vasquez.

— Nie zauważyliście na morzu żadnego statku?

— Żadnego, a ponieważ niebo było czyste, dostrzeżlibyśmy światła co najmniej na cztery mile.

— Lampy funkcjonowały sprawnie?

— Bez przerwy, panie kapitanie, aż do samego świtu.

— Nie było zimno w wartowni?

— Nie, panie kapitanie. Jest bardzo solidnie murowana, a wiatr nie przenika przez podwójnie oszklone okna.

— Najpierw obejrzymy wasze mieszkanie, a potem latarnię.

— Według rozkazu, panie kapitanie — odparł Vasquez.

Pomieszczenie dla wartowników zbudowane u podnóża wieży miało grube mury, zdolne stawić czoło najgwałtowniejszym szkwałom Cieśniny Magellana. Obaj oficerowie przeprowadzili lustrację dobrze wyposażonych pokojów. Można było nie obawiać się tutaj deszczu i zimna ani śnieżnych burz, tak groźnych pod tą prawie antarktyczną szerokością.

Poszczególne pokoje oddzielał korytarz. W głębi przebite były drzwi łączące go z wnętrzem latarni.

— Wejdźmy na górę — powiedział kapitan Lafayate.

— Rozkaz, panie kapitanie! — wyprężył się Vasquez.

— Pan sam nas poprowadzi.

Vasquez dał znak kolegom, żeby pozostali w końcu korytarza, po czym pchnął drzwi wiodące na schody; obaj oficerowie udali się za nim.

Wąskie kręcone schody z kamienia nie były ciemne. Oświetlało je dziesięć otworów w kształcie strzelnic, znajdujących się na poszczególnych piętrach.

Kiedy dotarli do wartowni, ponad którą znajdowała się latarnia oraz cała aparatura oświetlająca, obaj oficerowie usiedli na okrągłej ławie przytwierdzonej do muru. Przez cztery małe okienka przebite w tej izbie wzrok mógł sięgać do każdego punktu na horyzoncie.

Następnie kapitan Lafayate i jego zastępca, chcąc dokładnie przypatrzeć się wyspie i otaczającemu ją morzu, wdrapali się po drabinie prowadzącej na galeryjkę, która biegła wokół iluminatorów latarni.

Rysująca się przed ich oczami część wyspy w kierunku na zachód była pustynna tak jak i morze; a przecież wzrokiem mogli ogarnąć z północnego zachodu na południe obszerny łuk, przerywany jedynie na północnym wschodzie wzgórzami przylądka San Juan. U stóp wieży wrzynała się w ład zatoka Elgor, a na jej brzegu krzątali się marynarze z "Santa Fé". Na bezkresnych obszarach oceanu nie widać było ani jednego żagla, ani jednego dymku.

Obaj oficerowie spędzili na galeryjce latarni dobry kwadrans, po czym zeszedli, odprowadzeni przez Vasqueza, i powrócili na okręt.

Po obiedzie kapitan Lafayate i pierwszy oficer Riegal kazali znowu zawieźć się na ład. Chcieli poświęcić godziny poprzedzające odjazd na przechadzkę po północnym brzegu zatoki. Już kilka razy bez pomocy pilota — łatwo można zrozumieć, że nie było go na Wyspie Stanów — kapitan wchodził za dnia do małej zatoczki u podnóża latarni i stawał tam na kotwicy. A jednak, kierowany ostrożnością, nigdy nie zaniedbywał dokonania nowego rekonesansu tej słabo i pobieżnie poznanej okolicy.

Tak więc i teraz obydwaj oficerowie poszli na spacer w określonym celu. Przechodząc wąskim przesmykiem łączącym przylądek San Juan z resztą wyspy, obejrzeni dokładnie brzeg zatoki o tej samej nazwie, tworzącej po drugiej stronie przylądka jak gdyby odpowiednik zatoki Elgor.

— Świetny jest ten naturalny port San Juan — zauważył kapitan. — Wszędzie ma dość wody nawet dla statków o największym tonażu. Szkoda, doprawdy, że wejście doń jest tak trudne. Bodaj najśłabsze światło, symetryczne do latarni w Elgor, pozwoliłoby statkom, które się znajdują w tarapatkach, szukać tu schronienia.

— W dodatku byłoby to ostatnie schronienie, na jakie można liczyć po wyjściu z Cieśniny Magellana — dodał porucznik Riegal.

O czwartej obaj oficerowie byli z powrotem przy latarni. Pożegnali się z Vasquezem, z Felipem i Morizem, którzy pozostali na brzegu oczekując chwili odjazdu awiza.

Za kwadrans szósta kapitan wydał rozkaz podniesienia kotwicy i rozruszania maszyny. Nadmiar pary uchodził przez komin.

Na dziobie pierwszy oficer pilnował manewru; niebawem kotwica zawisła pionowo, podciągnięto ją na bloku i umocowano.

"Santa Fé" ruszył w drogę żegnany okrzykami trzech latarników. Co sobie pomyślał Vasquez, nie wiadomo, ale jego koledzy obserwowali oddalający się statek z niewątpliwym wzruszeniem, oficerowie zaś i załoga awiza przejęci byli w nie mniejszym stopniu tym, że musieli pozostawić tych trzech ludzi na wyspie położonej na najdalszym krańcu Ameryki.

ROZDZIAŁ DRUGI

WYSPA STANÓW

Wyspa Stanów, nazywana także Ziemią Stanów, znajduje się na południowo-wschodnim krańcu Nowego Kontynentu. Jest ona ostatnim, najbardziej wysuniętym na wschód, fragmentem Archipelagu Magellana, który został wyrzucony wstrząsami podziemnymi w okolicy pięćdziesiątego piątego równoleżnika, w odległości niespełna siedmiu stopni od podbiegunowego kręgu antarktycznego. Wyspę omywają wody dwóch oceanów i dlatego pilnie jej wypatrują statki żeglujące z jednego na drugi, czy to idąc z północnego wschodu, czy z południowego zachodu po opłynięciu przylądka Horn.

Cieśnina, odkryta w XVII wieku przez holenderskiego żeglarza Le Maire'a, oddziela Wyspę Stanów od Ziemi Ognistej odległej o 25 do 30 kilometrów. Stwarza ona dogodniejszą i krótszą trasę dla statków, gdyż dzięki niej mogą umknąć potężnych fal chłuszczących brzegi Wyspy Stanów. Ta wyspa osłania cieśninę na wschodzie na długości około dziesięciu mil (około 19 kilometrów) od przylądka Saint-Antoine do przylądka Kempe, toteż statki parowe czy żaglowe są tu bezpieczniejsze, niż gdyby okrążały wyspę od południa.

Wyspa Stanów ma trzydzieści dziewięć mil długości z zachodu na wschód, od Przylądka Św. Bartłomieja do przylądka San Juan, na jedenaście mil szerokości pomiędzy przylądkami Colnett i Webster.

Pobrzeże wyspy jest niesłychanie poszarpane, morze wrzyna się w ląd wieloma mniejszymi i większymi zatokami, do których dostępu bronią nieraz całe kordony wysepek i podwodnych skał. Toteż niezliczone statki poszły na dno przy jej brzegach o stromych zboczach skalnych uwieńczonych ostrymi iglicami lub zakończonych olbrzymimi głazami, o które nawet przy spokojnej pogodzie fale rozbijają się z szaloną siłą.

Wyspa była nie zamieszкана, ale może by i nadawała się do zamieszkania, przynajmniej w czasie łagodnej pory roku, to znaczy przez cztery miesiące: listopad, grudzień, styczeń i luty, które są miesiącami letnimi na tej szerokości. Kiedy pod wpływem promieni antarktycznego słońca topnieje gruba warstwa śniegu, widać zaraz dość zieloną trawę, a gleba zachowuje aż do zimy zbawienną wilgotność.

Zwierzęta przeżuujące, przyzwyczajone do warunków bytowania w Magellanii, mogłyby i tutaj egzystować. Ale z nastaniem mrozów trzeba by przenosić stada w łagodniejsze strefy bądź do Patagonii, bądź też bodaj na Ziemię Ognistą.

A jednak spotyka się tu w stanie dzikim pary guanaków, należących do gatunku bardzo odpornych lam, których mięso jest dość smaczne, gdy się je usmaży na patelni czy upiecze na ruszcie. Jeśli te zwierzęta nie giną z głodu podczas długiej pory zimowej, to dlatego, że umieją znaleźć pod śniegiem korzonki i porosty, którymi ich żołądek musi się zadowolić.

W środkowej części wyspy leżą gdzieś równiny, tu i ówdzie lasy wyciągają swoje nędzne gałęzie i na króciutko wypuszczają listki o barwie żółtawej raczej niż zielonej. Są to głównie antarktyczne buki o pniach osiągających nieraz wysokość dwudziestu metrów, których konary rozrastają się poziomo, albo też berberysy z bardzo odpornych odmian oraz dzika wanilia, obdarzona własnościami zbliżonymi do prawdziwej.

W rzeczywistości powierzchnia tych równin i lasów nie obejmuje nawet jednej czwartej obszaru Wyspy Stanów. Reszta terenu składa się ze skalistych płaskowyżów, gdzie dominuje kwarc, z głębokich wąwozów, z długich łańcuchów głazów narzutowych, które się rozsypały po wyspie wskutek bardzo dawnych wybuchów, gdyż dzisiaj na próżno szukać by kraterów wygasłych wulkanów w tej części Ziemi Ognistej czy Magellanii. Bliżej środka wyspy rozległe równiny przybierają wygląd stepów, kiedy przez osiem zimowych miesięcy najmniejsza wypukłość nie wystaje z pokrywającej je jednolitej warstwy śniegu. Potem, w

miarę posuwania się ku zachodowi, rzeźba terenu staje się wyraźniejsza, nadbrzeżne wzgórza wyższe i bardziej urwiste. Tutaj wznoszą się wyniosłe stożki i iglice, których wysokość osiąga trzy tysiące stóp ponad poziom morza; wspiąwszy się na nie, można by ogarnąć wzrokiem całą wyspę. Są to ostatnie ogniwa olbrzymiego łańcucha Andów, który ciągnąc się z północy na południe tworzy jak gdyby gigantyczny szkielet Nowego Kontynentu.

Oczywiście, w podobnych warunkach klimatycznych, w podmuchach ostrych i straszliwych huraganów, flora wyspy ogranicza się do pojedynczych okazów, które na większą skalę nie aklimatyzują się w sąsiedztwie Cieśniny Magellana czy na odległych od wybrzeży Ziemi Ognistej o około sto mil morskich Wyspach Falklandzkich zwanych także Malwinami.

O ile fauna i flora są słabo reprezentowane na tej wyspie, to w wodach przybrzeżnych jest wielka obfitość ryb. Toteż, nie zważając na poważne niebezpieczeństwo grożące łodziom przepływającym przez Cieśninę Le Maire'a, mieszkańcy Ziemi Ognistej przybywają tu na bardzo niekiedy owocne połowy. Gatunków ryb jest mnóstwo: wąłusze, stynki, ślize, tuńczyki, dorady, tępogłowy, babki. Kiedyś obecność w tych wodach wielorybów, kaszalotów a także fok i morsów mogła nawet przyciągać dalekomorskie statki rybackie. Ale obecnie te morskie zwierzęta, bezmyślnie tępione, szukają schronienia w morzach antarktycznych, gdzie połowy są bardzo niebezpieczne i mozolne.

Jeśli chodzi o ptactwo, to reprezentują je w dużych ilościach albatrosy białe jak łabędzie, bekasy, kszyki, morskie skowronki, i wrzaskliwe małe i wielkie mewy oraz ogłuszająco hałaśliwe wydryki.

Nie należy wszakże z powyższego opisu wysnuwać wniosku, że Wyspa Stanów mogłaby stanowić łakomy kąsek dla Chile czy Republiki Argentyńskiej. W końcu jest to tylko olbrzymia skała, prawie nie nadająca się do zamieszkania. Do kogo należała w chwili, kiedy rozpoczyna się nasza historia? Można jedynie powiedzieć, że stanowiła część Archipelagu Magellana nie podzielonego jeszcze wówczas pomiędzy dwie leżące na końcu kontynentu amerykańskiego republiki*.

Wypada tutaj zaznaczyć, że Republika Argentyńska podjęła szczęśliwą inicjatywę budując Latarnię na Końcu Świata i różne państwa powinny być jej za to wdzięczne. Faktycznie, w owych czasach najmniejsze światełko nie błyskało w tej części Magellanii, począwszy od wejścia do Cieśniny Magellana przy Przylądku Dziewic na Atlantyku do jej ujścia przy przylądku Pilar na Pacyfiku. Latarnia morska na Wyspie Stanów miała oddać niewątpliwe usługi nawigacji w tych niebezpiecznych okolicach. Nie ma wszakże latarni nawet na przylądku Horn, a przecież dałoby się uniknąć wielu katastrof, gdyby zapewniono statkom płynącym z Pacyfiku większe bezpieczeństwo przy wejściu do Cieśniny Le Maire'a.

Tak więc rząd argentyński powziął decyzję zbudowania nowej latarni morskiej w głębi zatoki Elgor. Po roku sprawnie prowadzonych prac jej inauguracja odbyła się w dniu 9 grudnia 1859 roku.

W odległości stu pięćdziesięciu metrów od małej przystani wrzynającej się w zatokę teren tworzy wybrzuszenie o powierzchni czterech do pięciu metrów kwadratowych i o wysokości trzydziestu do czterdziestu metrów. Murkiem głazów otoczono ten naturalny nasyp, a raczej skalisty taras mający służyć za fundament wieży latarniczej.

Wieża została wzniesiona w samym środku tarasu, górując nad zespołem przybudówek obejmującym kwatery załogi i magazyny. Znalazły się tutaj następujące pomieszczenia: 1) sypialnia wartowników umeblowana łózkami, szafami, stołami i krzesłami, ogrzewana węglowym piecem, z którego dym uchodził przez rurę wystającą ponad dach; 2) wspólna sala, również wyposażona w piec, służąca za jadalnię, ze stołem pośrodku, z lampami pod sufitem i szafami do przechowywania przeróżnych instrumentów, jak luneta, barometr,

* Od tego czasu, wskutek podziału Magellanii w roku 1881, Wyspa Stanów podlega Republice Argentyńskiej.

termometr oraz zapasowe lampy, żeby w razie wypadku zastąpić nimi lampy zainstalowane w latarni, i wreszcie ze stojącym pod jedną ze ścian zegarem z wagami; 3) magazyny, gdzie umieszczono zapasy żywności na rok, pomimo że uzupełnienie zaopatrzenia i zmiana warty miały następować co trzy miesiące; były tam różne gatunki konserw, solone mięso, peklowana wołowina, słonina, suszone jarzyny, marynarskie suchary, herbata, kawa, cukier, baryłki z whisky i przepalanką oraz trochę leków do podręcznej apteczki; 4) magazyn na rezerwę oliwy potrzebnej do lamp latarnicznych; 5) magazyn, gdzie ulokowano zapas węgla w ilości mającej wystarczyć na potrzeby latarników przez cały czas trwania zimy antarktycznej. Tak oto przedstawiał się zespół pomieszczeń tworzących wspólny półkolisty budynek na skalnym tarasie.

Wysokość wieży wynosiła trzydzieści dwa metry, a gdy się do tego dodało wysokość kopca, to światło w latarni płonęło sześćdziesiąt osiem metrów ponad poziomem morza. Można je było dostrzec na oceanie z odległości piętnastu mil, gdyż taki jest promień wzroku ludzkiego przy tej wysokości. Ale w rzeczywistości zasięg latarni wynosił tylko dziesięć mil, w tej bowiem epoce nie było jeszcze mowy o latarniach morskich funkcjonujących przy użyciu węgłowodoru czy elektryczności. Zresztą na tej dalekiej wyspie, gdzie utrzymywanie łączności nawet z najbliższymi krajami było bardzo utrudnione, narzucała się konieczność zastosowania systemu jak najprostszego i wymagającego jak najmniej napraw. Przyjęto więc oświetlenie olejem palnym, wyposażając instalację we wszelkie udoskonalenia będące w owym czasie do dyspozycji nauki i przemysłu.

Nie trzeba dodawać, że Latarnia na Końcu Świata miała światło stałe, nie istniała bowiem obawa, że jakiś kapitan pomyli je ze światłem innej latarni, ponieważ żadnej innej nie było w tych okolicach, nawet, jak już powiedziano, na przylądku Horn. Nie uznano zatem za konieczne zróżnicowania światła błyskami czy zaciemnieniami, co pozwoliło zrezygnować z zainstalowania bardzo delikatnego mechanizmu, a co więcej, z jego napraw, niesłychanie kłopotliwych na tej wyspie zamieszkałej wyłącznie przez trzech latarników.

Opuszczając wyspę przy dość dobrej pogodzie, kapitan awiza mógł się przekonać, że zarówno aparatura, jak i praca nowej latarni morskiej nie pozostawiają nic do życzenia.

Rzecz jasna, że jej sprawne funkcjonowanie zależało wyłącznie od sumienności i czujności strażników. Jeśli będą utrzymywali w porządku urządzenia latarni, starannie wymieniali zużyte knoty, napełniali lampy odpowiednią mieszanką oliwy, umiejętnie regulowali ciąg przez skracanie i wydłużanie szkieł osłaniających płomień, zapalali i gasili światła o wschodzie i zachodzie słońca i nie zaniedbują w żadnym wypadku skrupulatnego nadzoru, latarnia na pewno odda wielkie usługi żegludze w tych odległych strefach Oceanu Atlantyckiego. Nie było powodu wątpić w dobrą wolę i pilność Vasqueza oraz jego obydwu towarzyszy. Wyznaczeni do tej funkcji po ścisłej selekcji dokonanej pośród licznych kandydatów wszyscy trzej na swoich poprzednich stanowiskach dali dowody sumienności, odwagi i wytrwałości.

Trzeba tu jeszcze raz podkreślić, że bezpieczeństwo trzech latarników wydawało się absolutnie pewne, pomimo że Wyspa Stanów leży na odludziu, w odległości tysiąca pięciuset mil od Buenos Aires skąd jedynie można było sprowadzać zaopatrzenie i pomoc. Nieliczni mieszkańcy Ziemi Ognistej, którzy wśród lata przenosili się tutaj, nie pozostawali nigdy długo, a zresztą byli oni zupełnie niegroźni. Gdy tylko kończyli połowy, zaraz wracali przez Cieśninę Le Maire'a, gdyż pilno im było znaleźć się znowu na wybrzeżu Ziemi Ognistej czy na wyspach archipelagu. Co do innych przybyszów, to nigdy nie zanotowano ich obecności na wyspie. Brzegi jej napawały zbyt wielką obawą żeglarzy, żeby szukali tu schronienia, które zresztą mogli pewniej i łatwiej znaleźć w paru innych miejscach Magellanii.

Niemniej jednak zachowano wszelkie środki ostrożności na wypadek pojawienia się podejrzanych osobników w zatoce Elgor. Przybudówki miały mocne drzwi zamykane na zasuwę od wewnątrz, a kraty w oknach magazynów i pomieszczeń mieszkalnych były nie do

wyłamania. Ponadto Vasquez, Moriz i Felipe zostali uzbrojeni w karabiny i rewolwery, a brak amunicji nie groził im na pewno.

Wreszcie, w końcu korytarza prowadzącego do podnóża wieży wmurowano żelazne drzwi, których niepodobna byłoby rozbić czy wyważyć. Przedostanie się inną drogą do środka wieży było niemożliwe, bo przecież ani przez wąskie strzelnice na schodach, wzmocnione solidnymi poprzeczkami, ani przez galerię biegnącą wokół latarni! Chyba żeby ktoś się tam wdrapał po łańcuchu piorunochronu.

Takie oto prace o wielkim znaczeniu zostały właśnie zakończone na Wyspie Stanów staraniem rządu Republiki Argentyńskiej.

ROZDZIAŁ TRZECI TRZEJ LATARNICY

W tej to porze roku, od listopada do marca, żegluga jest najbardziej ożywiona w rejonie Magellanii. Wprawdzie morze bywa tam zawsze burzliwe, ale choć nic nie potrafi powstrzymać ani uspokoić olbrzymich fal nadciągających z obydwu oceanów, to przynajmniej pogoda jest mniej więcej stała, a burze szybko przechodzą. W okresie tej możliwej aury parowce i żaglowce chętniej ryzykują opłynięcie przylądka Horn. Jednak statki idące przez Cieśninę Le Maire'a czy od południa Wyspy Stanów nie były tak liczne, żeby przerwać monotonię długich dni tej pory roku. Nigdy nie docierało ich tu zbyt wiele, a stały się jeszcze rzadszymi gośćmi, odkąd rozwój żeglugi parowej i udoskonalenie morskich map uczyniły mniej niebezpieczną Cieśninę Magellana, która stanowi trasę krótszą i zarazem łatwiejszą.

Na szczęście nuda, nierozłącznie związana z pobytem w latarniach morskich, nie dokucza zbyt wiele strażnikom obciążonym ich obsługą. Latarnikami są zazwyczaj dawni marynarze lub dawni rybacy. Nie należą oni do ludzi, którzy liczą dni i godziny, gdyż umieją zawsze znaleźć sobie zajęcie i rozrywkę. Zresztą, ich służba nie ogranicza się do podtrzymywania światła w latarni pomiędzy zachodem a wschodem słońca. Vasquez i jego towarzysze mieli nakazane staranne obserwowanie wejścia do zatoki Elgor, wyprawianie się kilka razy w tygodniu na przylądek San Juan, obserwowanie wschodniego wybrzeża aż do cypla Several. Musieli jednak pamiętać, żeby nie oddalać się bardziej niż trzy do czterech mil od latarni. Ponadto polecono im prowadzić na bieżąco "dziennik latarni", notować w nim wszelkie wydarzenia, jakie mogły zajść, przejście w pobliżu statków żaglowych i parowych, ich narodowość, nazwy, jeśli je zasygnalizują, wraz z numerem, wysokość przyływów, kierunek i siłę wiatrów, a także zapisywać obserwacje o pogodzie, długości deszczów, częstotliwości burz, spadaniu i podnoszeniu się barometru, o temperaturze i innych zjawiskach, co w rezultacie miało pozwolić na sporządzenie mapy meteorologicznej tej okolicy.

Vasquez, Argentyńczyk z urodzenia, tak samo zresztą jak Felipe i Moriz, miał pełnić na Wyspie Stanów funkcję starszego strażnika latarni. Liczył wówczas czterdzieści siedem lat. Mocny, o żelaznym zdrowiu i wyjątkowej wprost wytrzymałości jak przystało na marynarza, który przemierzył kilkakrotnie większość oceanów na obu półkulach, zdecydowany, energiczny, otrząskany z niebezpieczeństwem, potrafił wyjść cało z niejednej opresji, gdzie stawką było życie. Nie tylko starszeństwo wieku sprawiło, że mianowano go szefem ekipy, ale przede wszystkim zahartowany w trudach charakter, który wzbudzał pełne zaufanie. Chociaż w marynarce wojennej Republiki nigdy nie zaszedł wyżej niż do stopnia starszego bosmana, to jednak zakończył służbę ciesząc się szacunkiem wszystkich. Toteż kiedy zaczął się ubiegać o pracę na Wyspie Stanów, dowództwo marynarki powierzyło mu ją bez najmniejszego wahania.

Felipe i Moriz byli także marynarzami, jeden miał czterdzieści lat, drugi trzydzieści siedem. Vasquez znał ich rodziny od dawna i to on polecił ich kandydatury rządowi. Pierwszy, tak jak i Vasquez, był kawalerem. Z tej trójki jedynie Moriz był żonaty, ale bezdzietny.

Po upływie trzech miesięcy Vasquez, Felipe i Moriz zamustrują się na "Santa Fé", gdy awizo przywiezie na Wyspę Stanów trzech następnych latarników, których oni z kolei zluźnią po dalszych trzech miesiącach. A więc w następnej turze obejmą służbę na wyspie w czerwcu, lipcu i sierpniu, czyli w samym środku zimy. Z tego wynikało, że choć nie będą zbyt cierpieli wskutek złej pogody podczas pierwszego swego pobytu tutaj, to jednak muszą się liczyć z ciężkimi warunkami, kiedy powrócą następnym razem. Ale, jak można

sobie wyobrażać, ta perspektywa bynajmniej ich nie przerażała. Przecież będą już trochę zaaklimatyzowani i potrafią bez uszczerbku dla zdrowia przetrwać ziąb, wichury i wszelkie dokuczliwości antarktycznej zimy.

Począwszy od tego dnia, od dziesiątego grudnia, zostały wprowadzone regularne dyżury. Każdej nocy lampy funkcjonowały pod nadzorem jednego z latarników trzymającego wachkę w dyżurce pod latarnią, gdy tymczasem dwaj pozostali odpoczywali w mieszkaniu. W ciągu dnia wszystkie lampy przeglądano, czyszczono, w razie potrzeby wymieniano knoty tak, aby z nastaniem zmroku latarnia mogła wysłać swe potężne promienie.

W wolnych chwilach, stosownie do polecenia, Vasquez i jego towarzysze wyprawiali się nad otwarte morze, bądź pieszo jednym czy drugim brzegiem zatoki Elgor, bądź też w łodzi pozostawionej do ich dyspozycji; była to szalupa półpokładowa wyposażona w grot i fok, trzymano ją w zatoczce, gdzie stała zupełnie bezpiecznie, gdyż wysokie krawędzie górskie osłaniały przed wiatrami ze wschodu, jedynymi, których należało się obawiać.

Rzecz jasna, że kiedy latarnicy wyprawiali się nad zatokę czyli poza ogrodzenie, jeden z nich zawsze pozostawał na warcie na górnej galerii latarni, bo mogło się zdarzyć, że jakiś statek przepływający w pobliżu Wyspy Stanów zechce podać swój numer.

Pierwsze dni po odplynięciu awiza minęły bez jakiegokolwiek wydarzenia. Pogoda była nadal ładna, temperatura dość wysoka, Termometr wskazywał nieraz 10 stopni powyżej zera. Pomiedzy wschodem a zachodem słońca wiatr dął łagodnie od morza, potem, pod wieczór, zmieniał kierunek, to znaczy powracał na północny zachód i dmuchał od lądu z obszernych równin Patagonii i Ziemi Ognistej. Przez parę godzin padały deszcze, a ponieważ temperatura rosła, należało spodziewać się niebawem burz, które mogły przynieść zmianę warunków atmosferycznych.

Tego dnia przed wieczorem, zanim nadszedł moment zapalania lamp, Vasquez, Felipe i Moriz siedząc na galerii otaczającej latarnię, gawędzili sobie jak zwykle i jak zwykle starszy strażnik nadawał kierunek rozmowie oraz ją podsycał.

— No i jak, chłopcy? — zapytał, starannie nabawiwszy fajkę, a za jego przykładem natychmiast poszli obaj koledzy. — Co powiecie na to nowe życie? Zaczynacie się przyzwyczajać?

— Oczywiście, Vasquez — odparł Felipe. — Zresztą w tak krótkim czasie nie można ani doznać większych przykrości, ani zmęczyć się zbyt.

— Masz rację — przytaknął Moriz — w ten sposób nasze trzy miesiące przelecą szybciej, niż sobie wyobrażałem.

— Tak, mój chłopcze, przemkną jak korweta pod wszystkimi żaglami!

— Co się tyczy statków — zauważył Felipe — to dzisiaj nie widzieliśmy ani jednego, nawet na horyzoncie...

— Nadejdą, Felipe, nadejdą — odparł Vasquez, zaokrąglając dłoń nad oczami, jak gdyby chciał z niej zrobić lunetę. — Nie warto było stawiać na Wyspie Stanów tej pięknej latarni, wysyłającej promienie na dziesięć mil w morze, gdyby żaden statek nie miał z niej skorzystać.

— . A co do "Santa Fé", który wyszedł stąd dopiero pięć dni temu, to jego rejs potrwa... — zaczął Moriz.

— Tyle potrwa, ile potrzeba — przerwał mu Vasquez — najwyżej jeszcze tydzień, przypuszczam! Pogoda jest piękna, morze spokojne, wiatr dmucha z dobrej strony... Awizo ma wiatr w żaglach dzień i noc, a jeśli do tego dodać maszynę, to dziwiłbym się bardzo, gdyby nie wyciągał swoich dziewięciu węzłów.

— W tym momencie — powiedział Felipe — na pewno minął już Cieśninę Magellana i oddalił się od Przylądka Dziewic o jakieś piętnaście mil...

Łatwo zrozumieć, że pamięć o “Santa Fé” była jeszcze żywa w umysłach tych dzielnych ludzi. Czyż ten okręt nie był jak gdyby skrawkiem ziemi ojczystej, który ich opuścił, żeby wrócić do domu? W myślach będą mu towarzyszyli do samego końca podróży.

— Udał ci się dzisiaj połów? — zapytał Vasquez Felipego.

— Nie najgorzej, Vasquez, złowiłem na wędkę parę tuzinów babek, a ręką jeżokraba ważącego dobre trzy funty; chciał umknąć pomiędzy skałami.

— To świetnie — ucieszył się Vasquez — i nie bój się, że spustoszysz zatokę! Ludzie mówią, że im więcej łowi się ryb, tym więcej ich jest, a to pozwoli nam zaoszczędzić zapasy suszonego mięsa i solonej słoniny. Co zaś do jarzyn...

— A ja — oznajmił Moriz — zszedłem aż do bukowego lasu. Wykopałem tam kilka korzeni, a ponieważ podpatrzyłem kucharza z awiza, który się na tym zna, upitraszę wam z nich całą michę pyszności.

— Znakomicie — powiedział Vasquez — gdyż nie należy nadużywać konserw, nawet najlepszych. Nigdy nie są one tyle warte, co świeżo ubita zwierzyna, świeżo złowione ryby czy świeżo zerwane jarzyny!

Przydałoby się, żeby nas odwiedziło trochę zwierząt z głębi wyspy... na przykład para guanako lub jakieś inne.

— Nie mówię, że połędwica czy udziec guanako są do pogardzenia stwierdził Vasquez. — Za dobry kawał dziczyzny żołądek tylko powie dziękuję, gdy mu się ją poda. Toteż jeżeli zwierzyna się pojawi, postaramy się ją ubić. Ale uwaga, chłopcy, nie oddalajcie się od ogrodzenia, żeby zapolować na grubego czy drobnego zwierza. Najważniejsze — to przestrzeganie regulaminu i nieoddalanie się od latarni, chyba tylko żeby obserwować, co się dzieje w zatoce Elgor i między przylądkiem San Juan a cyplem Diegos.

Od chwili rozpoczęcia prac w pobliżu zatoki Elgor nie zauważono żadnego zwierzęcia. Pierwszy oficer z “Santa Fé”, zamiłowany myśliwy, parę razy próbował zapolować na guanako. Jego usiłowania były daremne, chociaż zapuszczał się pięć czy sześć mil w głąb wyspy. Wprawdzie nie brakło tam grubego zwierza, jednak pokazywał się zbyt daleko, żeby go można było ustrzelić. Gdy pierwszy oficer przebył wzniesienia i udał się poza port Parry, gdyby dotarł do przeciwległego krańca wyspy, może miałby więcej szczęścia. Ale tam, gdzie wznosiły się wysokie szczyty, w zachodniej części, posuwanie się byłoby niesłychanie trudne, toteż ani on, ani nikt z załogi “Santa Fé” nigdy nie dotarł z rozpoznaniem w okolice Przylądka Św. Bartłomieja.

W nocy z 16 na 17 grudnia, kiedy Moriz pełnił wartę od szóstej do dziesiątej, z kierunku wschodniego ukazało się światło. Było niewątpliwie światło statku, pierwsze, jakie dostrzeżono na wodach wyspy, odkąd wybudowano tu latarnię morską.

Moriz słusznie pomyślał, że ten fakt powinien zainteresować kolegów, którzy jeszcze nie spali, toteż zbiegł do nich. Vasque i Felipe natychmiast poszli z nim na górę i uzbroiwszy się w lunety zajęli miejsca w oknie wychodzącym na wschód.

— Światło jest białe — twierdził Vasquez.

— A więc nie jest to światło pozycyjne — dodał Felipe — gdyż byłoby zielone albo czerwone.

Uwaga była słuszna. Nie chodziło tu o światło pozycyjne umieszczone, zależnie od koloru, na lewej czy na prawej burcie statku!

— Ponieważ światło jest białe — uzupełnił swoje obserwacji Vasquez — znaczy, że latarnia zawieszona jest na sztagu fokmasztu, a zatem, że na wprost wyspy płynie parowiec.

Co do tego nikt nie miał żadnych wątpliwości. Na pewno był to parowiec zbliżający się do przylądka San Juan. Czy wejdzie do Cieśniny Le Maire’a, czy też wybierze drogę południową? Taki oto pytanie zadawali sobie latarnicy.

Toteż uważnie śledzili ruchy statku, w miarę jak się przybliża i po pół godzinie byli już pewni jego kursu.

Parowiec, zostawiając latarnię morską po lewej burcie na süd-süd-wescie, wyraźnie, skierował się ku cieśninie. W chwili gdy mijał rozwarcie zatoki San Juan, można było dostrzec jego czerwone światło, a potem statek zniknął wśród ciemności.

— Oto pierwszy statek, który odnotował istnienie Latarni na Końcu Świata! — zawołał Felipe.

— Ale nie ostatni — zapewnił go Vasquez.

Nazajutrz rano Felipe zasygnalizował wielki żaglowiec na horyzoncie. Niebo było czyste, lekka bryza z południowego wschodu przepędziła mgły, co pozwoliło zobaczyć statek już z odległości co najmniej dziesięciu mil. Vasquez i Moriz, których Felipe przywołał wdrapali się na galerię latarni. Statek widać było poza najdalszymi skałami sterczącymi z wody, trochę na prawo od zatoki Elgor, pomiędzy cypłem Diegos a cypłem Several.

Statek płynął szybko pod pełnymi żaglami, z prędkością, którą można było oszacować co najmniej na dwanaście czy trzynaście węzłów. Szedł lewym halsem. Ale ponieważ trzymał kurs prościutko na Wyspę Stanów, nie można było jeszcze się zorientować, czy minie ją z lewej, czy z prawej strony.

Jak prawdziwi ludzie morza, których te sprawy zawsze interesują, Vasquez, Felipe i Moriz zajadle dyskutowali na ten temat. Wreszcie okazało się, że rację miał Moriz, który twierdził, że żaglowiec nie szuka wejścia do cieśniny. Rzeczywiście, kiedy był nie dalej niż o półtorej mili od brzegu, zrobił zwrot przez sztag, żeby opłynąć cypel Several. Był to duży statek o wyporności co najmniej tysiąca ośmiuset ton, ożaglowany jak trójmasztowa barka przypominająca klipry budowane w Ameryce i posiadające rzeczywiście wspaniałą szybkość.

Bodaj moja luneta zamieniła się w parasol — zawołał Vasquez — jeżeli nie wyszedł ze stoczni w Nowej Anglii! Może nam prześle swój numer? — powiedział Moriz. Spełniłby tylko swój obowiązek — spokojnie odparł szef. Tak się też stało w chwili, kiedy kliper mijał cypel Several. Na gafel bezanmasztu wciągnięto całą serię chorągiewek, a te sygnały Vasquez przetłumaczył natychmiast, gdy tylko zajął do księgi znajdującej się w wartowni pod latarnią.

Był to "Montank" z bostońskiego portu w Nowej Anglii w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Latarnicy odpowiedzieli mu, wciągając argentyńską banderę na pręt piorunochronu i dalej obserwowali statek, dopóki czubki jego masztów nie zniknęły za wzgórzami przylądka Webster, na południowym brzegu wyspy.

— No, a teraz — powiedział Vasquez — pozostaje nam życzyć szczęśliwej podróży "Montankowi" i oby nieba sprawiły, żeby nie złąpała go burza w pobliżu przylądka Horn.

Przez parę następnych dni morze było prawie puste. Latarnicy zdołali tylko zauważyć jeden czy dwa żagle na wschodnim widnokregu.

Aż do dwunastego grudnia nie mieli nic do zanotowania, z wyjątkiem obserwacji meteorologicznych. Pogoda stała się dość kapryśna, a wiatr zmienił gwałtownie kierunek z północnego wschodu na południowy wschód. Parokrotnie spadły dość obfite deszcze, niekiedy towarzyszył im grad, co wskazywało na pewne naładowanie elektryczne atmosfery. Można było zatem obawiać się burz, które są zawsze niebezpieczne, a zwłaszcza o tej porze roku.

Rankiem dwudziestego pierwszego grudnia Felipe spacerował paląc fajkę po terenie latarni, kiedy wydało mu się, że od strony bukowego lasu dostrzega jakieś zwierzę. Obserwował je przez parę minut, a potem poszedł do sali po lunetę. Rozpoznał bez trudu guanako większego kalibru. Nadarzała się może okazja do strzału.

Vasquez i Moriz natychmiast wyszli z budynku i dołączyli do niego. Cała trójka zdecydowała, że trzeba zapolować. Gdyby udało się trafić guanako, byłby to dodatek w postaci świeżego mięsa, a zatem przyjemne urozmaicenie zwykłego jadłospisu.

Oto co ustalili zgodnie wszyscy trzej: Moriz, uzbrojony w jeden z karabinów, wyjdzie za ogrodzenie i postara się niepostrzeżenie zająć stojące nieruchomo zwierzę od tyłu i napędzić je w stronę zatoki, gdzie Felipe będzie już na nie czatować.

— W każdym razie uważajcie dobrze, chłopcy — zalecił im Vasquez. — Te zwierzaki mają świetne ucho i wspaniały węch. Kiedy tylko guanako zobaczy czy poczuje Moriza nawet z daleka, umknie tak szybko, że nie będziecie mogli ani strzelać, ani go obejść. Wtedy dajcie mu uciec, gdyż nie wolno wam się zbytnio oddalać... Zrozumieliście?

— Tak jest — odpowiedział Moriz.

Vasquez i Felipe ustawili się na tarasie i, patrząc przez lunetę, stwierdzili, że guanako nie ruszył się z tego miejsca, gdzie się pokazał. Wtedy zaczęli obserwować Moriza.

Ten skradał się ku bukowemu laskowi, skąd kryjąc się za drzewami zdoła, być może, nie płosząc zwierzęcia, dotrzeć do skał, żeby zająć ofiarę od tyłu i zmusić do ucieczki w stronę zatoki. Koledzy mogli śledzić go wzrokiem aż do chwili, kiedy dopadł lasu i w nim zniknął. Upłynęło mniej więcej pół godziny. Guanako dalej stał nieruchomo i teraz Moriz powinien był znajdować się w takiej odległości, żeby mu posłać kulkę. Vasquez i Felipe czekali zatem, że rozlegnie się strzał i zwierzę padnie lżej lub ciężiej zranione albo też umknie co sił w nogach.

Tymczasem nikt nie wystrzelił, natomiast ku najwyższemu zdumieniu Vasqueza i Felipego, guanako zamiast pierzchnąć, wyciągnął się na skale bezwładny ze zwieszonymi luźno nogami i sflaczał tułowiem, jak gdyby nie mógł stać o własnych siłach.

Prawie w tej samej chwili Moriz, który zdążył już przekraść się za skały, ukazał się ich oczom i skoczył do zwierzęcia, ale ono nawet się nie poruszyło. Potem, odwracając się w stronę latarni, zrobił gest nie pozostawiający cienia wątpliwości: wzywał kolegów, żeby przyszli do niego jak najszybciej. — Stało się coś niezwykłego — powiedział Vasquez. — Chodź, Felipe.

Obaj zbiegli bez namysłu z kopca i podążyli w stronę bukowego lasu. W niespełna pół godziny przebyli dzielącą ich od towarzysza odległość.

— No i co... z guanako? — zapytał Vasquez.

— Macie go tu — odparł Moriz, wskazując na rozciągnięte u jego stóp zwierzę.

— Zdechł? — zapytał Felipe.

— Tak, nie żyje — przyświadczył Moriz.

— To chyba ze starości! — zawołał Vasquez.

— Nie... wskutek rany!

— Jak to? Zwierzę było ranne?

— Dostało kulę w bok.

— Kulą w bok... — powtórzył Vasquez.

Tak, to było więcej niż pewne. Guanako został trafiony kulą, przywłókł się aż do tego miejsca i padł.

— A więc na wyspie są myśliwi... — wyszeptał Vasquez.

Nieruchomy i zamyślony, powiódł zaniepokojonym wzrokiem dookoła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KONGRE I JEGO SZAJKA

Gdyby Vasquez, Felipe i Moriz przenieśli się na zachodni kraniec Wyspy Stanów, stwierdziliby, jak bardzo wybrzeże różni się swoją rzeźbą od tego, które się rozciąga pomiędzy przylądkiem San Juan a cyplem Several. Tutaj widać było tylko wzgórze, osiągające wysokość dwustu stóp, w większości wypadków ostro zakończone i urwisto spadające do głębokiej toni, bezustannie poruszanej gwałtownym przybojem, nawet w czasie zupełnie spokojnej pogody.

Poza jałowymi wzniesieniami, których szczeliny, rozpadliny i pęknięcia dawały schronienie chmarom morskich ptaków, sterczały z wody liczne skupiska skał podwodnych, a niektóre z nich, podczas odpływu, sięgały aż na dwie mile w morze. Pomiedzy nimi wiły się wąskie kanały, po których mogłyby żeglować najwyżej tylko lekkie czółna. Tu i ówdzie rozciągały się ławice żwiru, dywany z piasku z kępkami anemicznych roślin morskich, usiane muszelkami rozgniecionymi ciężarem fal przyływu. W skalnych ścianach nie brakło pieczar głębokich, suchych, ciemnych, o wąskich wylotach, których nie omiatały wichry ani nie zalewały fale nawet w najgorszych okresach zrównania dnia z nocą. Można było się do nich dostać po kamienistych ścieżkach oraz rumowiskach skalnych, które wielkie przyływy rozrzucały wciąż na nowo. Ciężkie do przebycia parowy wiodły do samych szczytów, ale żeby dotrzeć do płaskowyżu w centrum wyspy, trzeba było sforsować grzbiety o wysokości ponad dziewięćset metrów, pokonując przestrzeń co najmniej piętnastu mil. Ogólnie biorąc, dziki i pustynny charakter wyspy występował jeszcze wyraźniej z tej strony niż na przeciwnym krańcu wybrzeża, gdzie otwierała się zatoka Elgor.

Chociaż zachodnią część Wyspy Stanów nieco osłaniały od północno-zachodnich wiatrów góry Ziemi Ognistej i Archipelagu Magellana, to morze szalało tam z taką samą wściekłością, jak w pobliżu przylądka San Juan, cypla Diegos i cypla Several. Wprawdzie dobrze się stało, że zbudowano jedną latarnię morską od strony Atlantyku, ale druga, od strony Pacyfiku, byłaby nie mniej przydatna dla statków szukających Cieśniny Le Maire'a po opłynięciu przylądka Horn. Może rząd chilijski zastrzegł sobie w owym czasie prawo pójścia za przykładem Republiki Argentyńskiej ?

W każdym razie, gdyby takie prace podjęto równocześnie na obu krańcach Wyspy Stanów, utrudniłoby to bardzo sytuację pewnej bandy złoczyńców, która się schroniła w pobliżu Przylądka Św. Bartłomieja.

Przed kilkoma laty ci zbrodniarze wylądowali przy wejściu do zatoki Elgor. Odkryli tam głęboką pieczarę w przybrzeżnych skałach. Dawała im świetne schronienie, a ponieważ nigdy żaden statek nie zawijał na Wyspę Stanów, znajdowali się tam w najzupełniejszym bezpieczeństwie.

Banda złożona z dwunastu opryszków miała za herszta pewnego osobnika imieniem Kongre, jego zaś pomocnik nazywał się Carcante.

W tej zbieraninie ludzi pochodzących z Ameryki Południowej pięciu było narodowości argentyńskiej bądź chilijskiej. Co zaś do pozostałych, prawdopodobnie mieszkańców Ziemi Ognistej zwerbowanych przez Kongrego, to musieli oni tylko przebyć Cieśninę Le Maire'a, żeby uzupełnić szajkę na Wyspie Stanów, którą zdążyli już poznać, kiedy podczas lata wyprawiali się na połów ryb.

O Carcancem wiedziano jedynie, że był Chilijczykiem, ale trudno byłoby ustalić, w jakim mieście czy wiosce przyszedł na świat albo do jakiej rodziny należał. Ten blisko czterdziestoletni mężczyzna, średniego wzrostu, raczej szczupły, ale cały z mięśni i nerwów, a co za tym idzie odznaczający się niesłychaną siłą, miał charakter złośliwy, duszę pełną

falszu i w żadnym wypadku by się nie cofnął przed dokonaniem kradzieży czy popełnieniem morderstwa.

Co zaś do herszta bandy, to nikt o nim nic nie wiedział. Nigdy nie zdradził się, jakiej jest narodowości. Czy nazywał się Kongre? Nie wiadomo. Jedno było pewne, że używał imienia dość rozpowszechnionego wśród tubylców Magellanii i Ziemi Ognistej. Podczas wypraw statków "Astrolabe" i "Zelee", kapitan Dumont d'Urville, stojąc w porcie Peckett nad Cieśniną Magellana, przyjął na swój pokład Patagończyka o tym imieniu. A jednak wątpliwe było, czy Kongre pochodził z Patagonii. Nie miał bowiem twarzy wąskiej u góry i szerokiej w dolnej części, charakterystycznej dla ludzi z tych okolic, ani ich wąskiego, płaskiego czoła, ich podłużnych oczu i spłaszczonego nosa ani też wysokiego wzrostu, jakim się przeważnie odznaczają. W dodatku twarz jego bynajmniej nie posiadała wyrazu łagodności, jaki spotyka się u większości typów tutejszych plemion.

Kongre miał charakter równie gwałtowny co energiczny. Zdradzały to jego okrutne rysy, kiepsko ukryte pod gęstą brodą, która zaczynała już siwieć, pomimo że nie miał więcej niż jakieś czterdzieści lat. Był to prawdziwy bandyta, niebezpieczny złoczyńca zbrukany wszelkimi zbrodniami, który nie mógł znaleźć innego schronienia poza tą bezludną wyspą o ledwie poznanych wodach przybrzeżnych.

Ale w jaki sposób Kongre i jego kamracy zdołali tu przetrwać, odkąd przybyli w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki? Postaramy się to pokrótce wyjaśnić.

Kongre wraz ze swoim kompanem Carcantom, po popełnieniu ohydnych zbrodni, za które czekał ich stryczek lub garota*, zbiegli z Punta Arena, głównego portu w Cieśninie Magellana i dotarli na Ziemię Ognistą, gdzie było ich trudno odnaleźć. Mieszkając wśród tubylczej ludności dowiedzieli się, że w pobliżu Wyspy Stanów, której nie oświetlała jeszcze Latarnia na Końcu Świata, bardzo często zdarzały się katastrofy statków. Nie ulegało zatem wątpliwości, że wybrzeża wyspy musiały być pokryte najrozmaitszymi szczątkami, a wśród nich na pewno trafiały się przedmioty o dużej wartości. Kongre i Carcante wpadli wówczas na pomysł zorganizowania bandy złodziei wraków z dwóch czy trzech opryszków ich pokroju, spotkanych na Ziemi Ognistej, do których dołączyło jeszcze dziesięciu tubylców niewiele więcej wartych. Miejscowa łódź przewiozła ich na drugi brzeg Cieśniny Le Maire'a. Ale chociaż Kongre i Carcante byli marynarzami i długo żeglowali po tych trudnych strefach Pacyfiku, nie zdołali uniknąć katastrofy. Podmuch szkwału odrzucił ich na wschód, a bardzo burzliwe morze roztrzaskało łódź o skały przyłądka Calnett, gdy usiłowali wejść na spokojne wody portu Parry.

Wówczas to dotarli pieszo do zatoki Elgor. Nie doznali zawodu w swoich oczekiwaniach. Pomędzy przyłądkiem San Juan a cyplem Several brzegi usiane były szczątkami pochodzącymi z dawniejszych i nowszych katastrof statków, leżało pełno nietkniętych pak, skrzyń z prowiantami, mogących zapewnić szajce utrzymanie na okres długich miesięcy, broni, rewolwerów i strzelb, które można było z łatwością doprowadzić do stanu używalności, amunicji dobrze zachowanej w metalowych pudłach, sztab złota i srebra przedstawiających wielką wartość a pochodzących z bogatych ładunków australijskich, mebli, poszycia, desek i rozmaitych gatunków drewna; tu i ówdzie dostrzegli kilka szkieletów, ale ani jednego żywego człowieka, który by przetrwał te morskie tragedie.

Kongre wraz ze swymi kompanami nie ulokował się bynajmniej w głębi zatoki, lecz przy wejściu do niej, gdyż to lepiej odpowiadało jego projektom, i w ten sposób mógł obserwować przyłądek San Juan. Przypadek pozwolił mu znaleźć pieczarę, której wylot skrywała gęsta roślinność, blaszcznice i trawy morskie, dostatecznie obszerną, by pomieścić całą bandę. Położona na zakręcie krawędzi górskiej na północnym brzegu zatoki, była osłonięta od wiatrów z morza. Bandyci przenieśli do niej wszystko, co znaleźli wśród szczątków rozbitych

* Garota — żelazna obręcz stosowana przy wykonywaniu wyroku śmierci przez uduszenie.

statków, a co mogło służyć do umeblowania jaskini, a poza tym pościel, ubranie oraz duże ilości konserw mięsnych, skrzyń z sucharami, baryłek wódki i wina. Druga, sąsiednia grota została przeznaczona na magazyn tych przedmiotów, które miały szczególną wartość, jak złoto, srebro i cenne klejnoty wyrzucone na brzeg. Gdyby Kongremu udało się owładnąć później jakimś statkiem podstępnie zwabionym do zatoki, załadowałby wszystkie zrabowane rzeczy i powrócił na wyspy Pacyfiku, które były areną jego pierwszych pirackich wyczynów.

Ale ponieważ dotychczas nie nadarzyła się taka okazja, złoczyńcy nie zdołali opuścić Wyspy Stanów. Prawdą jest, że w ciągu dwóch lat ich majątek stale się powiększał. Nastąpiły nowe katastrofy, z których zbóje wyciągnęli wielkie korzyści, a nawet, idąc za przykładem rabusiów wraków na pewnych niebezpiecznych wybrzeżach Starego i Nowego Świata, często sami prowokowali te katastrofy. W nocy, kiedy ze wschodu nadciągały burze, skoro tylko dostrzegali statek przepływający w pobliżu wyspy, zwabiali go zapalonymi ogniskami w kierunku skał, a jeśli wyjątkowo jakiś rozbitek zdołał uratować się z odmętów, natychmiast padał ofiarą morderców. Taki oto był zbrodniczy proceder opryszków, których istnienia nikt nawet nie podejrzewał.

A tymczasem banda była nadal uwięziona na wyspie. Kongre potrafił spowodować zatonięcie paru statków, ale nie zdołał zwabić żadnego do zatoki Elgor, gdzie najłatwiej byłoby nim zawładnąć. Z drugiej zaś strony żaden statek z własnej woli nie szukał schronienia w głębi zatoki, mało znanej kapitanom, a gdyby nawet jakiś tam trafił, musiałby mieć nieliczną załogę, która nie byłaby w stanie obronić się przed piętnastoma bandytami. Czas mijał, pieczara wypełniała się po brzegi łupami o wielkiej wartości. Można zrozumieć, że wściekłość i zniecierpliwienie targały Kongrem i jego kamratami. Był to stały temat rozmów pomiędzy Carcantem a jego szefem.

— No i rzuciło nas na tę wyspę, jak rozbity statek na wybrzeże! — dogadywał Carcante. — I to wtedy, kiedy moglibyśmy załadować fracht wartości ponad stu tysięcy plastrów!

— Tak — mruzczał Kongre — trzeba będzie stąd odjechać za wszelką cenę!

— Kiedy i w jaki sposób? — pytał Carcante.

Ale jego pytanie pozostawało stale bez odpowiedzi.

— Nasze zapasy w końcu się wyczerpią — powtarzał. — Połowy są dobre, ale polowanie może zawieść! A w dodatku, co za straszne zimy spędza się na tej wyspie! O Boże! Jak pomyśle, ile jeszcze będziemy musieli przecierpieć!

Co na to wszystko miał odpowiedzieć Kongre? Był niezbyt rozmowny, mało komunikatywny, ale jakież wściekły gniew wrzał w jego duszy, kiedy opryszek zdawał sobie sprawę ze swojej bezsilności!

Tak oto przedstawiały się sprawy, kiedy nagle, na piętnaście miesięcy przed rozpoczęciem naszej opowieści, sytuacja uległa gwałtownej zmianie.

Na początku października 1858 roku z wyspy dostrzeżono parowiec pod argentyńską banderą, który manewrował, żeby wejść do zatoki Elgor.

Kongre i jego towarzysze szybko rozpoznali w nim okręt wojenny, przeciwko któremu nie mogli podjąć żadnej akcji. Toteż piorunem usunęli wszelkie ślady swojej obecności, zamaskowali wyloty obu jaskiń i wycofali się w głąb wyspy, żeby tam zaczekać na odjazd okrętu.

Był to “Santa Fé”, przybywający z Buenos Aires i przywożący na swym pokładzie inżyniera, któremu powierzono budowę latarni morskiej na Wyspie Stanów; właśnie ustalił on jej lokalizację.

Awizo pozostał tylko parę dni w zatoce Elgor i odpłynął, nie odkrywając schronienia Kongrego i jego bandy.

A tymczasem Carcante, który pod osłoną nocy prześliznął się do przystani, zdołał się zorientować, w jakim to celu “Santa Fé” .. zakotwiczył się w zatoce Elgor. W głębi tej zatoki zamierzano zbudować latarnię morską! Wydawało się, że jedynym rozsądnym wyjściem

będzie opuszczenie wyspy, i z całą pewnością Kongre tak by postąpił, gdyby miał po temu możliwość.

Herszt podjął najsłuszniejszą w tym wypadku decyzję. Znał już dobrze zachodnią część wyspy w okolicach Przylądka Św. Bartłomieja, gdzie mógł znaleźć schronienie w innych grotach. A ponieważ okręt miał powrócić w najbliższym czasie, przywożąc ekipę robotników potrzebnych do rozpoczęcia prac, Kongre nie tracąc ani jednego dnia zajął się przetransportowaniem wszystkiego, co uważał za niezbędne do przeżycia na okres roku, gdyż sądził, nie bez racji, że w takiej odległości od przylądka San Juan absolutnie nie ryzykuje, że go odkryją.

Jednakże na całkowite opróżnienie obydwu grot zabrakło mu czasu. Musiał więc ograniczyć się do przeniesienia większej części żywności, konserw, napojów, pościeli i ubrań, a także niektórych wartościowych przedmiotów, po czym starannie zamaskował wyloty głazami i suchą trawą, pozostawiając resztę łupów na pastwę losu.

W pięć dni po odjeździe, "Santa Fé" znowu ukazał się rankiem przed zatoką Elgor i znowu rzucił kotwicę w dawnej przystani. Wszystko zostało wyładowane: robotnicy i materiały. Ponieważ miejsce wybrano już wcześniej na kamienistym płacyku, natychmiast przystąpiono do robót przy budowie i, jak wiemy, wykonano je bardzo szybko.

W ten oto sposób banda Kongrego została zmuszona do szukania schronienia na Przylądku Św. Bartłomieja. Strumyk zasilany topniejącymi śniegami dostarczał potrzebnej ilości słodkiej wody. Połów ryb i, w pewnej mierze, polowanie pozwoliły na zaoszczędzenie zapasów, w które się zaopatrzyli bandyci przed opuszczeniem zatoki Elgor.

Z jaką niecierpliwością Kongre, Carcante i ich kamraci czekali, żeby budowa latarni została zakończona i żeby "Santa Fé" odplynął, po to by powrócić dopiero za trzy miesiące i przywieźć zmiany warty!

Rzecz jasna, że Kongre i Carcante zbierali informacje o wszystkim, co się działo w głębi zatoki. Przekradając się wybrzeżem od południa lub północy bądź też przemykając się drogą śródlądową czy szpiegując ze szczytów okalających na południu przystań Nev Year, mogli orientować się w stanie robót i przewidywać, kiedy zostaną zakończone. Wtedy to Kongre zamierzał wprowadzić w życie projekt, nad którym długo się zastanawiał. A poza tym, kto wie, czy teraz, kiedy zatoka Elgor będzie oświetlona, jakiś statek nie zawinie do niej i czy nie można będzie nim zawładnąć, gdy się zaskoczy i wymorduje załogę?

Nadszedł grudzień, miesiąc, w którym miał być ukończony montaż instalacji w latarni. Latarnicy pozostaną sami, a Kongre dowie się, kiedy to nastąpi po pierwszym promieniu światła, jaki latarnia wyśle w ciemność nocy.

Toteż w ciągu ostatnich tygodni któryś z opryszków zawsze przeprowadzał obserwacje z jednego ze wzgórz odległych o siedem czy osiem mil, skąd dobrze widać było latarnię; miał on polecenie powrócić jak najszybciej do kamratów, skoro tylko po raz pierwszy zapłonie w niej światło.

Zwiadowcą był właśnie Carcante i on to w nocy z dziewiątego na dziesiątego grudnia przyniósł wiadomość na Przylądek Św. Bartłomieja.

— Nareszcie! — krzyknął przybiegłszy do jaskini, gdzie czekał, Kongre. — Diabeł zapalił tę latarnię i niech ją diabeł zgasi!

— — Diabeł nie będzie nam potrzebny — odparł Kongre, wyciągając na wschód grożącą zaciśniętą pięść.

Minęło kilka dni i na początku następnego tygodnia Carcante, polując w okolicy portu Parry, trafił kulą guanako. Jak wiemy, zwierzę mu się wymknęło i padło trupem tam, gdzie do niego wyszedł Moriz, na skraju skalistego obrzeżenia, w pobliżu bukowego lasu. Od tej chwili Vasquez i jego towarzysze, nabrawszy pewności, że nie są jedynymi mieszkańcami wyspy, jeszcze baczniej zaczęli obserwować okolice zatoki Elgor.

Tak oto nadszedł dzień, w którym Kongre miał opuścić Przylądek Św. Bartłomieja i powrócić na przylądek San Juan. Bandyci postanowili zostawić swoje łupy w jaskini. Mieli zabrać z sobą jedynie prowiant na trzy czy cztery dni marszu, gdyż liczyli na żywność w latarni. Było to dwudziestego drugiego grudnia. Wyruszając o świcie i idąc znaną sobie drogą środkiem wyspy poprzez grzbiety górskie, w ciągu pierwszego dnia zamierzali pokonać jedną trzecią odległości. Pod koniec tego etapu liczącego jakieś dziesięć mil w górzystym terenie zatrzymają się na popas bądź pod osłoną drzew, bądź w jakiejś rozpadlinie skalnej.

Po tym odpoczynku, nazajutrz przed wschodem słońca, Kongre wyruszy w drugi etap, mniej więcej taki sam jak poprzedni, a na trzeci dzień, pokonawszy ostatni odcinek drogi, dotrze pod wieczór do zatoki Elgor.

Kongre przypuszczał, że do obsługi latarni pozostawiono tylko dwóch strażników. Ale to, w gruncie rzeczy, nie miało znaczenia. Vasquez, Moriz i Felipe nie zdołają oprzeć się bandzie, której obecności nawet nie podejrzewali w pobliżu latarni. Dwóch można będzie najpierw wykończyć w ich mieszkaniu, trzeciego zaś z łaty/ością pokonają na posterunku w pokoju wachtowym.

W ten sposób Kongre stanie się panem latarni. Będzie potem mógł zupełnie swobodnie przenieść pozostawione na Przylądku Św. Bartłomieja łupy i umieścić je ponownie w grocie u wejścia do zatoki Elgor.

Taki oto plan powstał w umysłach groźnych bandytów. A że musiał się udać, nie uległo najmniejszej wątpliwości. Ale czy potem szczęście będzie im tak samo sprzyjać? Było to już mniej pewne. Istotnie dalsze sprawy nie zależały już od herszta bandy. Trzeba najpierw, żeby do zatoki Elgor zawinął jakiś statek. Co prawda ta przystań będzie niebawem znana żeglarzom, zwłaszcza po podróżach "Santa Fé". A więc istnieją realne widoki na to, że jakiś statek, zwłaszcza o średnim tonażu, zechce schronić się do zatoki oświetlonej latarnią morską zamiast uciekać po wzburzonym morzu bądź przez cieśninę, bądź na południe wyspy... Kongre postanowił, że taki statek wpadnie w jego łapy i dostarczy mu tak długo wyczekiwanej możliwości ucieczki na Pacyfik, gdzie zbir kadzie miał zapewnioną bezkarność dla swoich zbrodni.

Ale to wszystko musi nastąpić przed powrotem awiza ze zmiana wartowników. Jeżeli Kongre ze swoją bandą nie opuszczą do tego momentu wyspy, będą musieli powrócić na Przylądek Św. Bartłomieja. A wtedy okoliczności już będą nie te same. Skoro kapitan Lafayate dowie się, że trzech jego latarnicy zniknęli, nie będzie miał wątpliwości, że padli ofiarą porwania lub morderstwa. Wówczas na całej wyspie zostaną zarządzone poszukiwania. A wizo nie odpłynie, zanim nie przeczesze jej od jednego krańca po przeciwny. W jaki sposób szajka zdoła się wymknąć pościgom i jak zapewni sobie egzystencję, gdyby taka sytuacja miała się przedłużyć? A przecież, jeśli zajdzie potrzeba, rząd argentyński wyśle jeszcze i inne statki. Nawet gdyby Kongre zdołał przechwycić jakąś łódź z Ziemi Ognistej — na co istniały bardzo nikłe szanse — cieśnina będzie pilnowana tak starannie, że nikt nie zdoła uciec na Ziemię Ognistą. Czy fortuna zechce tak dalece sprzyjać bandytom, że pozwoli im opuścić wyspę we właściwym czasie?

Wieczorem dwudziestego drugiego Kongre i Carcante przechadzali się rozmawiając po cyplu Przylądka Św. Bartłomieja i, zgodnie ze zwyczajem marynarzy, obserwowali niebo i ziemię.

Pogoda była niepewna, na horyzoncie wstawały chmury. Z północnego wschodu dęła silna bryza. Dochodziło pół do siódmej wieczór. Kongre i jego towarzysze zamierzali wrócić do swej jaskini, gdy Carcante się odezwał:

— A więc postanowione, że zostawiamy wszystkie nasze łupy na Przylądku Św. Bartłomieja?

— Tak — odparł Kongre. — Będzie łatwo przenieść je potem... kiedy będziemy panami zatoki... i kiedy...

Nie dokończył, urwał w pół zdania, ze wzrokiem skierowanym na morze, a po chwili powiedział:

— Carcante... popatrz tam... tam... na linii przyładka... Carcante wbił oczy we wskazanym kierunku.

— Oho! — odezwał się wreszcie — chyba się nie mylę... statek!

— Wydaje się, że bierze kurs na wyspę — ciągnął dalej Kongre — cały czas lawirując, gdyż ma przeciwny wiatr.

Istotnie, jakiś statek pod wszystkimi żaglami lawirował w odległości dwóch mil od Przyładka Św. Bartłomieja. Nie zważając na przeciwny wiatr, statek po trochu się przybliżał, a jeśli szukał cieśniny, to mógł do niej wejść przed nastaniem nocy.

— To mały szkuner — powiedział Carcante.

— . Mały dwumasztowiec, sto pięćdziesiąt do dwustu ton — dodał Kongre.

Co do tego nie było wątpliwości; mały dwumasztowiec chciał raczej wejść do cieśniny niż opłynąć Przyładek Św. Bartłomieja. Cała sprawa polegała na tym, czy dotrze na wysokość cieśniny przed zapadnięciem głębokich ciemności. Ale czy nie ryzykował przy wzmagającym się wietrze, że prąd rzuci go na podwodne skały?

Szajka w komplecie zgromadziła się na krańcu przyładka.

Nie po raz pierwszy, odkąd tu się zagnieździła, jakiś statek przepływał tak blisko Wyspy Stanów. Jak wiemy, bandyci w takich wypadkach starali się go zwabić za pomocą ruchomych ogni. I tym razem ktoś zaproponował zastosowanie tej metody.

— Nie — sprzeciwił się Kongre — nie trzeba, żeby ten szkuner się rozbił... Postarajmy się, żeby wpadł w nasze ręce. Wiatr i prądy są przeciwne... noc będzie ciemna. W żaden sposób nie zdoła wejść do cieśniny. Jeszcze jutro będziemy go mieli na wprost przyładka i zobaczymy, co dalej robić.

Po godzinie statek zniknął wśród gęstych ciemności i żadne światło nie zdradziło jego obecności na morzu.

W ciągu nocy wiatr zmienił nagle kierunek na południowozachodni. Nazajutrz o świcie, kiedy Kongre i jego kamraci zeszli na brzeg, zauważyli dwumasztowiec leżący na skałach Przyładka Św. Bartłomieja.

ROZDZIAŁ PIĄTY SZKUNER “MAULE”

Kongre od dawna nie uprawiał swego marynarskiego fachu. Czy kiedyś dowodził statkiem, a jeśli tak, to jakim i na jakich morzach? Jedynym człowiekiem, który mógłby o tym coś powiedzieć, był Carcante, tak jak i on marynarz oraz jego zastępca w czasie dawnej włóczęgi po oceanach i teraz na Wyspie Stanów. Ale zdradzał się ani słowem.

Rzecz jasna, że nie byłoby oszczerstwem rzucenie w twarz tym dwom nędznikom słowa: piraci. Niewątpliwie uprawiali oni ten karygodny proceder w strefie Wysp Salomona i Nowych Hebrydów, gdzie w owych latach często napadano na statki. I nie ulega kwestii, że dopiero po wymknięciu się pościgowi zorganizowanemu w tej części Pacyfiku przez Zjednoczone Królestwo, Francję i Amerykę, obaj bandyci schronili się na wyspach Archipelagu Magellana, potem na Wyspie Stanów, gdzie z piratów przedzierzgnęli się w rabusiów wraków.

Niektórzy spośród tych kamratów trudnili się dawniej rybołówstwem lub służyli jako marynarze na statkach handlowych i, co za tym idzie, byli także otrzaskani z morzem. Co zaś do przybyszów z Ziemi Ognistej, mieli oni uzupełnić załogę, gdyby szajce udało się zawładnąć dwumasztowcem.

Sądząc po kadłubie i po omasztowaniu, ów stateczek musiał mieć nie więcej niż sto pięćdziesiąt do stu sześćdziesięciu ton wyporności. Silny podmuch ze wschodu wepchnął go w nocy na ławicę piaskową usianą głazami, na których mógł się rozbić. Ale nie wyglądało na to, żeby kadłub był roztrzaskany. Pochylony na lewą, burtę, ze stwą przednią ukośnie zwróconą do lądu, statek wystawiał swoją prawą burtę w stronę otwartego morza. W tej pozycji można było widzieć jego pokład od kasztelu dziobowego aż po rufowy. Omasztowanie było nie uszkodzone, ocalały fokmaszt, grotmaszt oraz bukszpryt, tak samo jak i osprzęt oraz na pół zrefowane żagle, z wyjątkiem foka, kliwra i topsli, które były zwinięte.

Co się tyczy kapitana i załogi, to można było tylko snuć domysły. Najprawdopodobniej, widząc, że wicher i prąd spychają szkuner na niebezpieczny brzeg najeżony skałami, spuścili szalupę na wodę, nie mając wątpliwości, że ich statek rozbije się o skały, oni zaś zginą co do jednego. Pomysł godny pożałowania, pozostając bowiem na pokładzie, zarówno kapitan, jak i jego ludzie wyszliby opresji zdrowo i cało. Ale w tym stanie rzeczy wyglądało na to, że musieli zginąć, gdyż ich szalupa sterczała kilem do góry w odległości dwóch mil na północny wschód, popychana wiatrem w głąb Zatoki Franklina.

Wejście na pokład szkunera w czasie odpływu nie przedstawiało najmniejszej trudności. Z Przylądka Św. Bartłomieja można było przedostać się, idąc od jednej skały do drugiej, aż do miejsca katastrofy, znajdującego się w odległości najwyżej pół mili. Tak też postąpili Kongre i Carcante, zabierając z sobą jeszcze dwóch ludzi. Reszta ulokowała się jako obserwatorzy u podnóża krawędzi górskiej, pilnując, czy nie zobaczą jakiegoś pozostałego przy życiu rozbitka.

Kiedy Kongre wraz z towarzyszami przybyli na ławicę piaskową, cały statek sterczał ponad wodą. Ale ponieważ w czasie przyprływu poziom jej podnosi się o siedem do ośmiu stóp, szkuner niewątpliwie znajdzie się na dość głębokiej wodzie i będzie mógł odpłynąć, o ile oczywiście nie został poważnie uszkodzony.

Kongre nie omylił się szacując na sto sześćdziesiąt ton jego wyporność. Obszedł go dookoła, a gdy się znalazł przy tablicy rufowej, przeczytał na niej: “Maule” Valparaiso. A więc to chilijski statek rozbil się w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci grudnia przy Wyspie Stanów.

— Nareszcie coś, co nam załatwi sprawę — odezwał się Carcante.

— Jeżeli tylko statek nie ma dziury w kadłubie — odparł jeden z ludzi.

— Dziura w kadłubie czy jakaś inna awaria dają się naprawić — zwięźle wyraził swoją myśl Kongre.

Uważnie obejrzał podwodną część kadłuba od strony morza. Poszycie nie uszkodzone. Stewa przednia lekko wciśnięta w piasek wyglądała na nietkniętą, tak samo zresztą, jak i stewa tylna, a ster dobrze przylegał do okuć. Co zaś do części kadłuba spoczywającej na piasku, to trudno było się wypowiedzieć nie mogąc zbadać jej z zewnątrz. Po dwu godzinach przebywania na wodzie Kongre będzie wiedział, w jakim jest stanie. Na pokład! — skomenderował.

O ile pochylenie statku ułatwiało wejście nań z lewej burty, to jednak uniemożliwiało chodzenie po pokładzie. Trzeba było się czołgać wzdłuż relingu. Kongre z towarzyszymi przeszli trzymając się want grotmasztu.

Statek musiał osiąść na ławicy dość łagodnie, gdyż z wyjątkiem paru nie przywiązanych żerdzi, wszystko pozostało na miejscu.

Pierwszą troską Kongrego było wślizgnięcie się do kasztelu rufowego, chociaż miał sporo trudności z otwarciem drzwi. Znalazł tam kabinę kapitańską. Czepiając się ścianek, wszedł do niej, zabrał dokumenty pokładowe z szuflady znajdującej się w szafie ściennej i powrócił na pokład, gdzie oczekiwał go Carcante. Obaj uważnie sprawdzili listę załogi i dowiedzieli się z niej, że:

Szkuner "Maule" z portu Valparaiso, Chile, o wyporności stu pięćdziesięciu ton, dowodzony przez kapitana Pailhę, mając sześć osób załogi, wyruszył pod balastem w dniu dwudziestego trzeciego listopada na Wyspy Falklandzkie.

Po pomyślnym opłynięciu przylądka Horn "Maule" przygotowywał się do wejścia do Cieśniny Le Maire'a, ale wtedy właśnie zablądził na skałach podwodnych przy Wyspie Stanów. Ani kapitan Pailha, ani żaden inny człowiek z załogi nie zdołali wyjść żywo z katastrofy, no bo gdyby ktokolwiek się uratował, toby przecież szukał schronienia na Przylądku Św. Bartłomieja, a tymczasem, choć od świtu minęły już dwie godziny, nie zdołano zauważyć nikogo.

Jak wiadomo, szkuner nie wioził żadnego frachtu, gdyż szedł pod balastem na Malwiny. Ale najważniejsze było, żeby Kongre miał do swojej dyspozycji statek, na którym mógłby opuścić wyspę wraz z łupami, a będzie go miał, o ile zdoła ściągnąć z mielizny osiadły na niej dwumasztowiec.

Chcąc sprawdzić wewnątrz kadłuba, trzeba było przesunąć balast, który składał się ze starego żelastwa, wrzuconego jak popadło, luzem. Usunięcie go zajęłoby zbyt wiele czasu, w dodatku statek byłby zbyt narażony na niebezpieczeństwo, gdyby zerwał się silniejszy wiatr od morza. Należało przede wszystkim ściągnąć go z mielizny, gdy tylko podniesie się poziom wody. Otóż niebawem zaczęło się przypiływ i za parę godzin osiągnie swój szczyt.

Kongre powiedział do Carcantego:

— Przygotujemy wszystko, żeby odholować szkuner, skoro tylko będzie miał wystarczającą ilość wody pod stępką... Możliwe, że nie ma on wcale poważniejszych uszkodzeń i że nie przecieka...

— O tym dowiemy się niebawem — odparł Carcante — gdyż zaczyna się przypiływ. Co zrobimy potem, Kongre?

— Wycofamy "Maule" poza skały podwodne i przeprowadzimy go wzdłuż przylądka, w głąb Zatoczki Pingwinów, przed nasze pieczary. Tam nie będzie dotykał piasku nawet przy najniższym poziomie odpływu, gdyż jego zanurzenie nie przekracza sześciu stóp.

— No, a potem? — z uporem pytał Carcante.

— A potem załadujemy wszystko, cośmy tu przetransportowali z zatoki Elgor.

— I co dalej? — nalegał Carcante.

— Pomyślmy — odpowiedział Kongre.

Zabrali się do pracy, żeby nie stracić najbliższego przyływu, gdyż inaczej opóźniliby o dwanaście godzin ściągnięcie statku z mielizny. Należało za wszelką ceną dopiąć tego, żeby szkuner stał zakotwiczony w zatoczce przed południem. Tam byłby zawsze na wodzie, no i we względnym bezpieczeństwie, gdyby się utrzymała pogoda.

A więc najsamprzód Kongre przy pomocy swoich ludzi zluzował kotwicę przymocowaną po prawej burcie i zaczepił ją poza ławicą piasku, wyciągając łańcuch na całą jego długość. W ten sposób, z chwilą gdy stępka nie będzie już grzęzła w piasku, będzie można podciągnąć stateczek aż do miejsca, gdzie się znajdzie na głębokiej wodzie. Zanim jej poziom zacznie się obniżać, zdążą dotrzeć do zatoczki i w ciągu popołudnia dokonać pełnych oględzin ładowni.

Wszystkie te prace, sprawnie wykonane, zostały zakończone w chwili, gdy nadbiegła pierwsza fala przyływu. Za moment ławica piasku znajdzie się pod wodą.

Kongre, Carcante i z pół tuzina ich kamratów weszli na pokład, a tymczasem reszta dotarła do podnóża krawędzi górskiej. Teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Wszystko wskazywało na to, że okoliczności sprzyjają zamysłom Kongrego. Wiatr nasilił się nieco zmieniając kierunek na południowy i w ten sposób pomagał uwolnić statek.

Kongre wraz z towarzyszami stał na dziobie, który powinien był unieść się na wodzie wcześniej od rufy. Jeżeli, jak się tego niej bez słuszności spodziewano, dwumasztowiec zdoła obrócić się na stępce, nie pozostanie nic więcej jak wybrać łańcuch kotwiczny, żeby stewę przednią nakierować na pełne morze, a wtedy, przytrzymany łańcuchem długości około stu sążni, „Maule” znalazłby się ponownie w swoim naturalnym żywiole.

Tymczasem poziom morza podnosił się coraz bardziej. Po lekkich drganiach można było poznać, że kadłub statku odczuwa działanie przyływu. Woda przybierała długimi falami nie łamiącymi się na pełnym oceanie. Trudno było wprost marzyć o lepszych warunkach.

Choć Kongre wmawiał w siebie, że teraz zdoła uwolnić statek i umieścić go w bezpiecznym miejscu w jednej z odnóg Zatoki Franklina, to jednak nadal nie przestawała go nękać obawa, czy kadłub „Maule” nie jest przypadkiem zmiądzony po prawej burcie, tej leżącej na piasku, której nie dało się dotychczas zbadać. Gdyby się okazało, że przecieka, nie mieliby czasu szukać dziury pod balastem ani jej zaszpuntować. Dwumasztowiec nie zszedłby z mielizny, nabierałby wody i trzeba by porzucić go tu, na tym miejscu, gdzie pierwsza burza dokończyłaby dzieła zniszczenia.

Byłaby to klęska. Toteż Kongre i jego towarzysze z ogromną niecierpliwością obserwowali postępy przyływu. Jeżeli poszycie statku zostało wgniecione lub uszczelnienie nie wytrzymało, woda nie omieszka wtargnąć pod pokład i „Maule” już się nawet nie wyprostuje.

Ale w miarę jak przyływ narastał, wzburzone umysły zaczęły się uspokajać. Z każdą chwilą kadłub statku wynurzał się coraz bardziej. Woda podnosiła się wzdłuż burt, nie przedostając się do wnętrza. Jeszcze parę drgań udowodniło, że kadłub był nienaruszony: pokład odzyskiwał swoją normalną pozycję poziomą.

— Nie ma przecieku! Nie ma przecieku! — zawołał Carcante.

— Do kabestanu! — wydał rozkaz Kongre.

Handszpaki były w pogotowiu. Ludzie czekali tylko na rozkaz, żeby uruchomić kabestan.

Kongre pochylony nad blokiem kotwicznym obserwował falę, podnoszącą się już od dwóch i pół godzin. Stewa dziobowa zaczynała się poruszać, a przód stępki nie dotykał już piasku. Jednak tylnica była jeszcze uwięziona w dnie i ster nie chodził swobodnie. Trzeba będzie zapewne poczekać jeszcze z pół godziny, nim tył statku zostanie uwolniony.

Kongre, chcąc przyspieszyć operację ściągnięcia szkunera z mielizny, krzyknął z dziobu:

— Obracać!

Energicznie zakręcone handszpaki naciągnęły łańcuch i stewa już nie osiadła od strony morza.

— Trzymać mocno! — znowu krzyknął Kongre.

Istniało niebezpieczeństwo, że kotwica puści, a wtedy trudno byłoby ją na nowo umocować.

Teraz dwumasztowiec był już całkowicie podniesiony i przebiegając po ładowni Carcante upewnił się, że woda wcale się tam nie wdarła. A więc jeśli nawet statek doznał jakiejś awarii, to jednak poszycie miał nie uszkodzone. Można było żywić nadzieję, że „Maule” nie ucierpiał ani w chwili osiadania na mieliźnie, ani w ciągu dwunastu godzin spędzonych na ławicy piaskowej. W tych warunkach jego postój w Zatoczce Pingwinów nie potrwa długo.

Statek zostanie załadowany po południu i już nazajutrz można będzie nim wypłynąć na ocean. Zresztą, należało korzystać z pogody. Szkuner miał teraz pomyślny dla swego kursu wiatr, jeśli będzie przepływał przez Cieśninę Le Maire’a lub zechce okrążyć południowy brzeg Wyspy Stanów, żeby wyjść na Atlantyk.

Mniej więcej o dziewiątej spodziewano się średniego poziomu wody między przypływem a odpływem. Przy zmianie kwadry księżyca nigdy nie bywa wielkich przypływów, ale ponieważ szkuner miał stosunkowo małe zanurzenie, można było ufać, że ponownie znajdzie się na wodzie.

Istotnie, parę minut po pół do dziewiątej rufa zaczęła się unosić. „Maule” obrócił się, bez obawy awarii przy spokojnym morzu i na piaszczystej ławicy.

Kongre zbadał dokładnie sytuację i doszedł do wniosku, że w tak pomyślnych warunkach można zaryzykować podciągnięcie statku. Na jego rozkaz ludzie znowu zaczęli kręcić kabestan handszpakami i kiedy wybrali z tuzin sążni łańcucha, dziób statku zwrócił się wreszcie w stronę pełnego morza. Kotwica wytrzymała. Jej łapy mocno wpiły się w szczeliny skalne i prędzej by pękły, niż poddały się sile kabestanu.

— Mocno, chłopcy! — krzyknął Kongre.

Wszyscy się przyłożyli do roboty, nawet Carcante, a Kongre, wychylony przez burłę, obserwował rufę statku.

Nastąpiło parę chwil wahania, gdyż druga połowa stępki tarła jeszcze o piasek. Rozległy się przekleństwa i złorzeczenia ludzi ciężko dyszących przy kabestanie, którzy zlekli się, że kotwica trzaśnie albo się wyrwie! Trzeba byłoby wtedy czekać na wieczorny przypływ, żeby ją znowu umocować albo dodać do niej kotwicę zapasową. A kto potrafi przewidzieć, co może się stać za dwadzieścia cztery godziny i czy warunki atmosferyczne będą nadal tak korzystne?

W tym momencie przypływ osiągnął najwyższy poziom i za parę minut miał się zacząć odpływ. Ławica piaszczysta była zalana, tylko parę szczytów podwodnych skał sterczało z wody. Nie widać już było cypla przylądka, a na brzegu najdalsze miejsce, którego przez chwilę dotknęła fala przypływu, teraz było znowu suche.

Nie ulegało wątpliwości, że morze zaczyna się wycofywać powoli i że niebawem wokół ławicy piasku skały wynurzą się z wody zupełnie.

Rozległy się nowe wymyślenia. Wyczerpani, ciężko dyszący ludzie mieli już zamiar porzucić pracę, która nie mogła przynieść rezultatów. Wtedy Kongre podbiegł do nich z oczyma płonącymi wściekłością, pieniąc się z gniewu. Chwyciwszy siekiere, wrzasnął, że rąbnie nią pierwszego, który opuści swój posterunek, a wszyscy dobrze wiedzieli, że nie zawaha się przed spełnieniem groźby. Więc znowu ujęli za handszpaki i pod ich naporem łańcuch napiął się grożąc zerwaniem i rozgniatając miedziane poszycie kluz.

Wreszcie rozległ się upragniony dźwięk i zapadka kabestanu trafiła do otworu. Statek wykonał drobny ruch w stronę morza. Drażek steru drgnął, co wskazywało na to, że ster oswobadza się pomalą z piasku.

— Hura! Hura! — wrzasnęli bandyci czując, że szkuner się uwolnił. Koniec stępki prześliznął się po zagłębieniu w piasku, kabestanem zaczęło szybciej obracać i za parę minut statek holowany przez swoją kotwicę unosił się na wodzie poza ławicą.

Kongre natychmiast rzucił się do koła. Łańcuch sflaczał, kotwica oderwała się od dna, podciągnięta na bloku. Teraz trzeba było już tylko przepłynąć pomiędzy podwodnymi skałami, żeby dotrzeć do przystani w Zatoce Franklina.

Kongre kazał postawić tylko fok, gdyż uważał, że to powinno wystarczyć. W tym stanie przyływu, wody było wszędzie pod dostatkim. W pół godziny później, po minięciu ostatnich skał sterczących wzdłuż brzegu, szkuner rzucił kotwicę w Zatooczce Pingwinów, w odległości dwóch mil od krańca Przylądka Św. Bartłomieja.

ROZDZIAŁ SZÓSTY ZATOKA ELGAR

Operacja ściągnięcia statku z mielizny udała się więc znakomicie. Ale nie oznaczało to końca kłopotów. Trudno było uważać, że szkuner jest całkowicie bezpieczny w małej zatoczce wyłobionej w nabrzeżu Przylądka Św. Bartłomieja, był tam bowiem zbyt narażony na bałwany pędzące z pełnego morza oraz na nawałnice z północnego zachodu. Przy wielkich przyływach okresu zrównania nie mógłby pozostać nawet jednej doby w tej przystani. Kongre wiedział o tym dobrze. Toteż zamierzał wyjść z zatoczki następnego dnia, wykorzystując odpływ, aby choć w części przebyć Cieśninę Le Maire'a.

Najpierw jednak trzeba było dokończyć szczegółowych oględzin statku i sprawdzić stan kadłuba od wewnątrz.

Kongre natychmiast zapędził ludzi do roboty, żeby przesunęli balast wypełniający ładownię aż po wręgi prawej i lewej burty.} Przynajmniej przeniesiono stare żelastwo z dziobu na rufę, | żeby móc obejrzeć przednią część poszycia.

Skrupulatnej lustracji dokonali Kongre i Carcante przy pomocy Chilijczyka imieniem Vargas, który ongiś pracował jako cieśla w stoczni okrętowej w Valparaiso i dobrze znał swój zawód.

W całej partii znajdującej się pomiędzy stwą dziobową a piętą fokmasztu nie stwierdzono najmniejszego uszkodzenia. Wręgi, żebra i poszycie były w dobrym stanie; złączone mosiężnymi nitami, nie odczuły bynajmniej wstrząsu w chwili, gdy szkuner rzuciło na mieliznę.

Kiedy przesunięto balast do przodu, stwierdzono, że kadłub jest także nienaruszony od fokmasztu aż do grotmasztu. Wsporniki się nie ugięły ani nie wykrzywiły, a trap prowadzący do środkowego luku nawet się nie przesunął.

Wtedy zajęto się ostatnią partią statku aż do tylnicy. Tam wykryto dość poważną awarię. Wprawdzie nie zauważono przebiccia, ale jednak wręgi prawej burty były wciśnięte na długości około pięciu stóp.

A więc w chwili kiedy statek miał wyruszyć, narzucała się konieczność dokonania naprawy, chyba że chodziłoby o bardzo krótki rejs przy spokojnej pogodzie. W dodatku trzeba było się liczyć i z tym, że naprawa zajmie cały tydzień, zakładając nawet, że znajdą się na miejscu materiały i narzędzia konieczne do pracy.

Kiedy Kongre i jego kamraci dowiedzieli się, jak sprawy stoją, przekleństwa, zupełnie usprawiedliwione w tych okolicznościach, zastąpiły okrzyki radości, jakimi powitano ściągnięcie statku z mielizny. Czyżby nie nadawał się do użytku? Czy nie zdołają już nigdy opuścić Wyspy Stanów?

Kongre wtrącił się, mówiąc:

— Nie chcę przed wami zatajać, że awaria jest poważna... W obecnym stanie nie moglibyśmy liczyć na "Maule", gdyż w razie burzy statek mógłby się rozlecieć... A przecież mamy do przebycia setki mil, zanim dotrzemy do wysp na Pacyfiku! Narazilibyśmy się więc na ryzyko zatonięcia w drodze. Ale awaria jest do naprawienia i my ją naprawimy.

— Gdzie? — zapytał jeden z Chilijczyków, nie ukrywając swego niepokoj.

— W każdym razie nie tutaj — stwierdził drugi.

— Nie — odparł Kongre zdecydowanym tonem. — W zatoce Elgor.

Szkuner mógł istotnie przebyć odległość dzielącą go od zatoki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Musiał tylko popłynąć wzdłuż brzegów wyspy, bądź od południa, bądź od północy. W jaskini, gdzie pozostawiono wszystkie łupy pochodzące z rabunku wraków, cieśla miałaby do swojej dyspozycji drewno i narzędzia niezbędne do tej naprawy. Jeśli trzeba będzie

pozostać w przystani dwa czy trzy tygodnie, "Maule" tam pozostanie. Sezon letni powinien potrwać jeszcze ze dwa miesiące, ale przynajmniej Kongre i jego towarzysze wyruszą z Wyspy Stanów na pokładzie statku, który po usunięciu uszkodzeń zapewni im całkowite bezpieczeństwo.

Nadzieja ponownie wstąpiła w bandytów, więc zabrano się do przygotowań, żeby móc nazajutrz wyruszyć w kulminacyjnym momencie przyływu.

Co zaś do obecności na wyspie strażników latarni morskiej, to taki drobiazg nie przerażał szajki piratów. Kongre w kilku słowach wyłuszczył swój projekt.

— Zanim przyłynął tutaj ten dwumasztowiec — powiedział herszt do Carcatego, gdy tylko znaleźli się sami — byłem zdecydowany objąć znowu w posiadanie zatokę Elgor. Moje zamiary nie uległy zmianie. Tyle tylko, że zamiast udać się tam drogą lądową, unikając pokazywania się komukolwiek, przybędziemy z morza otwarcie, "Maule" wejdzie do zatoczki rzucić kotwicę... tam nas przyjmą nie podejrzewając niczego... no i...

Gest, który Carcante doskonale zrozumiał, zakończył wywód Kongrego. Zaiste, projekt tego nędznika miał wszelkie szanse powodzenia. Jeżeli nie stanie się jakiś cud, to ani Vasquez, ani Moriz i Felipe nie zdołają uniknąć losu, który im zagrażał.

Popołudnie poświęcono na przygotowania do odjazdu. Kongre kazał rozmieścić balast i zajął się ładowaniem na statek żywności, broni i innych przedmiotów przeniesionych na Przylądek Św. Bartłomieja.

Krótko mówiąc, wszyscy tak się uwijali, że koło czwartej po południu cały ładunek był już na pokładzie. Szkunier mógłby zaraz wyruszyć, ale Kongre wolał nie żeglować po nocy wzdłuż brzegu najeżonego podwodnymi skałami. Pod wieczór w atmosferze nie zaszła najmniejsza zmiana. O zachodzie słońca nie było nigdzie najlżejszej mgiełki, a linia styku nieba i wody rysowała się z taką czystością, że powietrze przeszył zielony promień w chwili, gdy tarcza słońca chowała się za widnokregiem.

Wszystko wróżyło, że noc będzie spokojna, i tak też się stało. Większość mężczyzn spędziła ją na statku, jedni na wachcie, inni pod pokładem. Kongre zajmował kabinę kapitana Pailhi na prawo, Carcante kabinę pierwszego oficera na lewo od kubryku.

Parokrotnie obaj wychodzili na pokład, żeby obserwować stan wody i nieba i upewnić się, że nawet podczas pełni przyboru "Maule" nie jest narażony na żadne niebezpieczeństwo i że nic nie opóźni ich jutrzejszego odjazdu.

Rzeczywiście, wschód słońca zapowiadał się wspaniały. Na tej szerokości rzadko widzi się je, jak wstaje ponad tak czystym horyzontem.

Gdy się tylko rozwidniło, Kongre popłynął łódką na cypel Przylądka Św. Bartłomieja i wdrapał się wąską ścieżką na sam szczyt skalnej krawędzi.

Z tej wysokości jego wzrok mógł ogarnąć obszerną przestrzeń morza na trzech kwadrantach kompasu. Tylko na wschodzie widok zasłaniały masywy górskie, wznoszące się pomiędzy przylądkami Św. Antoniego i Kempe.

Ocean, spokojny na południu, był dość burzliwy przy wejściu do cieśniny, gdyż wiatr przybierał na sile, co zapowiadało ochłodzenie.

Kongre bez wahania podjął decyzję. Obawiając się, zresztą słusznie, żeby wiatr nie przypędził dokuczliwego chłodu i pragnąc przede wszystkim oszczędzić statek i nie narażać go na większe fale w cieśninie, zawsze silne w porze zmiany pływów, postanowił iść wzdłuż południowych brzegów wyspy i dotrzeć do zatoki Elgor opływając przylądki Kempe, Webster, Several i Diegos. Zresztą, od południa czy północy, odległość była mniej więcej taka sama.

Kongre zszedł ze wzgórza, wrócił na brzeg, udał się do grotty, gdzie stwierdził, że nie zapomniano o żadnym drobiazgu. Nic więc nie zdradzi obecności gromady ludzi na zachodnim krańcu Wyspy Stanów.

Było krótko po siódmej. Zaczynał się już odpływ, a więc czas pomyślny dla wyjścia z zatoczki. Natychmiast podniesiono kotwicę, po czym postawiono foksztaksel i fok, co przy wietrze z północnego wschodu powinno było wystarczyć do przepchnięcia "Maule" poza ławice piasku.

Kongre stał przy sterze, a Carcante pilnował dziobu. Po dziesięciu minutach wydostał się z labiryntu podwodnych skał i niebawem zaczął odczuwać lekkie kołysanie boczne i wzdłużne.

Na rozkaz Kongrego Carcante polecił postawić bezan i grot, który jest największym żaglem w ożaglowaniu szkunera, potem zaś wciągnąć marsel. Kiedy te żagle zostały podniesione i ustawione, "Maule" wziął kurs na południowy zachód, żeby od strony pełnego morza opłynąć najdalszy kraniec Przylądka Św. Bartłomieja. W pół godziny statek minął ostatnie jego skały. Wtedy zrobił zwrot na wiatr i wziął kurs na wschód, tak by iść bejdewindem, który był korzystny pod osłoną południowego wybrzeża wyspy, położonej o trzy mile po nawietrznej.

W tym czasie Kongre i Carcante mogli się przekonać, że ten lekki statek dobrze chwytą wiatr w żagle. Wypłynięcie nim podczas lata na wody Pacyfiku poza ostatnie wyspy Archipelagu Magellana nie przedstawiało najmniejszego ryzyka.

Tego pierwszego dnia "Maule" nie spotkał żadnego statku; zapadł już zmrok, kiedy zawinął do przystani na wschód od przylądka Webster, po przebyciu mniej więcej połowy trasy.

Tutaj piętrzyły się olbrzymie skały i wznosiły najwyższe na tej wyspie pasma górskie. "Maule" rzucił kotwicę w zagłębieniu wybrzeża, w zatoczce osłoniętej cyplem przylądka; żaden statek nie byłby bezpieczniejszy w głębi portu albo nawet w samym basenie.

Noc z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty grudnia by niezwykle spokojna. Wiatr, który się uciszył około dziesiątej wieczorem, znowu zerwał się dopiero przed świtem, około czwartej nad ranem.

Gdy tylko zajaśniał pierwszy brzask dnia, Kongre wydał zarządzenia związane z odjazdem. Postawiono znowu żagle, zwinięte noc, kabestan wciągnął kotwicę, i "Maule" ruszył w drogę.

Przylądek Webster wychodzi na jakieś cztery do pięciu mil w morze, z północy na południe. Szkuner musiał zatem cofnąć się żeby powrócić na wybrzeże biegnące w kierunku wschodnim cypla Several na długości około dwudziestu mil.

Gdy tylko "Maule" powrócił na swój kurs, ruszył dalej w takie samych warunkach, jak poprzedniego dnia, i znowu znalazł na spokojnych wodach pod osłoną wysokich gór.

Statek sunął pod głównymi żaglami, w odległości niespełna trzech mil od brzegu. Ponieważ Kongre nie znał dobrze tego lądu, słusznie obawiał się zbliżyć do niego za bardzo. Z drugiej zaś strony, nie chcąc zbytnio narażać statku, trzymał się spokojnych wód których nie znalazłby daleko od wyspy, na pełnym morzu.

Jednakże koło dziesiątej, gdy dotarli do wylotu zatoki Blossa, nie dało się całkowicie uniknąć dużej fali. Wiatr, wdzierając się do zatoki wrzynającej się głęboko w ląd, podnosił wysokie bałwany, które szkuner odbierał bokiem, ciężko stękając. Kongre nie zmieniał kursu, chcąc opłynąć cypel zamykający zatokę od wschodu, a kiedy minął ten punkt, wyostrzył do wiatru i lewym halsem wyszedł dalej w morze.

Herszt sam stanął przy sterze i z najmocniej wybranymi szotami trzymał, jak mógł najostrzej na wiatr. Dopiero koło czwartej po południu uznał, że wygrał ten wyścig z wiatrem i że może teraz jednym skokiem dotrzeć do celu. Wtedy zmienił hals, dokonał zwrotu przez rufę i wziął wyraźnie kurs na zatokę Elgor, pozostawiając cypel Several w tym momencie o cztery mile na północnym zachodzie.

Z tej odległości widać było całą panoramę wybrzeża, aż do przylądka San Juan. Jednocześnie po drugiej stronie cypla Diegos wyłoniła się wieża Latarni na Końcu Świata, którą Kongre oglądał po raz pierwszy. Patrząc przez lunetę znaną w kabinie kapitana

Pailhi, mógł nawet dostrzec jednego z latarników stojącego na galerii i obserwującego morze. Ponieważ do zachodu słońca pozostało jeszcze trzy godziny, "Maule" niechybnie zdąży stanąć na kotwicy przed zapadnięciem nocy.

Było więcej niż pewne, że stateczek nie mógł ujść uwadze strażników i że jego przybycie na wody Wyspy Stanów zostało już odnotowane. Tak długo, dopóki Vasquez i jego towarzysze widzieli, że statek płynie w stronę pełnego morza, mogli pomyśleć, iż kieruje się na Falklandy. Ale odkąd zmienił kurs, nie powinni byli wątpić, że zamierza wejść do zatoki.

Niewiele już obchodziło Kongrego, że ich szkuner został zauważony ani że latarnicy podejrzewają go o chęć rzucenia tu kotwicy. Nie mogło to w niczym zmienić jego planów.

Ku jego wielkiemu zadowoleniu zakończenie przeprawy miało się dokonać w warunkach dość pomyślnych. Wiatr dał nieco bardziej ze wschodu. Trzymając żagle zluźnione prawie do łopotu, dwumasztowiec zbliżał się, przy czym nie musiał nawet lawirować, żeby opłynąć cypel Diegos.

Była to okoliczność nad wyraz szczęśliwa. Kto wie, czy w tym stanie, w jakim znajdował się kadłub, statek wytrzymałby serię zwrotów, które by go zmęczyły, naraziły na szwank, a może nawet ujawniłoby się jakieś przebicie, nim doszedłby do celu.

Tak się zresztą stało. Kiedy "Maule" znajdował się o niecałe dwie mile od zatoki, jeden z załogi, który wpadł pod pokład, wyłazł z krzykiem, że woda się przedostaje przez pęknięcie w poszyciu.

W tym właśnie miejscu wręgi ustąpiły pod wpływem uderzenia o skałę. Poszycie wytrzymało do tej pory, ale teraz zaczęło pękać, aczkolwiek zaledwie na długości kilku cali.

W gruncie rzeczy awaria nie była szczególnie groźna. Przesunawszy balast, Vargas bez zbyteńnego trudu zdołał zatkać dziurę czopem z pakuł.

Była już szósta, gdy "Maule" znalazł się w odległości półtorej od wejścia do zatoki Elgor. Kongre kazał wówczas ściągnąć górne żagle, bez których mógł się teraz obejść. Zatrzymano tylko marsel, fok i bezan. Pod tymi żaglami "Maule" bez trudu dotrze do przystani w głębi zatoki Elgor pod dowództwem Kongrego który, jak wiadomo, doskonale znał drogę i mógłby służyć za pilota.

Zresztą, około pół do siódmej wieczorem na morze trysnął snop światła. To zapłonęła latarnia, a pierwszym statkiem, któremu miała ona oświetlić wejście do zatoki, był chilijski szkuner znajdujący się w rękach bandy piratów.

Dochodziła siódma i słońce chowało się za wysokimi szczytami Wyspy Stanów, kiedy "Maule" pozostawił po prawej burcie przylądek San Juan. Otwierała się przed nim zatoka. Kongre wszec do niej fordewindem.

Gdy przepływali obok pieczar, Kongre i Carcante mogli się upewnić, że nic nie wskazuje na to, żeby ktoś miał je odkryć pod zwałami kamieni i osłoną z krzaków, maskującymi wyloty. A zatem nic nie zdradzało ich obecności na wyspie i odnajdą plon swoich grabieży w takim stanie, w jakim je pozostawili.

— Wszystko idzie bardzo dobrze — powiedział Carcante do szefa, z którym stał na rufie statku.

— Niebawem pójdzie jeszcze lepiej — dodał Kongre.

Nie minęło dwadzieścia minut, a już "Maule" dotarł do przystani, gdzie miał się zakotwiczyć. W tej samej chwili został wezwany do wylegitymowania się przez dwóch mężczyzn, którzy zeszli z nasypu latarni na brzeg.

Byli to Felipe i Moriz. Szykowali już szalupę, żeby się nią udać na pokład dwumasztowca. Tymczasem Vasquez trzymał wartę w pokoju służbowym.

Kiedy szkuner znalazł się pośrodku przystani, jego marsel i bezan były już zwinięte i statek szedł tylko pod fokiem, który Carcante kazał ściągać.

W chwili kiedy kotwica miała dotknąć dna, Moriz i Felipe wskoczyli na pokład "Maule". Natychmiast, na znak dany przez herszta, pierwszy z nich został uderzony siekierą w głowę i

upadł. Jednocześnie rozległy się dwa strzały z rewolweru i Felipe padł obok swego kolegi. W jednej sekundzie obaj ponieśli śmierć. Przez okno pokoju wartowników Vasquez usłyszał strzały i zobaczył, jak mordowano jego towarzyszy. Czekał go taki sam los, gdyby i on dostał się w ręce piratów. Od tych zbrodniarzy nie należało oczekiwać żadnej łaski. Biedny Felipe, biedny Moriz, ich zwierzchnik nic nie mógł zrobić, żeby ich uratować, i tkwił bezradnie na górze, przerażony potworną zbrodnią, dokonaną w ciągu paru sekund!

Gdy minął pierwszy moment zaskoczenia, Vasquez odzyskał zimną krew i szybko dokonał oceny sytuacji. Trzeba było za wszelką cenę wymknąć się zakusom tych nędzników. Może nie wiedzieli o jego istnieniu, raczej należało jednak przypuszczać, że kiedy zakończą manewry związane z zakotwiczeniem statku, wówczas wpadną na pomysł wdarcia się do latarni i na pewno będą chcieli wygasić jej światło, żeby zatokę uczynić niezdatną dla żeglugi przynajmniej w nocy.

Bez wahania Vasquez opuścił pokój wartowników i rzucił się schodami w dół do mieszkalnego pomieszczenia na parterze. Nie miał ani chwili do stracenia. Już słychać było odgłosy szalupy odbijającej od dwumasztowca, żeby wysadzić na ląd kilku ludzi z załogi.

Vasquez wziął dwa rewolwery, wsadził je za pas, wpakował do worka trochę żywności, zarzucił go sobie na ramię, po czym wyszedł z mieszkania, szybko zbiegł ze skarpy i nie zauważony przez nikogo zniknął wśród ciemności.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

GROTA

Jakąż okropną noc miał przed sobą nieszczęsny Vasquez, w jakiej się znalazł strasznej sytuacji! Jego biedni towarzysze zostali zmasakrowani, potem wyrzuceni za burtę, a odpływ ciągnął teraz na pełne morze ich zwłoki! Nie zastanawiał się wcale nad tym, że gdyby nie pełnił akurat warty w latarni, spotkałby go taki sam los. Myślał jedynie o przyjaciółach, których dopiero co stracił.

“Biedny Moriz, biedny Felipe! — mówił sam do siebie. — Poszli zaofiarować z pełnym zaufaniem swoje usługi tym nędznikom, a odpowiedziano im strzałami z rewolweru! Nigdy już ich nie zobaczę... a oni nigdy już nie zobaczą swojej ojczyzny ani swoich rodzin... Biedna żona Moriza, która oczekiwała go za dwa miesiące... zamiast tego dowie się o jego śmierci!”

Ale skąd przybył ten szkuner i jakąż to bandycką załogę miał na swoim pokładzie?

Pod jaką banderą dotąd pływał i dlaczego dzisiaj wszedł do zatoki Elgor?

Zatem piraci ją znali? Ale po co tu przybyli? Dlaczego, gdy tylko wylądowali, zaraz zgasili latarnię? Czyżby chcieli przeszkodzić innym statkom wejść za nimi do zatoki? Takie oto pytania cisnęły się do głowy zrozpaczonego Vasqueza, lecz nie znajdował na odpowiedzi.

Z miejsca, które obrał sobie za schronienie na brzegu zatoki, w odległości niespełna dwustu kroków od przystani, Vasquez widział, jak przesuwano się światło latarni okrętowej, to na pokładzie statku, to w ogrodzeniu latarni morskiej, to znów w oknach mieszkania. Słyszał, jak ludzie nawoływali się głośno, i to w jego ojczystym języku.

Wreszcie, koło dziesiątej, wszystkie światła pogasły i nic już nie zakłócało ciszy nocnej.

Vasquez nie mógł pozostać w tym miejscu.

Gdy wstanie świt, odnajdą go tu niezawodnie, a ponieważ ze strony tych bandytów nie należało spodziewać się najmniejszego nawet odruchu litości, trzeba będzie koniecznie ukryć się poza ich zasięgiem.

W którą stronę miał skierować swoje kroki?

W głąb wyspy, gdzie się znajdzie we względny bezpieczeństwie?

Czy też odwrotnie, w stronę zatoki, skąd, być może, zabierze go jakiś statek przepływający w pobliżu? Ale czy to w głębi wyspy, czy na jej brzegu, jak ma sobie zapewnić egzystencję do chwili przybycia zmiany warty? Żywność, którą zdążył zabrać, szybko się wyczerpie. Nie minie czterdzieści osiem godzin, nie pozostanie z niej ani śladu. W jaki sposób odnowić zapasy? Nie miał nawet przy sobie sprzętu rybackiego! No i jak zdobyć ogień? Miałże być skazany na żywienie się mięczakami i muszelkami?

W końcu jednak zwyciężyła wrodzona energia. Trzeba było podjąć decyzję, więc ją podjął.

Postanowił mianowicie dotrzeć niezwłocznie do nabrzeża przylądka San Juan i tam przenocować. Gdy nastanie dzień, wtedy się zastanowi.

Vasquez opuścił miejsce, z którego obserwował dwumasztowiec. Nie dobiegał już z niego najlżejszy odgłos, najmniejsze światełko.

Zbrodniarze czuli się bezpieczni w tej zatoczce i na pokładzie chyba nie pozostawili nikogo na wachcie.

Vasquez poszedł wzdłuż północnego brzegu trzymając się podnóża krawędzi górskiej. Słyszał tylko cichy plusk opadającej fali i niekiedy krzyk zapóźnionego ptaka, powracającego do swego gniazda.

Dochodziła jedenasta, gdy zatrzymał się na krańcu przylądka. Nie znalazł tu lepszego schronienia poza wąską szczeliną, w której pozostał aż do świtu.

Zanim słońce oświetliło horyzont, Vasquez opuścił swoją kryjówkę, zszedł nad morze i popatrzył, czy nikt nie nadchodzi od strony latarni albo zza zakrętu urwiska na cyplu przylądka San Juan. Po obu brzegach zatoki nabrzeże było puste. Nie widać było ani jednej łodzi, chociaż teraz bandycka załoga "Maule" miała do swojej dyspozycji aż dwie, łódkę z "Maule" i szalupę przydzieloną do użytku latarników. Na morzu w pobliżu wyspy nie przepływał żaden statek.

Vasquez pomyślał, jak bardzo niebezpieczną stała się żegluga Przy brzegach Wyspy Stanów, odkąd latarnia przestała funkcjonować.

Statki idące z pełnego morza nie będą już pewne swojej pozycji. Spodziejając się dostrzec światło zainstalowane w głębi zatoki Elgor, z ufnością wezmą kurs na zachód i może się zdarzyć, wpadną na niebezpieczne wybrzeże pomiędzy przylądkiem Juan a cyplem Several.

— Zgasili ją, dranie! — wykrzyknął zrozpaczony Vasquez. A ponieważ w ich interesie nie leży ponowne jej zapalenie, więc jej nie zapalą!

Siedząc na boku skalnym Vasquez rozmyślał o wszystkim, co zaszło od wczorajszego dnia. Patrzył, czy prąd nie niesie ciała je nieszczęsnych towarzyszy... Nie, odpływ już dokonał swego dzieła, zwłoki bestialsko pomordowanych zostały pochłonięte przez morską głębinę!

Sytuacja ukazała mu się teraz w całej swej przerażającej rzeczywistości.

Cóż mógł zrobić? Nic, nic innego, jak tylko czekać na powrót "Santa Fé". Ale przejdą dwa długie miesiące, zanim awizo ukaże się u wejścia do zatoki Elgor. Nawet zakładając, że piraci wpadną wcześniej na jego trop, jak zdoła zapewnić sobie wyżywienie?

Przede wszystkim latarnik pomyślał o poszukaniu jakiegoś schronienia.

Pomieszczenie mieszkalne przy latarni musiało zdradzić piratom fakt, że obsługa składa się z trzech osób. Bez najmniejszej wątpliwości będą chcieli za wszelką cenę pozbyć się tego trzeciego, który im się wymknął, no i nie omieszkają wszcząć pościgu w okolicy przylądka San Juan.

Ale i tym razem energia nie opuściła Vasqueza, rozpacz nie łamała tego zahartowanego przeciwnościami losu człowieka.

Po starannych poszukiwaniach odkrył wreszcie wąskie wyżłobienie głębokości dziesięciu stóp, szerokości pięciu do sześciu w pobliżu kąta utworzonego przez spadzistą skarpe i brzeg przylądka San Juan.

Dno tej grotki pokryte było drobnym piaskiem, nie sięgały największe nawet przyływy i nie docierały ostre wiatry od morza. Vasquez wsunął się do zagłębienia, złożył tam nieliczne przedmioty zabrane z mieszkania i skape zapasy przyniesione w worku. Co zaś do słodkiej wody, to mały strumyczek, zasilany topniejącymi śniegami i spływający pod urwiskiem ku zatoce, zabezpieczał go przed pragnieniem.

Vasquez zaspokoił nieco głód sucharem i kawałkiem wołowej konserwy.

Kiedy zamierzał wyjść, żeby się napić, usłyszał w niedalekiej odległości szmer i zatrzymał się.

— To oni — mruknął sam do siebie.

Wyciągnął się pod ścianką grotki, tak że mógł wszystko widzieć, sam nie będąc widziany, i patrzył w stronę zatoki.

Łódź z czterema ludźmi płynęła z prądem. Dwaj wiosłowali z przodu, dwaj inni, z których jeden trzymał ster, umieścili się z tyłu.

Była to łódź ze szkunera, a nie szalupa z latarni morskiej.

"Co oni zamierzają robić? — zapytał sam siebie Vasquez. — Czyżby to mnie poszukiwali? Ze sposobu żeglowania tych łajdaków po zatoce można wywnioskować, że znali ją wcześniej i że nie pierwszy raz ich stopa dotyka wyspy. Więc nie przypłynęli tu, żeby zwiedzić wybrzeże. Jeśli im nie chodzi o pojmanie mnie, to jaki jest cel ich wyprawy?"

Vasquez dalej obserwował. Jego udaniem ten, który sterował łodzią, najstarszy z całej czwórki, musiał być hersztem bandy i kapitanem dwumasztowca. Latarnik nie potrafiłby

powiedzieć, jakiej był narodowości, ale wydało mu się, że jego towarzysze sądząc po ich twarzach należeli do rasy hiszpańskiej z Południowej Ameryki.

W tym momencie łódka po przepłynięciu wzdłuż północnego brzegu znajdowała się prawie u wejścia do zatoki, o jakieś sto kroków powyżej grotu, w której ukrył się Vasques. Ten nie tracił jej z oczu.

Herszt dał znak ręką i wiosła znieruchomiały. Małe przesunięcie steru i łódka z rozpędu przybiła do brzegu i wryła się w plażę. Cała czwórka wyskoczyła, ale przedtem jeden z mężczyzn wbił bosak w piasek.

Wtedy takie oto urywki rozmowy dobiegły do uszu podsłuchującego Vasqueza:

— To na pewno tutaj?

— Tak. Pieczara jest tu, niedaleko, dwadzieścia kroków przed zakrętem.

— Ale mieliśmy cholerne szczęście, że ci latarnicy jej nie znaleźli!

— W drogę! — rozkazał szef.

Dwaj jego towarzysze i on sam poszli na ukos przez plażę, która w tym miejscu miała ze sto kroków szerokości, od morza do noża krawędzi skalnej.

Ze swojej kryjówki Vasquez bacznie śledził każdy ich r i nadstawiał uszu, żeby nie uronić ani jednego słowa. Pod ich nogami skrzypiał piasek usiany muszelkami.

Ale wkrótce te odgłosy ucichły w dali i przyczajony Vasquez już tylko mógł zobaczyć mężczyznę chodzącego tam i z powrót przed łódką.

“Mają tu blisko jakąś melinę” — pomyślał.

Nie mógł dłużej wątpić, że szkunerem przyplęnęła banda morskich rabusiów, rzezimieszków, którzy mieszkali na Wyspie Stanów przed rozpoczęciem prac przy latarni. Czyżby w tej grocie schowali swoje łupy? I czy nie chcą zabrać ich na pokład dwumasztowca?

Nagle olśniła go myśl, że muszą tu być nagromadzone zapasy żywności, z których mógłby skorzystać. Natychmiast promień nadziei wśliznął się do jego duszy.

Skoro tylko łódka powróci na miejsce postoju statku, on wyjdzie ze swojej kryjówki, poszuka otworu jaskini, wczółga się tam i znajdzie zapasy, które muszą mu wystarczyć aż do powrotu awiza.

A skoro będzie miał w ten sposób zapewnione środki do życia, to jeszcze pragnąłby tylko jednego: żeby zbrodniarze nie zdołali opuścić wyspy! Niechby jeszcze tu byli, kiedy powróci “Santa Fé” i niechby kapitan Lafayate wymierzył im sprawiedliwość.

Ale czy to życzenie zostanie spełnione?

Po głębszym zastanowieniu latarnik Vasquez doszedł do wniosku, że piracki szkuner przybył do zatoki Elgor wszystkiego na dwa czy trzy dni, żeby załadować to, co się znajduje w grocie, a zaraz potem odpłynie z łupem z Wyspy Stanów i nigdy więcej już tu zawinie.

Niebawem już miał zdobyć na ten temat zupełnie dokładne wiadomości.

Po godzinie spędzonej w jaskini trzech mężczyźni ukazali się jego oczom na nowo i zaczęli przechadzać się po wybrzeżu. Z zagłębienia, w którym leżał przyczajony, Vasquez mógł jeszcze słyszeć różne wymieniane na głos uwagi, z których potem nie omieszkał skorzystać.

— No, no! Ci pocziwcy nie okradli nas w czasie swego pobytu na wyspie.

— W ten sposób szkuner, kiedy stąd wyjdzie, będzie miał pełną ładownię!

— Co za idioci! W ciągu piętnastu miesięcy nie potrafili odnaleźć naszych skarbów i nie wytropili nas na Przylądku Św. Bartłomieja!

— Wnieśmy okrzyk na ich cześć! Na co by się zdało zwabiać statki na skały podwodne otaczające wyspę, gdybyśmy mieli stracić wszystkie nasze łupy!

Słyszając te dowcipy, z których bandyci ryczeli ze śmiechu, Vasquez poczuł przyływ takiej wściekłości, że jeszcze chwila, a na pewno skoczyłby do nich z rewolwerem w garści i rozwalił łby wszystkim.

Ale się powstrzymał. Lepiej było nie uronić ani słowa z tej rozmowy. Dowiadywał się w ten sposób, jaki to ohydny proceder złoczyńcy uprawiali w tej części wyspy, toteż nie zaskoczyło go już dalsze wyznanie.

— A co do tej sławnej Latarni na Końcu Świata, to niechaj kapitanowie przepływających statków szukają jej teraz! To tak, jak gdyby stracili wzrok!

— No i jako ślepcy będą się kierować na wyspę, gdzie ich statki nie omieszkają roztrzaskać się w kawałki.

— Mam nadzieję, że przed naszym odjazdem jeden lub dwa statki przybędą tu jeszcze, żeby się rozbić o skały przylądka San Juan. Trzeba, żebyśmy załadowali nasz dwumasztowiec równo z pokładem, ponieważ sam diabeł go nam tu przysłał!

— Diabeł znakomicie załatwił te sprawy! Na Przylądek Św. Bartłomieja przybywa dobry statek i nie ma na nim nikogo z załogi, ani kapitana, ani marynarzy, których zresztą — pozbyliśmy się bez trudu...

Dla Vasqueza była to niejako opowieść o tym, w jakich warunkach szkuner nazwany "Maule" wpadł w ręce bandy zbirów na zachodnim cyplu oraz w jaki sposób kilka innych statków zwabionych podstępem zatонуło z ludźmi i ładunkiem na skałach.

— A teraz, Kongre — zawołał jeden z trzech mężczyzn — co dalej będziemy robić?

— Wracamy na statek, Carcante — odparł Kongre, w którym Vasquez rozpoznał słusznie herszta bandy.

— Kiedy zaczniemy wynosić rzeczy z pieczary?

— Nie wcześniej, niż naprawimy awarię; te przygotowania potrują na pewno kilka tygodni...

— No to chyba zabierzemy z sobą do łódki trochę narzędzi — odezwał się znowu Carcante.

— Tak... z tym, że musimy tu wrócić, jak zajdzie potrzeba. Vargas powinien tu znaleźć wszystko, co mu się może przydać do pracy.

— Nie traćmy czasu — powiedział Carcante. — Niebawem zacznie się przypływ, skorzystajmy z niego.

— Racja — zgodził się Kongre. — A kiedy szkuner będzie naprawiony, wówczas przeniesiemy ładunek na burtę. Nie musimy się obawiać, żeby go nam ukradziono.

— Hej, Kongre! Nie zapominaj, że w latarni było trzech strażników i że jeden z nich nam się wymknął!

— Tyle on mnie obchodzi, Carcante, co zeszłoroczny śnieg. Nim miną dwa dni, musi umrzeć z głodu, chyba że będzie się żywił mchami i muszelkami... Zresztą, przywalimy znowu otwór pieczary...

— Mów, co chcesz — powiedział Carcante — a jednak irytuje mnie, że musimy naprawiać awarię. Gdyby nie to, już jutro "Maule" mógłby wyjść w morze. Co prawda przez ten czas jakiś statek może się jeszcze rozbić na tym wybrzeżu, i to bez naszej fady. W dodatku jego strata bynajmniej nie stanie się naszą stratą!

Kongre z towarzyszami wyszli znowu z jaskini, wynosząc stamtąd wszystkie narzędzia, deski na poszycie, kawałki łąt do naprawy żeber.

Potem, po starannym zamaskowaniu otworu, zeszli na brzeg do łódki i wsiedli do niej w chwili, kiedy przypływ zaczął się wdzierać do zatoki.

Łódka odbiła natychmiast od brzegu i wspomagana wiosłami niebawem zniknęła za cyplem.

Kiedy minęła obawa, że ktoś go może zauważyć, Vasques wyszedł na brzeg. Teraz wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć, a między innymi dwie ważne rzeczy: pierwsza, że będzie mógł zaopatrzyć się w prowiant w ilości wystarczającej na kilka tygodni, drugie, że statek miał awarię, której naprawa będzie wymagała co najmniej dwóch tygodni, a może

nico więcej, ale w żadnym razie nie tak długiego czasu, żeby jeszcze stał na kotwicy w chwili powrotu a wiza.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NAPRAWA SZKUNERA

A teraz Kongre wraz z kamratami musieli nie tracąc czasu wziąć się do naprawy uszkodzeń statku, żeby przygotować go na długi rejs po Pacyfiku, potem przenieść cały ładunek zmagazynowany w grocie i jak najszybciej wypłynąć w morze.

Prawdę mówiąc, reperacja kadłuba "Maule" była robotą poważną, ale cieśla Vargas świetnie znał swój fach, a ponieważ narzędzi i materiałów nie brakło, praca przebiegała sprawnie.

W pierwszym rzędzie trzeba było odciążyć szkuner z balastu, potem wciągnąć go na brzeg i położyć na lewej burcie, żeby dokonać zewnętrznej naprawy polegającej na wymianie wręg i poszycia.

To wszystko wymagało pewnego czasu, ale tego czasu Kongre miał pod dostatkiem, gdyż według jego obliczeń pogoda powinna była utrzymać się przez pełne dwa miesiące. Co zaś do przybycia zmiany warty, to wiedział dobrze, co na ten temat myśleć.

Istotnie, dziennik latarni znaleziony w mieszkaniu strażników, poinformował go o wszystkim, co herszt bandy chciał wiedzieć, ponieważ latarnicy mieli się zmieniać raz na kwartał, awizo "Santa Fé" nie powróci do zatoki przed początkiem marca, a teraz był dopiero koniec grudnia.

W tym też dzienniku Kongre wyczytał imiona trzech strażników: Moriz, Felipe i Vasquez. Zresztą, urządzenie sypialni wskazywało na to, że była ona zajmowana przez trzy osoby. A zatem jeden z latarników zdołał uniknąć losu swych nieszczęsnych towarzyszy. Gdzie się ten trzeci ukrył? Jak wiadomo, Kongre nie przejmował się tym zbytnio. Sam i bez środków egzystencji zbieg mus niebawem zginąć z wyczerpania i głodu.

Jednakże, choć czasu na naprawę dwumasztowca było pod dostatkiem, należało się liczyć z nieprzewidzianymi opóźnieniami. Rzeczywiście już na samym początku trzeba było przerwać ledwie rozpoczęte prace.

Akurat zakończono rozładunek i Kongre postanowił nazajutrz przechylić statek, kiedy w nocy z trzeciego na czwarty stycznia pogoda zmieniła się nagle.

Przez noc na południowym widnokregu nagromadziły się zwały chmur. Temperatura podniosła się raptownie do szesnastu stopni, a barometr spadł na burzę. Niebo zaczęły przecinać niezliczone błyskawice, pioruny waliły ze wszystkich stron, zerwała się niesłychanie gwałtowna wichura, olbrzymie grzywacze przewalały się Poza skały i rozbijały na wybrzeżu. Zaiste, piraci mieli dużo szczęścia, że "Maule" stał na kotwicy w zatoce Elgor, dobrze osłoniętej od wiatrów południowo-wschodnich.

Potęga nawałnicy była tak wielka, ocean zaś tak wzburzony, że w zatoczce fale rozkołysały się jak na pełnym morzu. W kulminacyjnym momencie przyływu woda podchodziła do podnóża krawędzi skalnej, a plaża u stóp ogrodzenia była całkowicie zalana. Fale przetaczały się aż pod mieszkanie strażników, bryzgi docierały do położonego o pół mili dalej bukowego lasku.

Wszystkie wysiłki Kongrego i jego kamratów musiały być skierowane na utrzymanie "Maule" na kotwicy. Parokrotnie statek chciał się zerwać, co groziło, że się rozbije o brzeg. Trzeba było rzucić drugą kotwicę, żeby pomóc pierwszej. Dwa razy wydawało się już, że grozi ostateczna katastrofa. Pilnując statku w nocy i w dzień, banda ulokowała się w przybudówkach latarni, gdzie mogła nie obawiać się burzy. Przeniesiono tam posłania z kabin i z kubryka, a miejsca starczyło dla całej piętnastki. Tak wygodnej kwatery nie mieli przez cały czas pobytu na Wyspie Stanów.

Niepogoda trwała aż do dwunastego stycznia i skończyła się dopiero w nocy z dwunastego na trzynasty. Piraci stracili cały tydzień, gdyż nie sposób było pracować w tych warunkach. Kongre nawet uznał, że bezpieczniej będzie ponownie wrzucić część balastu do statku, który kołysał się jak łódeczka. Ludzie dość się naharowali, żeby go trzymać w głębi przystani, z dala od skał, o które byłby się niechybnie rozbił, tak jak o skały przy wejściu do zatoki Elgor.

Wiatr zmienił tej nocy gwałtownie kierunek i zaczął dąć z west-süd-westu. Od strony Przylądka Św. Bartłomieja morze rozszalało się na całego, gdyż wichur dmuchał jak wszyscy diabli... Gdyby "Maule" stał tam jeszcze w zatoczce, na pewno roztrzaskałby się o skały.

W ciągu tego tygodnia obok Wyspy Stanów przepłynął jeden statek. Było to za dnia, więc nie interesował się latarnią morską i nie mógł zauważyć, że nie świeci ona już od zachodu do wschodu słońca. Przybywał z północnego wschodu i wszedł pod zmniejszonymi żaglami do Cieśniny Le Maire'a, a na jego gaflu powiewała francuska bandera.

Zresztą, przepływał o trzy mile od lądu i trzeba było użyć lunety, żeby rozpoznać jego narodowość. A zatem nie mógł zauważyć, i z całą pewnością nie zauważył, sygnałów Vasqueza z przylądka San Juan, gdyż żaden francuski kapitan nie zawahałby się spuścić na wodę szalupę, żeby przyjąć na pokład rozbitka.

Rankiem trzynastego żelastwo stanowiące balast zostało ponownie wyładowane i rzucone luzem na piasku, poza zasięgiem przypływu; teraz można było dokonać dokładniejszych oględzin kadłuba niż na Przylądku Św. Bartłomieja. Cieśla zawyrokował, że uszkodzenia są większe, niż przypuszczał. Szkunier mocno ucierpiał podczas ostatniego rejsu w bezpośredniej walce z dość wzburzonym morzem. Wtedy właśnie nastąpiło to przebicie w tylnej części kadłuba. Najprawdopodobniej statek nie zdołałby żeglować dalej, poza zatokę Elgor. Należało go zatem wyciągnąć na ląd, żeby móc wymienić dwie wręgi, trzy wiązania oraz poszycie na długości mniej więcej sześciu stóp.

Jak już wiemy, dzięki nagromadzeniu w pieczarze przedmiotów wszelkiego rodzaju i o różnorodnym przeznaczeniu, materiałów było pod dostatkiem. Toteż cieśla Vargas, któremu pomagali koledzy, nie wątpił, że zdoła uporać się ze swym zadaniem.

Pierwsza operacja polegała na przyholowaniu szkunera na plażę, żeby go pochylić na prawą burtę. Tego można było dokonać tylko podczas przypływu, gdyż piraci nie dysponowali odpowiednimi urządzeniami. Spowodowało to dalsze opóźnienie o dwa dni, gdyż trzeba było czekać na związany z nowiem silny przypływ, który wepchnąłby statek dostatecznie daleko na brzeg, tak aby; pozostał on na suszy przez całą kwadrę księżyca.

Kongre i Carcante skorzystali z tej przymusowej zwłoki, żeby powrócić do jaskini, ale tym razem użyli do tego celu szalupy latarników, większej od łodzi z "Maule". Mieli przywieźć część najbardziej wartościowych łupów, zrabowane złoto i srebro, klejnoty oraz inne cenne rzeczy, żeby to wszystko umieścić w magazynach przybudówki. Szalupa odbiła rankiem czternastego stycznia.

Już od dwóch godzin dawał się zauważyć odpływ i szalupa miała powrócić z popołudniową falą. Pogoda była dość ładna. Poprzez chmury, które lekka bryza pędziła z południa, przedzierały się promienie słońca.

Przed odjazdem Carcante, tak jak to czynił co dzień, wszedł na galerię latarni, żeby obejrzeć horyzont. Cały ocean był pusty, w polu widzenia nie było ani jednego statku, ani nawet łodzi mieszkańców Ziemi Ognistej, którzy nieraz ryzykowali wyprawy na wschód od wysepek New Year. Wyspa także była bezludna, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem.

Kiedy szalupa spływała z prądem, Kongre uważnie lustrował oba ramiona zatoki. Gdzież, u licha, podziewał się ten trzeci latarnik, który zdołał ująć cało z masakry? Chociaż nie stanowił on przedmiotu obaw, to jednak lepiej byłoby się go pozbyć, co też zostanie dokonane przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Ląd był tak samo pusty, jak i zatoka. Ożywiały go tylko swoim piskiem chmury ptaków, gnieźdzących się w nadbrzeżnych skałach.

Szalupa przybiła w poblize groty już około jedenastej dzięki temu, że popychał ją nie tylko odpływ, ale także i pomyślny wiatr. Kongre i Carcante wyszli na ląd, pozostawiając na warcie dwóch ludzi, i udali się do jaskini, z której wyszli po upływie pół godziny.

Wydało im się, że wszystkie ich skarby znajdują się w takim samym stanie, w jakim je pozostawili. Zresztą, leżało tam tyle najrozmaitszych rzeczy, że byłoby bardzo trudno, nawet posługując się latarnią okrętową, stwierdzić, czy niczego nie brakuje.

Kongre wraz ze swoim towarzyszem wnieśli dwie starannie zbite skrzynie, pochodzące z katastrofy angielskiego trój masztowca, a zawierające pokaźną ilość złotych monet oraz drogich kamieni. Złożyli skrzynie w szalupie i już mieli zamiar odpłynąć, kiedy Kongre wyraził chęć przespacerowania się na przylądek San Juan. Stamtąd mógł zlustrować przybrzeżne wody w kierunku południowym i północnym.

Razem z Carcantem wspiął się na szczyt krawędzi górskiej i przeszedł jej grzbietem aż do krańca przylądka.

Z tego punktu wzrok ogarniał z jednej strony, patrząc do tyłu, brzeg ciągnący się do Cieśniny Le Maire'a na długości około dwóch mil, z drugiej — przestrzeń aż do cypla Several.

— Nikogo — odezwał się Carcante.

— Nie... nikogo — przytaknął Kongre.

Powrócili do szalupy, a ponieważ zaczynał się przypływ, łódź znalazła się na głębszej wodzie i szybko oddaliła się od brzegu. Nim minęły trzy godziny, byli już z powrotem w zatoce Elgor.

W dwa dni później, szesnastego, Kongre wraz z towarzysza postanowili w rannych godzinach odholować statek na brzeg. Około jedenastej miał nastąpić kulminacyjny punkt przypływu, zawczasu więc poczyniono odpowiednie przygotowania. Przewieziona na ląd lina cumownicza pozwalała przyciągnąć szkuner aż do plaży, w chwili gdy poziom wody będzie odpowiedni.

Operacja jako taka nie przedstawiała ani trudności, ani ryzyka albowiem przypływ wziął na siebie całą pracę. Gdy tylko pływy się wyrównały, zaczepiono linę holowniczą i odholowano statek jak najdalej na brzeg.

Teraz nie pozostawało nic innego, jak czekać na odpływ. Około pierwszej spod wody zaczęły się wynurzać skały położone najbliżej krawędzi górskiej i stępka "Maule" dotknęła piasku. O trzeciej statek znajdował się całkowicie na suszy, leżąc na prawej burcie.

Niebawem można będzie się zabrać do roboty. Ale ponieważ nie udało się podciągnąć szkunera aż do stóp krawędzi, trzeba będzie przerywać pracę codziennie na kilka godzin, gdyż przypływ znowu uniesie statek. Na szczęście począwszy od tej chwili przypływ będzie z dnia na dzień tracił na sile, okresy przestojów będą zatem także zmniejszać się stopniowo, no a w ciągu dwóch tygodni można będzie pracować bez przerwy.

Cieśla zabrał się do dzieła. Wprawdzie nie mógł liczyć na należących do bandy mieszkańców Ziemi Ognistej, ale przynajmniej pozostali, a wraz z nimi Kongre i Carcante, przyjdą mu z poi mocą.

Uszkodzona część poszycia została usunięta bez trudu, po oderwaniu z niego blachy miedzianej. W ten sposób odsłonięte wiązania i wręgi, które trzeba było wymienić. Do tego celu powinny wystarczyć przyniesione z pieczary deski i łaty, i nie zajdzie trzeba spuszczenia drzewa w lasku bukowym ani cięcia go na kłocę, ani piłowania na deski, co ogromnie utrudniłoby pracę.

W ciągu następnych dni Vargas wraz z pomocnikami, korzystając z utrzymującej się pogody, wykonali kawał roboty. Najwięcej; trudu przysporzyły wręgi i wiązania, które trzeba było wymieniać. Poszczególne części szkieletu były zaczopowane mosiężnymi nitami i połączone węzłówkami. Wszystko to trzymało się mocno i świadczyło niezbicie, że szkuner "Maule" musiał wyjść z jednej i najlepszych stoczni w Valparaiso. Tę pierwszą część swojej

pracy Vargas zakończył z największym wysiłkiem i gdyby nie ciesielskie narzędzia przechowywane w grocie, na pewno by jej nie podołał.

Przez ostrożność, nie zrywając jednak całej blachy miedzianej, Kongre kazał wzmocnić wszystkie szwy ponad linią wodną. Uszczelniano je na nowo smołą i pakułami znalezionymi wśród szczątków zatopionych statków.

W tych warunkach pracowano prawie bez przerwy aż do końca stycznia. Pogoda dalej była przychylna. Wprawdzie wypadło w tym czasie, jeśli nie kilka dni, to w sumie kilka godzin deszczów, niekiedy bardzo gwałtownych, ale były one na ogół krótkotrwałe.

Przez cały ten czas w pobliżu Wyspy Stanów zauważono dwa statki. Pierwszym był angielski parowiec płynący z Pacyfiku, który po przebyciu Cieśniny Le Maire'a oddalił się w kierunku północno-wschodnim, prawdopodobnie do jakiegoś portu w Europie. Przeszedł na wysokości przylądka San Juan wśród białego dnia. Ukazawszy się zaraz po wschodzie słońca, zginął z pola widzenia przed zachodem. A zatem jego kapitan nie mógł stwierdzić, że latarnię wygaszono.

Drugim statkiem był wielki trójmasztowiec, którego narodowości nie sposób było ustalić. Zapadał już zmrok, kiedy ukazał się na wysokości przylądka San Juan i popłynął wzdłuż wschodniego brzegu wyspy aż do cypla Several. Carcante obserwujący morze z wartowni pod latarnią zobaczył tylko jego zielone światło na prawej burcie. Ale zarówno kapitan, jak i załoga żaglowca widocznie już od kilku miesięcy znajdowali się na morzu, wobec czego nie wiedzieli, że w tym okresie budowa latarni była zakończona. Trójmasztowiec płynął tak blisko brzegu, że ludzie na nim mogliby dostrzec sygnały, na przykład ogień rozpalony na krańcu któregoś przylądka. Czy Vasquez uczynił próbę ściągnięcia ich uwagi? Tak czy owak, o wschodzie słońca statek zniknął w kierunku południowym. Parę razy dostrzeżono jeszcze inne żagłowce i parowce na horyzoncie, udające się prawdopodobnie na Falklandy. Te statki zapewne też nie wiedziały o istnieniu Wyspy Stanów.

Ostatniego dnia stycznia, w okresie wielkich przypływów związanych z pełnią księżyca, pogoda zmieniła się zasadniczo. Wiatr wykręcił się ze wschodu i teraz szturmował bezpośrednio : Elgor.

Na szczęście, chociaż naprawy nie były całkowicie zakończone, to jednak wręgi, wiązania i poszycie zostały wymienione, a kadłub „Maule” uszczelniony. Bandyci pozbyli się już obawy, że woda może przedostać się do wnętrza statku.

Była to okoliczność niezmiernie szczęśliwa, gdyż w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin, w szczytowym momencie przypływu morze popęzło w górę po kadłubie i szkuner się wyprostował, chociaż jego stępka nie oderwała się od piasku.

Zresztą, począwszy od drugiego lutego, poziom wód zaczął się obniżać i statek znowu został unieruchomiony na plaży. Teraz można było uszczelnić kadłub w górnych partiach, toteż od świtu do zmroku rozlegał się donośny odgłos drewnianego młota — klepadła.

W dodatku, przeniesienie na burtę ładunku nie mogło już opóźnić odjazdu „Maule”. Szalupa wyprawiała się często do groty z ludźmi, którzy nie byli potrzebni Vargasowi do pomocy, a towarzyszył im Kongre bądź Carcante.

Za każdym razem łódź przywoziła część przedmiotów, które miały trafić do ładowni szkunera. Umieszczono je prowizorycznie w magazynach latarni morskiej. W ten sposób załadunek się odbył w sposób znacznie łatwiejszy i regularniejszy, niż gdyby „Maule” zabierał towary sprzed jaskini u wejścia do zatoki, gdzie zmiana pogody mogła pokrzyżować plany. Na tym wybrzeżu ciągnącym się aż do przylądka San Juan nie było innego schronienia poza małą przystanią u stóp latarni morskiej.

Jeszcze kilka dni pracy i „Maule” po zakończeniu wszystkich napraw zdoła wyjść w morze, wzięwszy na pokład cały ładunek.

Istotnie, dwunastego lutego ostatnie szwy pokładu i kadłuba zostały uszczelnione gruntownie. Można było nawet, dzięki paru garnkom farby znalezionym we wrakach

zatopionych statków odmalować "Maule" od dziobu do rufy. Kongre skorzystał z okazji, żeby zmienić imię szkunera, i nazwał go na cześć swego zastępcy "Carcante". Nie zaniedbał także sprawdzenia takielunku i porobienia niewielkich reperacji w omasztowaniu, które zresztą musiało być nowiuteńkie w chwili, gdy szkuner opuszczał port Valparaiso.

Tak oto statek był gotów i właściwie już dwunastego lutego można by zaprowadzić go do zatoczki, zakotwiczyć i tam przystąpić do załadunku, gdyby, ku wielkiemu niezadowoleniu Kongrego i jego kamratów, którym było bardzo pilno opuścić Wyspę Stanów, nie trzeba było czekać do następnego przyływu przy nowiu, żeby spuścić szkuner na wodę. Ten przyływ nastąpił czternastego lutego. Tego dnia stępka uniosła się ponad rów wyżłobiony w piasku wybrzeża i szkuner bez trudu wśliznął się na głęboką wodę; teraz pozostawało już tylko zająć się przeniesieniem ładunku.

Jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, "Carcante" będzie mógł za parę dni podnieść kotwicę, wyjść z zatoki Elgor, przejść Cieśninę Le Maire'a i, biorąc kurs na południowy zachód, pomknąć pod wszystkimi żaglami w stronę Pacyfiku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

VASQUEZ

Odkąd szkuner stanął na kotwicy w zatoce Elgor, Vasquez: mieszkał na przylądku San Juan i nie chciał się stamtąd oddalać. Gdyby jakiś statek szukał schronienia w zatoce lub tędy przepływał, latarnik mógłby przynajmniej wezwać go na ratunek.

Skoro tylko wezmą go na pokład, natychmiast ostrzeże kapitana o niebezpieczeństwie grożącym statkowi, gdyby chciał iść w kierunku latarni, poinformuje go, że zawładnęła nią banda złoczyńców, a jeśli kapitan nie będzie dysponował załogą dość liczną, żeby ich wygarnąć lub przepędzić w głąb wyspy, wystarczy jeszcze czasu, żeby powrócić na pełne morze.

Ale jakie są szanse, że taka ewentualność nastąpi, i dlaczego statek, nie będąc do tego zmuszonym, zechce zawinąć do zatoki tak mało znanej żeglarzom?

Najkorzystniejsza byłaby sytuacja, gdyby statek kierował się na Falklandy: po paradniowym zaledwie rejsie władze angielskie zostałyby powiadomione o wydarzeniach, jakie rozegrały się na Wyspie Stanów. Okręt wojenny mógłby natychmiast udać się do zatoki Elgor, przybyć tam, zanim „Maule” zdąży umknąć, wybić do nogi całą bandę Kongrego i podjąć odpowiednie starania, żeby latarnia morska znowu zaczęła funkcjonować. „Czyż muszę w tym celu czekać koniecznie na powrót »Santa Fé«? Dwa miesiące! O porze szkuner będzie już bardzo daleko... i szukać go wśród wysp Pacyfiku, to jakby szukać igły w stogu siana”.

Jak widzimy, dzielny Vasquez, nie zastanawiając się nad swoim losem, myślał tylko o swoich bezlitośnie zamordowanych towarzyszach, o bezkarności, jaką być może będą się cieszyć łotry opuszczeniu wyspy oraz o poważnym niebezpieczeństwie zagrażającym żegludze w tych stronach, odkąd została wygaszona Latarnia na Końcu Świata.

Zresztą, jeśli chodzi o własną osobę, to pod warunkiem, że jej kryjówka nie zostanie odnaleziona, Vasquez nie żywił najmniejszych obaw, odkąd odwiedził grotę piratów.

Ze zgromadzonych w niej zapasów Vasquez wziął tylko tyle, ile mu było niezbędnie potrzebne, tak aby Kongre czy którykolwiek z bandytów nie zauważyli niczego: niewielką skrzynkę marynarskich sucharów, baryłkę peklowanej wołowiny, przenośną kuchenkę, na której mógłby coś odgrzać, kociołek, kubek, wełniany koc, koszulę i pończochy na zmianę, ceratowy płaszcz, dwa rewolwery i ze dwadzieścia nabojów, krzesiwo, latarnię i hubkę. Wziął także dwa funty tytoniu do swojej fajki. Zresztą, na podstawie zasłyszanych rozmów wiedział, że naprawa szkunera musi potrwać kilka tygodni, a zatem będzie mógł odnowić swoje zapasy. Trzeba tu zaznaczyć, że przez ostrożność, uznawszy, iż wąska grotka, którą zajmował, znajduje się zbyt blisko pirackiej meliny, oraz obawiając się, iż zostanie w niej odkryty, Vasquez poszukał sobie innego schronienia, nieco bardziej odległego i bezpieczniejszego. Znalazł je o pięćset kroków dalej, po drugiej stronie przylądka San Juan, nad samą cieśniną. Pomiędzy dwiema wysokimi skałami stanowiącymi jak gdyby przypory krawędzi skalnej wydrążona była grotka, o otworze prawie niewidocznym z zewnątrz. Żeby się do niej dostać, trzeba było precyzyjnie przejść przez szczelinę ledwo dostrzegalną pomiędzy zwałami bloków skalnych. W czasie najwyższego przypływu morze podchodziło prawie do ich stóp, ale nigdy poziom wody nie podnosił się tak, żeby zalać grotę, toteż w jej miłym piasku nie widać było ani jednej muszelki, ani najmniejszego śladu wilgoci.

Obok tej grotki można było przejść sto razy, nie podejrzewając jej istnienia, i tylko zadowolony przypadkowo Vasquez ją odkrył przed kilkoma dniami.

Tutaj więc przeniósł rozmaite zabrane z poprzedniej kryjówki przedmioty, które uznał za przydatne.

Zresztą bandyci niezmiernie rzadko zapuszczali się na tę część wybrzeża. Jeden jedyny raz im się to przytrafiło po drugiej wizycie w jaskini, ale Vasquez zauważył ich, kiedy zatrzymali się na końcu przylądka San Juan, i zdążył skryć się w głębi swojej szczeliny skalnej.

Nie trzeba dodawać, że Vasquez nigdy nie ryzykował wyjścia na zewnątrz nie zachowując jak największych środków ostrożności i robił to najchętniej wieczorem, zwłaszcza jeśli wybierał się do jaskini bandytów.

Jakże bardzo dłużył mu się czas spędzany w samotności! Nie opuszczało go bolesne wspomnienie masakry, której on jeden uniknął, gdy tymczasem Felipe i Moriz padli pod ciosami zbirów! Ogarniała go nieprzeparta chęć zmierzenia się oko w oko z hersztem bandy i pomszczenia własnymi rękami śmierci swoich nieszczęsnych towarzyszy.

“Nie... Nie! — uspokajał się w duchu. — Oni i tak będą ukarani prędzej czy później! Pan Bóg nie dopuści, żeby wymknęli się karze... Za swoje zbrodnie zapłacą własnym życiem!”

Zapomniał, że to jego życie wisi na włosku, dopóki szkuner stoi na kotwicy w zatoce Elgor.

“Oby tylko — wołał sam do siebie w duchu — ci nędznicy stąd nie odjechali! Oby znajdowali się jeszcze tutaj, kiedy powróci »Santa Fé«! Oby niebiosa przeszkodziły im opuścić wyspę!”

Czy jego życzenie miało się ziścić? Jeszcze brakowało przeszło trzech tygodni do chwili, kiedy awizo mógł się ukazać w pobliżu wyspy.

Z drugiej strony długotrwały postój szkunera nie przestał zastanawiać Vasqueza. Czyżby awaria była tak znaczna, że starczyło miesiąca na dokonanie całkowitej naprawy? Przecież dziennik prowadzony przez latarników musiał poinformować Kongrego o terminie, w którym miała nastąpić zmiana warty. Bandyta nie mógł nie wiedzieć, że o ile nie wyjdzie w morze w pierwszych dniach marca...

Nadszedł dzień szesnastego lutego, Vasquez, zżerany niecierpliwością i niepokojem, zapragnął osobiście zbadać, jak sprawy wyglądają. Gdy tylko słońce zaszło, ruszył nad zatokę i poszedł północnym jej brzegiem w kierunku latarni morskiej.

Chociaż zapadły już gęste ciemności, to jednak istniało niebezpieczeństwo, że któryś z opryszków może się na niego natknąć, jeżeli przypadkiem zabłąka się w te strony. Toteż Vasquez przemykał się wybrzeżem z niesłychaną ostrożnością wpatrując w ciemność, przystając i nasłuchując, czy nie dobiegnie go jakiś podejrzany szmer.

Ażeby dotrzeć w głąb zatoki, latarnik musiał przebyć około trzech mil. Teraz odbywał drogę w przeciwnym kierunku niż który obrał uciekając po morderstwie dokonanym na jego towarzyszach. Tak samo wtedy, jak i tego wieczora nikt go nie zauważył.

Około dziewiątej zatrzymał się w odległości jakichś dwustu kroków od ogrodzenia latarni, skąd widział światła w niektórych oknach przybudówki. Nie mógł powstrzymać gniewnego odruchu i wygrażał pięścią na myśl o tym, że bandyci zajęli w tym mieszkaniu miejsce tych, których zabili oraz tego, którego by zamordowali, gdyby tylko trafił w ich ręce!

Z punktu obserwacyjnego, gdzie się teraz znajdował, Vasquez nie mógł widzieć dwumasztowca otulonego ciemnością. Musiał zbliżyć się jeszcze o sto kroków, ale nie myślał o tym, że naraża się na niebezpieczeństwo. Bandyci pozamykali się już w mieszkaniu. Nikt prawdopodobnie nie zamierzał wyjść stamtąd.

Vasquez podszedł jeszcze bliżej. Prześlizgnął się na sam brzeg małej zatoczki. Przedwczoraj, w czasie przypływu, szkuner został ściągnięty z mielizny. Teraz unosił się na fali, przytrzymywany kotwicą.

Ach, gdybyż to zależało tylko od niego, z jaką rozkoszą przebiłby jego kadłub, żeby statek poszedł na dno tutaj, w tej właśnie przystani!

A więc awaria naprawiona. Jednakże Vasquez zauważył, że chociaż szkuner unosi się na fali, to jednak potrzeba by przynajmniej jeszcze dwóch stóp wody, żeby osiągnął prawidłowe zanurzenie. To wskazywało, że jeszcze nie przeniesiono na niego ani balastu, ani ładunku, co

mogło oznaczać, że odjazd został odłożony o dalszych parę dni. Ale na pewno była to ostatnia zwłoka i za czterdzieści osiem godzin "Maule" wyjdzie z zatoki, opłynie przylądek San Juan i na zawsze zniknie za widnokretem.

W tym czasie Vasquezowi pozostało już bardzo niewiele pożywienia. Toteż nazajutrz udał się do bandyckiej jaskini, żeby odnowić swoje zapasy.

Ledwie zaczynało świtać, ale Vasquez przypuszczał, że tego ranka szalupa przybędzie po resztę rzeczy, które mogą być załadowane na szkuner, i dlatego śpieszył się, nie zapominając, że musi zachować ostrożność.

Kiedy wyszedł zza zakrętu cypla, nie zauważył szalupy, w dodatku cały brzeg był pusty. Wszedł więc do groty.

Znajdowało się w niej jeszcze mnóstwo różnych bezwartościowych przedmiotów, którymi Kongre zapewne nie chciał zaśmieczać ładowni "Maule". Ale kiedy Vasquez zamierzał wziąć suchary i mięso, spotkało go wielkie rozczarowanie. Bandyci powynosili całą żywność! A przecież najdalej za dwie doby nie pozostanie mu ani okruszynki jedzenia!

Vasquez nie miał czasu na snucie rozważań. W tym momencie doleciał do jego uszu odgłos wiosel. To powracała szalupa, mająca na swym pokładzie Carcatego i dwóch kompanów.

Vasquez szybko podszedł do otworu groty i lekko wysunął głowę.

Szalupa właśnie przybijała do brzegu. Latarnik miał już tyl. tyle czasu, żeby prędko wrócić do środka i ukryć się w najciemniejszym kącie, za kupą żagli i drewnianych bali, które się już nie zmieściły na szkunerze, wobec czego miały pozostać w jaskini.

Był zdecydowany drogo sprzedać swoje życie w wypadku, gdyby go tu odkryto. Posłużyłby się rewolwerem, który zawsze nosi za pasem. Ale był jeden przeciwko trzem!

Weszło dwóch mężczyzn, Carcante i cieśla Vargas. Kongre pozostał na zewnątrz.

Świecąc sobie latarnią okrętową Carcante i Vargas zabrali się do ostatniej selekcji przedmiotów, mających uzupełnić ładunek dwumasztowca. Przeszukując stopy, rozmawiali ze sobą. Pierwszy odezwał się cieśla:

— Mamy już siedemnasty lutego i najwyższy czas odbić od brzegu.

— Toteż odbijamy — uspokoił go Carcante.

— Jutro?

— Myślę, że już jutro, przecież jesteśmy przygotowani.

— Trzeba jeszcze, żeby pogoda na to pozwoliła — zauważył Vargas.

— Niewątpliwie, a dzisiaj wydaje się ona trochę niepewna... Ale niebo się rozjaśni.

Vasquez przysłuchiwał się ich rozmowie nieruchomy, powstrzymując oddech. Carcante i Vargas wchodzili i wychodzili, trzymając w ręku latarnię. Przesuwali niektóre rzeczy, inne znowu wybierali i odkładali na bok. Niekiedy zbliżali się na taką odległość do kąta, w którym przycupnął Vasquez, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby przyłożyć im rewolwer do piersi.

Pobyt piratów w pieczarze trwał już pół godziny. Carcante zawołał człowieka, który siedział w szalupie. Ten przybiegł w pośpiechu i pomógł im przenosić paki.

Carcante obrzucił po raz ostatni okiem jaskinię.

— Szkoda zostawiać tyle wszystkiego — powiedział Vargas.

— Co zrobić, trzeba! — odparł Carcante. — Ech, gdyby tak nasz statek miał ze trzysta ton wyporności! Ale zabieramy wszystko, co najcenniejsze, i mam wrażenie, że zrobimy na tym jeszcze dobry interes.

Wyszli wreszcie i niebawem szalupa, popychana wiatrem od rufy, zniknęła za cyplem zatoki. Oczekawszy trochę Vasquez powrócił do swojej groty.

Tak, za czterdzieści osiem godzin nie będzie miał co wziąć do ust. a ponieważ odjeżdżając Kongre i jego kamraci zabiorą wszystkie zapasy z latarni — co do tego Vasquez nie miał najmniejszej wątpliwości — zatem nie znajdzie tam ani okruszynki. Co ma więc zrobić, żeby

przeżyć do powrotu awiza, który, zakładając, że nie będzie miał opóźnień, przybędzie najwcześniej za jakieś dwa tygodnie?

Kończył się dzień, niebo stawało się coraz groźniejsze. Na wschodzie gromadziły się zwały chmur, ciężkich, granatowych. Siła wiatru wzrastała w miarę, jak zmieniał się kierunek i zaczynał dąć z oceanu.

Drobne szybkie fale przebiegające po powierzchni morza zmieniły się wkrótce w długie grzywacze o wierzchołkach uwieńczonych pianą, które runą niebawem z piekielnym hałasem na skały przyładka. Gdyby taka pogoda miała się utrzymać, to na pewno szkuner nie będzie mógł wyjść z zatoczki podczas jutrzejszego przypływu.

Tymczasem, pomimo szalejącej wichury, Vasquez nie pozostał w swojej grocie. Chodził tam i z powrotem po brzegu, ze wzrokiem utkwionym w coraz bardziej zachmurzony horyzont. Ostatnie promienie słońca chyłącego się ku zachodowi już miały zgasnąć, kiedy Vasquez zauważył daleko na morzu jakąś przesuwaną się czarną sylwetkę.

— Statek! — zawołał. — Statek, który, jak mi się wydaje, bierze kurs na wyspę!

Istotnie był to statek przybywający ze wschodu; widocznie zamierzał wejść do cieśniny albo opłynąć wyspę od południa.

W tym momencie zerwał się niesłychanie porywisty wicher. Nie był to szkwał, lecz jeden z tych huraganów, którym nic nie jest w stanie się oprzeć, stanowiący niebezpieczeństwo nawet dla najpotężniejszych statków. Jeśli, jak to się mówi w języku marynarzy, nie mają one "ucieczki", to znaczy jeśli mają po nawietrznej ląd, rzadko się zdarza, żeby uniknęły katastrofy.

— A ci nędznicy nie zapalają latarni! — denerwował się Vasquez. — Kapitan jej szuka, nie dojrzy światła! Nie będzie wiedział, że zaledwie o kilka mil przed sobą ma ziemię! Wiatr go tu popycha i na pewno statek rozbije się o podwodne skały!

Wichura szalała z potworną siłą. Noc zapowiadała się straszna a po niej wcale nie lepszy dzień, albowiem nie wyglądało na to żeby huragan miał się uspokoić w ciągu jednej doby.

Vasquez ani myślał wracać do swojej kryjówki, jego oczy nie odrywały się od horyzontu. Wśród głębokich ciemności nie mógł wprawdzie dostrzec statku, ale jego światła wynurzały się od czasu do czasu, kiedy pod wpływem uderzenia fali tańczył nagle to w jedną, to w drugą stronę. Pędząc w takim tempie, nie mógł żadną miarą słuchać steru i z trudem dawał sobą kierować. Może nawet był uszkodzony, może stracił część omasztowania. W każdym razie było więcej niż pewne, że żagle ma zwinięte. Pośród tej walki rozszalałych żywiołów wątpliwe, czy jakkolwiek statek mógłby utrzymać bodaj żagiel sztormowy — trajsel.

Ponieważ Vasquezowi migwały w oczach tylko zielone lub czerwone światła, zatem statek był żaglowcem, gdyż parowiec pokazałby także białe światło zawieszony na fokmaszcie. Nie miał więc maszyny, która by mu pozwoliła walczyć przeciwko wichurze.

Vasquez dalej krążył tam i z powrotem po wybrzeżu, zrozpaczony własną bezsilnością, gdyż nie był w stanie zapobiec katastrofie. Jedyne, co mogło uratować statek, to światło latarni, które by przedarło się przez ciemność.

Wtedy do głowy Vasqueza przyszła pewna myśl. Może ten żaglowiec uniknąłby jeszcze zderzenia z lądem, gdyby wiedział o jego istnieniu? Nawet zakładając, że nie zdołałby zmniejszyć szybkości do koniecznego minimum, to jednak, być może, zmieniając choć trochę kurs, ominąłby wyspę, która przecież w gruncie rzeczy nie mierzyła więcej od przyładka San Juan do cypla Several niż jakieś osiem mil, a wtedy ocean rozwarłby się szeroko przed jego stwą dziobową.

Na brzegu poniewierało się drewno, szczątki i odłamki kadłubów. Może udałoby się przenieść parę kawałków drewna na cypel przyładka, ułożyć je w stos, powpychać pomiędzy drewno pęki trawy morskiej, rozniecić ogień i wykorzystując wiatr rozdmuchać większe płomienie? Może ktoś dostrzeże takie ognisko ze statku, który aczkolwiek oddalony zaledwie o jedną milę od brzegu, miałby jeszcze czas, żeby go ominąć?

Vasquez bezzwłocznie zabrał się do dzieła. Pozbierał kilka szczap i zaniósł je na kraniec przyładka. Suchych morszczynów nie brakło, bo choć wicher był potężny, to jednak deszcz nie zaczął dotąd padać. A kiedy stos był gotów, Vasquez zaczął go rozpalać.

Za późno! Z ciemności wynurzyła się olbrzymia masa. Unoszona potwornymi bałwanami, pędziła z przerażającym impetem. Zanim Vasquez zdołał zrobić jeden ruch, wpadła jak trąba powietrzna na barierę podwodnych skał.

Rozległ się ogłuszający, krótki łoskot, parę szybko stłumionych okrzyków rozpaczony... A potem nie było już nic poza świstem wichury i wyciem morza rozbijającego się o brzeg wyspy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY PO KATASTROFIE STATKU

Nazajutrz o wschodzie słońca burza szalała nadal z tą samą furją. Morze, aż po najdalsze krańce horyzontu, było całe pokryte bielą. U cypla przylądka grzywacze osiągały piętnaście i dwadzieścia stóp wysokości, a ich bryzgi, rozpraszane wiatrem, przelatywały ponad skalną krawędzią.

Fala odpływu i podmuchy wichury spotykając się u wejścia zatoki Elgor zderzały się tam z niesłychaną gwałtownością. Żaden statek nie mógłby wejść do zatoki ani z niej wyjść. Wygląd nieba, wciąż tak samo groźny, nasuwał bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że nawałnica potrwa jeszcze kilka dni, co zresztą nie należało do rzadkości w pobliżu Cieśniny Magellana.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że tego ranka szkuner nie opuści swojej zatoczki. Łatwo także zrozumieć, jak wielką złość słała wywoływać w Kongrem i jego bandzie ta nieprzewidziana przeszkoda.

Tak wyglądała sytuacja, gdy Vasquez wyszedł wraz z pierwszym brzaskiem dnia i stanął wśród piaszczystych wirów.

Oto obraz, jaki się rozpostarł przed jego oczami.

W odległości dwustu kroków, na północnym stoku przylądka, a więc już poza zatoką, leżał rozbitý statek. Był to trójmasztowiec o pojemności około pięciuset ton. Z jego omasztowania pozostało nic poza trzema kikutami ściętymi na poziomie burty może na rozkaz kapitana, który chciał uwolnić statek od masztów, a może same zwały się w chwili katastrofy. Na powierzchni morza nie widać było pływających szczątków, ale potężne uderzenia szkwału mogły je wepchnąć w głąb zatoki Elgor. Jeśli tak, to Kongre już wiedział, że jakiś statek rozbił się na podwodnych skałach przylądka San Juan. Vasquez musiał więc być tym bardziej ostrożny, toteż wysunął się dalej dopiero wtedy, gdy się upewnił, że wejścia do zatoki nie było widać żadnego z opryszków. W parę minut dotarł na miejsce katastrofy. Ponieważ morze cofnęło się z odpływem, mógł obejść statek dookoła i na tablicy rufowej przeczytał: "Century-Mobile".

Leżał tu więc amerykański żaglowiec, którego portem macierzystym była stolica stanu Alabama położona nad Zatoką Meksykańską, na południowych kresach Stanów.

Katastrofa "Century" pochłonięła wszystko doszczętnie wraz ludźmi. Nigdzie ani śladu żywego ducha, nikogo, kto by ją przeżył, co zaś do samego statku, to pozostał po nim jedynie bezkształtny wrak. Przy zderzeniu z lądem kadłub rozpękł się na połowę, fale zmyły i uniosły w morze jego ładunek. Tu i ówdzie na skałach sterczały szczątki poszycia, żeber i wręg, w tej chwili nie zalane wodą, pomimo gwałtownych podmuchów wichury. Wzdłuż przylądka i na plaży leżały porozrzucane skrzynie, bele i baryłki.

Ponieważ wrak "Century" był na suszy, Vasquez mógł się przedostać do środka.

Jego oczom ukazał się rozpaczliwy obraz. Fale wszystko splądrowały, zniosły deski z pokładu, zdemolowały kabiny na rufie, rozbiły kasztele przedni i tylny, wyrwały ster, a zderzenie ze skałami dokończyło dzieła zniszczenia. Z załogi nikt nie pozostał przy życiu, ani jeden oficer, ani jeden marynarz. Vasquez wołał donośnym głosem, ale nikt mu nie odpowiadał. Wślizgnął się pod pokład statku, lecz nie znalazł tam niczyich zwłok. Tych nieszczęśników musiała zmyć wielka fala albo też zatonęli wszyscy w chwili, gdy "Century" roztrzaskał się o skały. Vasquez zszedł znowu na brzeg, żeby się upewnić, czy Kongre lub któryś z jego kamratów nie idzie w stronę miejsca katastrofy, a potem, pomimo szalejącej nawałnicy, pobiegł na sam kraniec przylądka.

“A może zdołam odnaleźć kogoś z załogi »Century«, kto jeszcze oddycha, może będę mógł go uratować?”

Ale najskrupulatniejsze poszukiwania nie dały rezultatu. Vasquez powrócił na brzeg i zaczął uważnie przeglądać różnego rodzaju przedmioty, wyrzucone przez fale.

„Wcale nie jest wykluczone — rozmyślał — że uda mi się znaleźć jakąś skrzynię konserw, która zapewni mi pożywienie na dwa lub trzy tygodnie!”

Rzeczywiście, niebawem trafił na baryłkę i na skrzynię, które morze wyrzuciło poza skały podwodne. Zawartość ich była wypisana na zewnątrz. W skrzynce znajdowały się suchary, a w baryłce peklowane mięso wołowe. A więc chleb i mięso miał zapewnione na co najmniej dwa miesiące.

Vasquez przeniósł do swojej groty, odległej o dwieście metrów, najpierw skrzynkę, potem przetoczył tam baryłkę.

Następnie powrócił na kraniec przylądka, żeby jeszcze raz rzucić okiem na zatokę. Nie wątpił, że Kongre wie o katastrofie statku. Wczoraj, przed zapadnięciem zmroku, mógł przecież dojrzeć z latarni statek płynący w kierunku wyspy. Otóż, ponieważ “Maule” był zablokowany w zatoczce, bandyci na pewno przybiegną do wejścia zatoki Elgor. Pewnie liczą, że znajdą tam jakieś szczątki do zabrania, a może jakieś kosztowności, więc jakże mieliby puścić z rąk taką okazję?

W chwili gdy Vasquez dotarł do zakrętu krawędzi górskiej, zdumiała go gwałtowność wichru, wdzierającego się do zatoki. Szkunier w żaden sposób nie mógł wygrać z nim walki, a nawet zakładając, że dotarłby na wysokość przylądka San Juan, to i tak nie zdołałby wyjść na pełne morze.

W pewnej chwili wichura ucichła na króciutko i Vasquez usłyszał jęki. Była to żalсна skarga, wydana przez czyjś gasnący głos.

Vasquez rzucił się w kierunku, skąd dobiegało wołanie, mianowicie w stronę groty, do której był się najsamprzód schronił, a położonej obok jaskini bandytów. Zrobił zaledwie z pięćdziesiąt kroków, gdy zauważył mężczyznę leżącego u podnóża skały. Ręka jego unosiła się gestem, jak gdyby wzywającym pomocy.

W jednej chwili Vasquez znalazł się przy nim. Wyciągnięty nieruchomo człowiek wyglądał na trzydzieści do trzydziestu pięciu lat i wydawał się mocnej budowy. Miał na sobie marynarskie ubranie, leżał na prawym boku z zamkniętymi oczami, wstrząsały nim konwulsyjne drgawki. Nie sprawiał wrażenia rannego, a na jego ubraniu nie widać było najmniejszych śladów krwi.

Mężczyzna, być może jedyny pozostały przy życiu członek załogi “Century”, nie usłyszał Vasqueza. A jednak gdy ten położył mu dłoń na piersi, zrobił ruch, żeby się unieść, lecz nadaremnie, gdyż natychmiast opadł na piasek; wysiłek okazał się dla niego zbyt wielki. Ale na jedną chwilę otworzył oczy, a z jego warg wyrwał się szept: “Na pomoc! Na pomoc!”

Kłęczący przy nim Vasquez oparł go o skałę z wielką ostrożnością, powtarzając raz po raz: — Przyjacielu... Przyjacielu... jestem tutaj... Proszę na mnie spojrzeć! Ja pana uratuję...

Nieszczęsny rozbitek zdołał tylko wyciągnąć do niego rękę i natychmiast stracił przytomność. Trzeba było niezwłocznie udzielić mu pomocy, bowiem znajdował się w stanie skrajnego wyczerpania.

“Oby Bóg sprawił, żeby nie było za późno!” — westchnął w duchu Vasquez.

Należało przede wszystkim opuścić to miejsce, w każdej chwili bowiem banda mogła tu przybyć szalupą lub łódką, a nawet pieszo, idąc wzdłuż brzegu. “Muszę zaraz przenieść chorego do groty, udzie będzie bezpieczny” — postanowił Vasquez i tak też postąpił. Po przebyciu mniej więcej stu łokci drogi, co zajęło około kwadransa, wczołgał się do groty niosąc na plecach bezwładnego mężczyznę, ułożył go na kocu i oparł jego głowę na tobołku z ubraniem.

Mężczyzna jeszcze nie odzyskał przytomności, ale oddychał. Wprawdzie nie miał żadnej widocznej rany, ale czy jednak nie złamał sobie ręki lub nogi, kiedy nim rzuciło o skały podwodne? Tego najbardziej obawiał się Vasquez, gdyż w tej sytuacji byłby zupełnie bezradny. Zaczął go obmacywać, poruszać jego kończynami i wydało mu się, że rozbitek nie odniósł większych obrażeń.

Vasquez nalał trochę wody do kubka, dolał do niej parę kropel gorzalki pozostałej jeszcze w jego manierce i wlał łyk rozchylając wargi chorego; potem, po ściągnięciu z niego przemoczonego ubrania, zaczął rozcierać mu ręce i pierś, wreszcie przebrał go w suchą odzież znalezioną w jaskini piratów.

Uczył wszystko, co leżało w jego możliwościach.

Po pewnym czasie zauważył z radością, że chory z wolna odzyskuje przytomność. Zrobił wysiłek, żeby usiąść, i patrząc na podtrzymującego go ramionami Vasqueza, odezwał się nieco mocniejszym głosem:

— Pić!... Pić!...

Vasquez podał mu kubek wody z domieszką gorzalki i zapytał:

— Czuje się pan lepiej?

— Tak... tak... — odpowiedział rozbitek.

I jak gdyby starając się pozbierać do kupy rozproszone w umyśle wspomnienia, dodał:

— Tutaj? Pan... Gdzie ja jestem? — po czym słabo uściśnął dłoń swego zbawcy. Mówił po angielsku, ale i Vasquez znał ten język, toteż odpowiedział:

— Jest pan w bezpiecznym miejscu. Znalazłem pana na brzegu po katastrofie "Century".

— "Century"?... Tak, przypominam sobie... Jak się pan nazywa?

— — Davis... John Davis.

— Kapitan trójmasztowca?

— Nie... jego zastępca! A inni?

— Zginęli wszyscy — odparł Vasquez — wszyscy. Jest pan jedynym, który się uratował z katastrofy.

— Wszyscy?

— Tak, wszyscy!

John Davis był niesłychanie przybity słysząc tę ponurą wieść. On jeden pozostał przy życiu! Jak się to stało, że się uratował. Szybko zrozumiał, że zawdzięcza życie temu nieznanemu, który pochyla się nad nim z taką troskliwością.

— Dziękuję, dziękuję! — wyszeptał, a z jego oczu stoczyły wielkie łzy.

— Jest pan głodny? Chce pan coś zjeść? Może kawałek suchara i odrobinę mięsa? — zaproponował Vasquez.

— Nie... nie... jeszcze pić!

Świeża woda z dodatkiem gorzalki świetnie zrobiła Davisowi, tak że niebawem mógł odpowiadać na wszystkie pytania.

Oto w niewielu słowach jego relacja:

"Century", trójmasztowy żaglowiec o pojemności pięciuset pięćdziesięciu ton, z portu Mobile, opuścił przed dwudziestoma dniami brzeg amerykański. Jego załoga składała się z kapitana Harry'ego Stewarda, z pierwszego oficera Johna Davisa oraz dwunastu członków załogi, licząc razem z chłopcem okrętowym i kucharzem. Ładunek jego zawierał nikiel oraz rozmaite tandetne wyroby przeznaczone dla Melbourne w Australii. Żegluga odbywała się pomyślnie aż do pięćdziesiątego piątego stopnia szerokości południowej na Atlantyku. Wtedy to rozpuściła się gwałtowna burza, która szalała w tych okolicach już całą dobę.

Zaraz na początku "Century", zaskoczony pierwszym podmuchem szkwału, stracił wraz z bezanmasztem całe jego ożaglowanie. Wkrótce potem olbrzymi grzywacz, wpadłszy od lewej burty, omiótł cały pokład, zdemolował część kasztelu rufowego i porwał dwóch marynarzy, których nie zdołano uratować. Kapitan Steward miał zamiar poszukać schronienia poza

wyspą, w Cieśninie Le Maire'a. Był pewien pozycji statku pod względem szerokości geograficznej, gdyż w ciągu dnia obliczył położenie, droga słusznie wydawała mu się najlepsza, żeby opłynąć przylądek Horn i potem iść w górę w kierunku wybrzeży australijskich

W nocy wichura podwoiła gwałtowność. Zwinięto wszystkie żagle z wyjątkiem mocno zrefowanego foksa oraz sztaksła z przodu i trójmasztowiec płynął fordewindem.

W tym momencie kapitan sądził, że znajduje się jeszcze o ponad dwadzieścia mil od lądu, na pełnym morzu. Nie widział najmniejszego niebezpieczeństwa trzymając kurs prosto aż do chwili, kiedy dostrzeże światło latarni morskiej. Wtedy, jeśli pozostawi je daleko na południu, nie będzie ryzykował, że wpadnie na podwodne skały przylądka San Juan i bez trudu wejdzie do cieśniny.

„Century” szedł więc nadal fordewindem, a Harry Steward nie wątpił, że zanim minie godzina, zobaczy latarnię morską, ponieważ jej światło miało zasięg dziesięciu mil. Niestety nie zobaczył tego światła! Kiedy sądził, że jest jeszcze dość daleko od wyspy, nagle nastąpił potworny wstrząs. Trzej marynarze, zajęci na masztach, zniknęli razem z fokmasztem i z grotmasztem. Jednocześnie bałwany natarły na kadłub statku, który się rozpekł, a kapitan, jego zastępca i cała reszta załogi zostali wyrzuceni za burtę, do kotłujących się bałwanów, nie wróżących nikomu ocalenia.

Tak oto „Century” zginął z ludźmi i ładunkiem. Jedyne pierwsze oficer, John Davis, dzięki Vasquezowi zdołał uniknąć śmierci.

Ale na jakim to brzegu rozbił się trójmasztowiec? Tego Davis nie mógł zrozumieć. Zapytał więc znowu Vasqueza:

— Gdzie jesteśmy?

— Na Wyspie Stanów.

— Na Wyspie Stanów? — powtórzył John Davis, zdumiony tą odpowiedzią.

— Tak... na Wyspie Stanów — potwierdził Vasquez — przy wejściu do zatoki Elgor.

— A latarnia?

— Nie została zapalona!

John Davis, którego twarz wyrażała najgłębsze zdziwienie, czekał na wyjaśnienie Vasqueza, kiedy ten wyprostował się nagle i nadstawił uszu. Wydawało mu się, że słyszy podejrzane szmery, toteż chciał się upewnić, czy bandyci nie kręcą się gdzieś w pobliżu. Wymknął się więc przez szczelinę skalną i omiół wzrokiem całe wybrzeże, aż do cypla przylądka San Juan.

Wszędzie było pusto. Huragan nie tracił bynajmniej na gwałtowności. Grzywacze nadal waliły się na ląd z olbrzymią siłą, a coraz groźniejsze chmury pędziły po widnokregu osnutym mgłami.

Hałas usłyszany przez Vasqueza spowodowało przesunięcie „Century”. Pod wpływem wichury tył kadłuba obrócił się, a przenikający do środka wiatr popychał go dalej na brzeg. Przewal się on po wybrzeżu jak gigantyczna, przebita na wylot beczka, wreszcie roztrzaskał się ostatecznie o róg nadbrzeżnego urwiska. Na miejscu katastrofy pokrytym tysiącem szczątków pozostała już tylko druga połowa trójmasztowca.

Vasquez powrócił do groty i wyciągnął się na piasku obok na Davisa. Pierwszy oficer z „Century” odzyskiwał siły. Mógł już nawet wstać i, wsparty na ramieniu towarzysza, wyjść na brzeg morza. Ale Vasquez go powstrzymał, a wtedy Davis zapytał, dlaczego owej nocy światła latarni nie zostały zapalone.

Vasquez opowiedział mu o potwornych wydarzeniach, jakie zaszły przed siedmioma tygodniami w zatoce Elgor.

— Łotry... łotry... — powtarzał John Davis. — Tak więc stali się panami latarni, której już nie zapalają. To oni spowodowali zatonięcie „Century”, śmierć mojego kapitana i załogi!

— Tak, to oni są panami latarni — potwierdził Vasquez. — Dzięki temu, że podслуchałem rozmowę herszta z jego kamratem, mogłem poznać ich zamiary.

John Davis dowiedział się, w jaki sposób rabusie, zagnieżdżwszy się przed paroma laty na Wyspie Stanów, zwabiali tu statki i mordowali tych, którym udało się wyjść cało z katastrofy, a wszelkie łupy mające jakąkolwiek wartość gromadzili w grocie czekając na chwilę, kiedy Kongremu uda się zawładnąć jakimś statkiem. Gdy rozpoczęły się roboty związane z budową latarni morskiej, szajka została zmuszona do opuszczenia zatoki Elgor i do schronienia się na Przylądku Św. Bartłomieja, gdzie nikt nie podejrzewał ich istnienia.

Gdy prace zostały zakończone, zbóje powrócili, mniej więcej półtora miesiąca temu, ale byli już w posiadaniu szkunera, który rozbił się na Przylądku Św. Bartłomieja, tracąc całą załogę.

— Jak to się dzieje, że dwumasztowiec jeszcze nie odpłynął z łupami? — zapytał John Davis.

— Z powodu poważnych napraw, które go zatrzymały... Ale, jak się osobiście upewniłem, awaria jest już usunięta, załadunek dobiega końca i odjazd miał nastąpić dzisiejszego ranka.

— Dokąd?

— Na wyspy Pacyfiku, gdzie bandyci myślą, że będą bezpieczni i że będą mogli kontynuować swój piracki proceder.

— Przecież nie odpłyną, dopóki pogoda się nie poprawi.

— Oczywiście — odparł Vasquez — a sądząc z wyglądu nieba, opóźnienie może się przeciągnąć jeszcze dobry tydzień.

— Dopóki oni są tutaj, latarnia nie zostanie zapalona. Prawda?

— Prawda, Davis.

— I inne statki ryzykują katastrofę, tak jak "Century"?

— Niestety, jest to prawda.

— Więc nie ma sposobu, żeby zasygnalizować obecność łądu żeglarzom, którzy się zbliżają do wyspy podczas nocy?

— No... może byłby sposób, za pomocą ognisk rozpalonych na wybrzeżu, na cyplu przylądka San Juan. To właśnie usiłowałem zrobić, żeby ostrzec "Century", Davis. Chciałem rozpałcić ognisko ze szczątków wraków i suchych traw. Ale wiatr dał z taką wściekłością, że mi się nie udało.

— Cóż, Vasquez, to co się nie udało panu samemu, może się udać nam we dwójkę — oświadczył John Davis. — Opału nie zabraknie. Szczątki mojego biednego statku... i niestety wraki wielu innych statków dostarczą go w wielkiej obfitości.

— W każdym razie — zauważył Vasquez — Kongre ze swoją zgrają nie mogą zbytnio przedłużać pobytu na wyspie i szkuner wyruszy w drogę, jestem tego pewien, skoro tylko pogoda pozwoli.

— A to dlaczego? — zapytał John Davis.

— Dlatego, że wiedzą dobrze, iż zmiana ludzi obsługujących latarnie ma się odbyć w niedługim czasie.

— Zmiana ludzi?

— Tak, w pierwszych dniach marca, a dziś osiemnasty luty.

— To w tym czasie ma tu przybyć statek?

— Tak, awizo "Santa Fé" z Buenos Aires... Koło dziesiątego Marca, a może nawet nieco wcześniej.

Johna Davisa olśniła ta sama myśl, która przemknęła przez głowę Vasqueza.

— Ach, przecież to zmienia całkowicie sprawę! — zawołał Davis. — oby zatem zła pogoda utrzymała się do tego dnia i dałby Bóg, żeby piraci byli jeszcze tutaj, kiedy "Santa Fé" rzuci kotwicę w zatoce Elgor!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

RABUSIE WRAKÓW

Było ich tutaj dwunastu, a z nimi Kongre i Carcante, zwabieni perspektywą łupów.

Poprzedniego dnia, w chwili gdy słońce miało się schować za horyzontem, Carcante z galerii latarni wypatrzył trój masztowiec płynący ze wschodu. Zawiadomił Kongrego, a ten stwierdził, że to statek umykający przed burzą, który chce dotrzeć do Cieśniny Le Maire'a, a potem poszukać schronienia na zachodnim brzegu wyspy. Jak długo jasność dnia na to pozwalała, śledził ruchy statku, a kiedy zapadła noc, pilnował jego świateł. Udało mu się dostrzec, że statek jest na pół zdezelowany, więc nabrał nadziei, że rozbije się o ląd, którego nie może zobaczyć. Gdyby Kongre zapalił latarnię, wówczas zniknęłoby wszelkie niebezpieczeństwo. Ani mu w głowie było to uczynić, a kiedy latarnie okrętowe na "Century" zginęły mu z oczu, nie miał najmniejszej wątpliwości, że statek wraz z całą załogą poszedł na dno pomiędzy przylądkiem San Juan a cyplem Several.

Nazajutrz huragan nadal szalał jak wściekły. Niepodobna było nawet pomyśleć o odpłynięciu szkunera. A więc, skoro jakiś statek zderzył się z lądem, czyż nie była to dobra sposobność, żeby skorzystać z katastrofy i pozbierać wśród jego szczątków trochę przedmiotów przedstawiających pewną wartość, w ten sposób zwiększając cenę ładunku, który zabierze stąd "Maule"?

Sprawa nie wzbudziła niczyjego sprzeciwu. Można nawet powiedzieć, bandyci poderwali się do drogi niczym stado drapieżnych ptaków. W jednej chwili szalupa była gotowa, wsiedli do wszyscy piraci razem z hersztem. Trzeba było silnie pracować wiosłami, aby pokonać wiatr wiejący bez litości i wtłaczający fale do zatoki. Po półtorej godzinie z trudem zdołali dotrzeć do ostatnich wzgórz; ale z powrotem, jeśli postawią żagiel, przepłyną tę trasę bardzo szybko.

Szalupa przybiła do północnego brzegu zatoki, na wprost groty. Wszyscy wyskoczyli na ląd i pognali na miejsce katastrofy! Wtedy to ich okrzyki zaalarmowały Johna Davisa i Vasqueza. Ten ostatni natychmiast podsunął się do otworu groty uważając, żeby go nikt nie dostrzegł. Po chwili John Davis podczołgał się w ślad za nim.

— Pan tutaj! — zdziwił się Vasquez. — Niech pan to mnie samemu. Panu potrzebny jest wypoczynek.

— Nie — odparł John Davis. — Czuję się teraz zupełnie dobrze. Ja także chcę zobaczyć tę zgrają bandytów.

Pierwszy oficer z "Century" należał do ludzi energicznych i nie mniej zdecydowanych na wszystko od Vasqueza; był to jeden z tych synów Ameryki o żelaznym charakterze, w dodatku musiał mieć, jak to się mówi pospolicie, "duszę przybitą kołkami do ciała", skoro nie oddzieliła się ona od powłoki cielesnej po katastrofie trójmasztowca.

Jednocześnie był świetnym żeglarzem. Zanim przeszedł do floty handlowej, służył jako starszy bosman w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych, a ponieważ po powrocie „Century” do Mobile Harry Steward miał przejść na emeryturę, armatorzy uchwalili, że jemu powierzą dowodzenie statkiem.

W tej sytuacji miał dodatkowy powód do gniewu i zaciekłości wobec bandy. Ze statku, na którym miał niebawem pływać jako kapitan, widział teraz kupę bezkształtnych szczątków wydanych na łup zbirów.

Jeśli Vasquezowi był kiedykolwiek potrzebny ktoś, kto by podtrzymał jego odwagę, to nikt lepiej od Davisa nie nadawał się do tego celu.

Ale przy całej odwadze i determinacji cóż ci dwaj mogli zdziałać przeciwko Kongremu i jego kamratom?

Schowani za występy skalne, Vasquez i John Davis ukradkiem obserwowali wybrzeże, aż po kraniec przylądka San Juan.

Kongre, Carcante i reszta opryszków zatrzymali się najpierw przy zakręcie urwiska, gdzie huragan rzucił połowę "Century" w postaci kupy rupieci piętrzących się u podnóża gór.

Rabusie znajdowali się w odległości niespełna dwustu kroków od grotty, z której można było bez trudu widzieć nawet rysy ich twarzy. Aby się zabezpieczyć przed wiatrem, ubrani byli w ceratowe płaszcze mocno ściągnięte w pasie, a na głowach mieli züdwestki zapięte pod brodą na mocne klamry. Widać było, z jak wielkim trudem walczą, żeby utrzymać się na nogach przy porywach wiatru. Niekiedy musieli opierać się o wrak lub o wystającą skałę, żeby się nie dać przewrócić. Vasquez pokazał Davisowi tych, których poznał, kiedy po raz pierwszy przyszli z wizytą do grotty.

— Ten wysoki — powiedział — tam przy stewie "Century", ten, którego nazywają Kongre.

— Ich herszt?

— Tak, ich herszt.

— A ten, z którym on teraz rozmawia?

— To Carcante, jego zastępca... i jeden z tych, którzy zamordowali moich towarzyszy, widziałem to dobrze z góry.

— Chętnie by mu pan roztrzaskał łeb, prawda? — zapytał Jot Davis.

— Jemu i jego szefowi, jak wściekłym psom — warknął Vasquez.

Minęła dobra godzina, zanim rabusie skończyli oględziny kadłuba, gdyż chcieli dokładnie przeszukać wszystkie zakamarki. Nikiel, stanowiący ładunek "Century", z którym nie mieli co robić, zamierzali pozostawić na brzegu. Natomiast drobniaczka załadowana na trójmasztowiec mogła zawierać jakieś przydatne przedmioty. Toteż Vasquez i Davis zobaczyli niebawem, jak ludzie wynoszą dwie czy trzy skrzynie oraz tyleż samo beł, które Kongre kazał przetransportować na pokład szalupy.

— Jeśli te łajdaki szukają złota, srebra, wartościowych klejnotów czy piasstrów, to się oszukają — orzekł John Davis.

— Oczywiście, to oni lubią najbardziej — odparł Vasquez. — Pełno tego leżało w jaskini, w dodatku zatopione na tym wybrzeżu statki także wiozły niemało cennych przedmiotów. Toteż obecnie szkuner posiada na pewno ładunek przedstawiający dużą wartość, Davis.

— Rozumiem doskonale — stwierdził Davis — że śpieszy im się bardzo z ulokowaniem go w bezpiecznym miejscu. Ale może tym razem szczęście im nie dopisze.

— Żeby tak się stało, zła pogoda musiałaby się utrzymać jeszcze ze dwa tygodnie — mruknął Vasquez.

— Albo żebyśmy znaleźli jakiś sposób...

John Davis nie dokończył swojej myśli. Jak przeszkodzić wyjściu szkunera w morze, jeśli huragan wyczerpie swoje siły, poprawi się pogoda i morze uspokoi?

W tym czasie rabusie opuścili tę część statku i skierowali kroki ku drugiej, leżącej w miejscu katastrofy, na samym cyplu przylądka. Ze swego punktu obserwacyjnego Vasquez i Davis z trudem już ich widzieli.

Odpyły trwał nadal i chociaż wiatr wpychał z powrotem fale na brzeg, skały podwodne wynurzyły się na dużej przestrzeni. Można było teraz dość łatwo dobrać do kadłuba trójmasztowca.

Kongre z dwoma ludźmi wszedł do jego wnętrza. Kambuz znajdował się na tyle statku, pod kasztelem, jak poinformował Vasqueza Davis. Najprawdopodobniej musiał być zdewastowany wtargnięciem fal na pokład. Ale istniała możliwość, że część prowiantów pozostała nieuszkodzona.

Istotnie, kilku mężczyzn zaczęło wyciągać stamtąd skrzynie z konserwami oraz beczki i baryłki, które tocząc po piasku popchnęli w stronę szalupy. Z rozbitych kabin na rufie piraci wydobyli naręcza ubrań i także zanieśli je do szalupy.

Plądrowanie wraku zajęło ze dwie godziny, po czym Carcante z dwoma kamratami, uzbrojeni w siekiery, zabrali się do rozbijania pawęży, która wskutek przechyłu statku znajdowała się zaledwie o dwie, trzy stopy ponad ziemią.

— Co oni robią? — zapytał Vasquez. — Czyżby statek był jeszcze nie dość zdemolowany? Dlaczego, u licha, chcą go dobić?

— Domyślam się, o co im chodzi — odparł John Davis. — Chcą, żeby nie pozostał najmniejszy ślad ani po nazwie statku, ani po jego narodowości. Żeby nikt nigdy się nie dowiedział, że “Century” zginął w tych stronach Atlantyku.

John Davis się nie mylił. Po paru chwilach z wraku wyszedł Kongre trzymając w ręku amerykańską banderę, którą znalazł w kabinie kapitańskiej; podarł tkaninę na drobne strzępy.

— Ach, łajdak! — krzyknął John Davis. — Łajdak! Bandera! Bandera mojego kraju!

Vasquez w ostatniej chwili zdołał go chwycić za ramię, bo nie panując nad sobą Davis chciał już wyskoczyć na brzeg.

Kiedy zakończyło się plądrowanie wraku — a było czym załadować szalupę po sam wierzch — Kongre i Carcante wrócili do podnóża krawędzi górskiej. Spacerując tam i z powrotem, ze dwa czy trzy razy przeszli tuż koło szczeliny w skałach, prowadzącej do grotty. Vasquez i John Davis mogli dobrze usłyszeć, o czym rozmawiali.

— Jeszcze i jutro nie można będzie odpłynąć.

— Tak... Obawiam się nawet, że zła pogoda utrzyma się przez dobrych kilka dni.

— Ech! Nic nie straciliśmy na tym opóźnieniu...

— To prawda, ale ja się spodziewałem znaleźć coś więcej w “amerykaninie” tego tonażu! Ostatni, jaki zwabiliśmy na wodne skały, przyniósł nam pięćdziesiąt tysięcy dolarów zysku.

— Co robić! Jedna katastrofa statku nie jest podobna do drugiej — odpowiedział filozoficznie Carcante. — Trafiliśmy tutaj całkiem zwyczajnie na dziadów.

Rozwścieczony John Davis chwycił za rewolwer i w odruchu nierozumnego gniewu byłby roztrzaskał łeb herszta, gdyby Vasquez znowu go nie powstrzymał.

Była już czwarta, gdy Kongre wraz ze swą bandą powrócił na pokład szalupy. Podniesiono żagiel i łódź w ciągu paru minut zniknęła płynąc wzdłuż północnego brzegu zatoki.

Pod wieczór podmuchy wiatru przybrały na sile. Zimny, zacinający deszcz strumieniami siekł z chmur napędzonych z południowego wschodu.

Vasquez i John Davis nie mogli opuścić grotty. Zapanowało dokuczliwe zimno, tak że musieli rozpaść w głębi skalnego korytarza małe ognisko, żeby się trochę rozgrzać. Na wybrzeżu nie było żywego ducha i panowały gęste ciemności, nie musieli się obawiać, że zostaną odkryci.

Noc była potworna, morze szturmowało z impetem podnóżę skał. Wydawało się, że to powrotna fala albo gwałtowny przypływ atakuje wschodni brzeg wyspy. Wielkie rozkołysane bałwany na pewno wtargnęły w głąb zatoki i Kongre miał pełne ręce roboty, żeby utrzymać “Carcante” na kotwicy.

— Oby go roztrzaskało na drobno — powiedział John Davis a jego szczątki spłynęły na pełne morze wraz z najbliższym odpływem!

Co zaś do wraku “Century”, to nazajutrz pozostały z niego tylko kawałki zaklinowane pomiędzy skałami albo rozrzucone po brzegu.

Czy nawałnica osiągnęła swój punkt kulminacyjny? Vasquez i John Davis opuścili o świcie grotę, żeby się o tym przekonać.

Nic z tego! Trudno sobie wprost wyobrazić tak rozszalałe żywioły. Stan taki utrzymywał się bez zmian przez cały dzień i całą następną noc.

Na szczęście kwestia wyżywienia przestała nękać Vasqueza i jego towarzysza. Dzięki konserwom pochodzącym z trójmasztowca jedzenia mieli na miesiąc, a nawet na dłużej. Zresztą może już za jakieś dwanaście dni w pobliżu wyspy znajdzie się awizo „Santa Fé”. Wtedy skończy się okres burz i okręt bez obawy będzie mógł zawitać w okolice przylądka San Juan.

Teraz obaj najczęściej rozmawiali o tym tak gorąco wyczekiwanym okręcie.

— Marzę, żeby burza trwała i przeszkodziła szkunerowi wyjść w morze, ale żeby się skończyła, kiedy będzie miał przypłynąć „Santa Fé”, tak byłoby najlepiej! — naiwnie wykrzykiwał Vasquez.

— Gdybyśmy mieli na nasze usługi wichry morskie, sprawa byłaby załatwiona! — odpowiadał mu John Davis.

— Niestety, to należy do Boga!

— Byłoby źle, gdyby zbrodniarze uniknęli kary za swoje przestępstwa — twierdził John Davis, powtarzając słowa, które Vasquez wypowiedział nieco wcześniej.

Ponieważ obydwaj mieli ten sam obiekt nienawiści i dręczyło ich to samo pragnienie zemsty, myśli ich także upodabniały się do siebie.

Dwudziestego trzeciego rano warunki atmosferyczne uległy niewielkiej poprawie. Wiatr był z początku jeszcze zmienny, ale wreszcie jak gdyby ustalił się z kierunku nord–nord–est. Przejasnienia, najpierw niewielkie, potem coraz rozleglejsze, oswobodziły z chmur widnokrąg na południu. Deszcz ustał, a chociaż wiatr nadal dął z wielką gwałtownością, to jednak niebo stopniowo błękitniało. Co prawda morze było jeszcze bardzo wzburzone i fale z wściekłością rozbijały się o brzeg. Toteż ujście zatoki nie nadawało się jeszcze do żeglugi i z całą pewnością szkuner nie mógłby odbić od brzegu ani tego dnia, ani następnego. Czy Kongre i Carcante skorzystają z lekkiego złagodzenia pogody i powrócą na przylądek San Juan, żeby poobserwować stan oceanu?

To było nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne, więc obaj mieszkańcy grotty zachowywali się z jak największą ostrożnością.

Jednak przybycia bandy nie należało się spodziewać z samego rana, dlatego Vasquez i John Davis odważyli się wyjść z grotty, której nie opuszczali od czterdziestu ośmiu godzin.

— Czy taki wiatr się utrzyma? — zastanawiał się Vasquez. a

— Obawiam się, że tak — odpowiedział mu John Davis, którego marynarski instynkt nie zawodził. — A nam przydałoby się jeszcze z dziesięć dni złej pogody... dziesięć dni... których nie będziemy mieli.

Stał ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył to w niebo, to ocean.

Ponieważ Vasquez oddalił się od niego o kilka kroków, więc Davis poszedł za nim brzegiem, wzdłuż skalnej krawędzi. Nagle zaczepił nogą o jakiś przedmiot do połowy zagrzebany w piasku nie opodal sterczącej skały, który przy kopnięciu wydał metaliczny dźwięk. Pochylił się i rozpoznał skrzynię ze statku zawierającą zapas prochu, zarówno do fuzji, jak i do dwóch czterocalowych karonad używanych na „Century” do sygnalizowania.

— Na nic się nam nie przyda — powiedział. — Ach, gdybyż można było go zapalić pod pokładem szkunera, którym popłyną bandyci!

— Nie ma nawet o czym marzyć — odparł kręcąc głową Vasquez. — Niemniej jednak zabiorę tę skrzynię w powrotnej drodze i schowam w bezpiecznym miejscu w grocie.

Szli dalej wybrzeżem, kierując się w stronę przylądka, choć wiedzieli, że nie będą mogli dotrzeć do jego najbardziej wysuniętego końca, gdyż o tej porze fale przyływu uderzały weń jeszcze z całą gwałtownością; gdy doszli do podwodnych skał, Vasquez zauważył w zagłębieniu jedno z małych działek, które po katastrofie „Century”, potoczyło się tak daleko razem z lawetą.

— To też należy do pana — odezwał się do Johna Davisa — I tak samo jak i tych parę pocisków, które fale wyrzuciły aż tutaj.

John Davis ponownie powiedział:

— Na nic się nam nie przyda...

— Kto wie? — zareplikował Vasquez. — Ponieważ mamy czym nabić karonadę, może nadarzy się okazja do jej użycia...

— Bardzo wątpię — odparł jego towarzysz.

— Dlaczegoż by nie, Davis? Przecież latarnia już nie świeci, gdyby więc pojawił się na tych wodach jakiś statek, w takich okolicznościach jak "Century", można by zasygnalizować mu obecność ładu wystrzałem armatnim!

John Davis dziwnie przenikliwie przyglądał się swemu towarzyszowi. Wydawało się, że zupełnie nowa myśl zaprzęta mu głowę.

— Może istnieje inny sposób wypełnienia naszego obowiązku — mruknął wreszcie, ale nie udzielił dalszych wyjaśnień. Nie zgłaszał też zastrzeżeń, toteż zgodnie z życzeniem Vasqueza karonada została zaciągnięta aż pod grotę; potem przeniesiono tam lawetę, pociski oraz skrzynkę z prochem. Praca ta była niezmiernie ciężka i zużyli na nią bardzo dużo czasu.

Kiedy Vasquez i John Davis wrócili na śniadanie, słońce stało wysoko nad horyzontem, co wskazywało, że musiała już dochodzić dziesiąta.

Ledwie znaleźli się w swoim ukryciu, kiedy Kongre, Carcante i cieśla Vargas wyszli z za skalnego urwiska. Szalupą byłoby bardzo ciężko płynąć pod wiatr i przeciwko fali przyływu, który zaczynał już podnosić poziom wody w zatoce. Dlatego odbyli drogę pieszo, trzymając się brzegu. Tym razem nie chodziło o rabunek.

Tak jak to słusznie przewidział Vasquez, skłoniła ich do przyjścia chęć poobserwowania stanu nieba, ponieważ rankiem pogoda zaczęła się poprawiać. Z pewnością dojdą do wniosku, że narażą szkuner na wielkie niebezpieczeństwo, jeśli zechcą wyjść z zatoki, i że nie będzie on w stanie walczyć z olbrzymimi grzywaczami nadlatującymi z oceanu.

Tak też myślał Kongre i Carcante. Gdy dotarli do miejsca katastrofy, gdzie pozostały tylko nieliczne szczątki tylnej części "Century", z wielkim trudem udało im się oprzeć podmuchom wiatru. Rozmawiali z ożywieniem, gestykulowali, wskazywali ręką na horyzont, zmuszeni niekiedy odskoczyć do tyłu, gdy wielka fala z pianą na grzbiecie rozbijała się o cypel.

Vasquez i Davis nie stracili ich z oczu ani na chwilę przez te pół godziny, które bandyci spędzili na lustrowaniu ujścia zatoki. Wreszcie Kongre i Carcante odeszli, często oglądając się za siebie, aż w końcu zniknęli za skalnym załomem i weszli na drogę wiodącą do latarni.

— Nareszcie stąd się wynieśli — powiedział Vasquez. — Dałbym tysiąc milionów trylionów za to, żeby przychodzili jeszcze przez kilka dni i obserwowali ocean otaczający wyspę!

Ale John Davis potrząsnął głową. Dla niego było sprawą oczywistą, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wichura się skończy. A wtedy fala opadnie, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie wystarczająco, żeby pozwolić szkunerowi opłynąć przylądek Juan.

Ten dzień Vasquez i John Davis spędzili częściowo na wybrzeżu. Coraz wyraźniej dawała się odczuć zmiana warunków sferycznych. Wiatr jak gdyby ustalił się z kierunku nord-nord-est i żaden statek zamierzający wejść do Cieśniny Le Maire nie omieszkałby poluzować przednich żagli.

Gdy nadszedł wieczór, Vasquez i John Davis powrócili do groty, gdzie zaspokoili głód sucharami i peklowaną wołowiną, a pragnienie wodą z domieszką gorzalki. Po kolacji Vasquez miał już zamiar otulić się swoim kocem, kiedy John Davis go powstrzymał.

— Zanim pan zaśnie, Vasquez, chciałbym, żeby pan wysłuchał pewnego pomysłu, który mi przyszedł do głowy.

— Proszę mówić, Davis.

— Zawdzięczam panu życie, Vasquez, i nie chciałbym zrobić niczego bez pańskiej aprobaty. Przedkładam panu teraz pewną propozycję. Proszę się nad nią zastanowić, a potem odpowiedzieć bez obawy, że zrobi mi pan przykrość.

— Słucham pana, Davis.

— Pogoda się zmienia, wichura się kończy, morze znowu staje się spokojne. Spodziewam się, że szkuner zechce odbić od brzegu w ciągu najdalej czterdziestu ośmiu godzin.

— Niestety, to wygląda aż nadto prawdopodobnie — zgodził się Vasquez i uzupełnił swoje zdanie gestem, mającym oznaczać “Nic na to nie poradzimy”.

John Davis ciągnął dalej:

— Nim miną dwie doby, ukaże się on przy ujściu zatoki, wyjdzie z niej, opłynie przylądek i zniknie nam z oczu na zachodzie, potem przepłynie cieśninę i więcej go już nigdy nie ujrzymy, a w ten sposób pana koledzy, Vasquez, tak jak i mój kapitał oraz moi towarzysze z “Century” nie zostaną pomszczeni!

Jedna jedyna ewentualność mogłaby przeszkodzić wyjściu szkunera w morze albo przynajmniej to wyjście opóźnić aż do przybycia awiza: nowa awaria, która by go zmusiła do powrotu w głąb zatoki. No cóż, mamy teraz proch, mamy armatkę i pociski... Umieścimy tę armatkę na lawecie przy zakręcie krawędzi górskiej i wystrzelmy prosto w kadłub dwumasztowca. Możliwe, że nie zacznie od razu przeciekać, ale załoga nie ośmieli się ryzykować z tą nową awarią wyjścia w długi rejs. Ci nędznicy będą zmuszeni powrócić do zatoki, żeby dokonać niezbędnej naprawy. Będą musieli znowu usunąć ładunek. To wszystko potrwa może jakiś tydzień, a do tego czasu “Santa Fé”...

John Davis zamilkł, ujął Vasqueza za rękę i mocno ją ścisnął.

Vasquez bez wahania odpowiedział jednym jedynym słowem:

— Zgoda!

ROZDZIAŁ DWUNASTY WYPŁYWAJĄC Z ZATOKI

Jak to często bywa po wielkiej ulewie, horyzont był zasnuj mgłą tego ranka, dwudziestego piątego lutego. Przerzucając s z południa na północ, wiatr się uciszył i wystąpiły wyraźne objawy zmiany pogody.

Zgodnie z postanowieniem, że w tym dniu szkuner opuści swoją przystań, Kongre wydał rozkaz, żeby się przygotowano do wyjścia w morze po południu. Można było się spodziewać, że słońce rozproszy do tego czasu opary, które wstały o świcie, a odpływ, rozpoczynający się o szóstej wieczorem, będzie sprzyjał wyjściu statku z zatoki Elgor. Około siódmej szkuner mógłby dotrzeć na wysokość przylądka San Juan, a długi zmierzch panujący na tych szerokościach pozwoliłby opłynąć go jeszcze przed nastaniem nocy.

Oczywiście, statek mógł także ruszyć w drogę przy porannym odpływie, gdyby nie przeszkodziła temu mgła. Na burcie wszystko było przygotowane, ładunek uzupełniony, żywności zgromadzono pod dostatkim, zarówno tej pochodzącej z "Century", jak i wydobytej z magazynu przy latarni morskiej. W przybudówce latarni pozostały tylko meble oraz narzędzia, którymi Kongre nie chciał już przeciążać i tak mocno zapchanej ładowni. Chociaż usunięto z niej część balastu, szkuner siedział w wodzie o kilka cali niżej niż normalnie, a przecież nie byłoby bezpiecznie zwiększać jeszcze bardziej jego zanurzenia.

Wczesnym popołudniem, przechadzając się wewnątrz ogrodzenia, Carcante odezwał się do szefa:

— Mgła zaczyna się unosić i będziemy mogli zobaczyć, co się dzieje na oceanie. Zazwyczaj przy tych zamgleniach wiatr się uspokaja i morze szybciej wraca do normy.

— Myślę, że tym razem uda nam się wyjść — odpowiedział! Kongre — i że nic nie przeszkodzi nam dopłynąć do cieśniny.

— Jutro będziemy już daleko, Kongre, przy tym wietrze z północnego wschodu i przy rozwiniętych żaglach.

— Jutro stracimy z oczu Przylądek Św. Bartłomieja i mam nadzieję, że pod wieczór pozostawimy Wyspę Stanów o jakieś dwadzieścia mil za sobą.

— Nic nie za wcześnie, Kongre, zważywszy, ile czasu tutaj sterczymy.

— Czyżbyś tego żałował, Carcante?

— No nie, teraz nie, ponieważ nasz pobyt dobiega końca i ponieważ, jak to się mówi, szczęście nam dopisało, bo odpływamy na dobrym statku razem z naszymi skarbami. Ale, do stu tysięcy diabłów, już byłem pewien, że wszystko stracone, kiedy "Maule"... przepraszam, "Carcante" wszedł do zatoki z przedziurawionym kadłubem! Gdyby nam się nie udało naprawić awarii, kto wie, ile czasu musielibyśmy jeszcze pozostać na tej wyspie. A gdyby przyszedł okręt, musielibyśmy powrócić na Przylądek Św. Bartłomieja. Co do mnie, to mam go powyżej uszu tego przylądka!

— Tak — przyznał Kongre, a jego okrutna twarz spochmurniała — w dodatku sytuacja byłaby znacznie poważniejsza! Widząc, że w latarni nie ma strażników, dowódca "Santa Fé" podjąłby odpowiednie kroki, zarządziłby poszukiwania... Kazałby przeczesać całą wyspę i kto wie, czyby nie wykrył naszej meliny? W dodatku nie jestem pewien, czy nie dołączyłby do niego ten trzeci latarnik, który się nam wymknął.

— Co do tego, możesz być spokojny, Kongre. Nigdy przecież nie natrafiliśmy na jego ślad. Zresztą, jak utrzymałby się przy życiu przez blisko dwa miesiące? No bo przecież niedługo minie dwa miesiące, odkąd "Carcante", tym razem nie zapomniałem o jego nowym imieniu, rzucił kotwicą w zatoce Elgor, chyba żeby ten dzielny latarnik żywił się cały czas surowymi rybami i korzonkami.

— W końcu jednak odpływamy stąd przed przybyciem awiza — stwierdził Kongre — i tak jest bezpieczniej.

Jak widać, Kongre nie żywił najmniejszych wątpliwości, że jego zamiary zostaną uwieńczone powodzeniem. Zresztą, wyglądało na to, że wszystko działa na jego korzyść.

Gdy herszt bandy powracał do przystani, Carcante wdrapał się po schodach latarni i wyszedłszy na galerię, pozostał tam przez całą godzinę obserwując widnokrąg.

Niebo oczyściło się już zupełnie i linia horyzontu, oddalona o jakieś dwanaście mil, rysowała się z całą wyrazistością. Morze, aczkolwiek jeszcze dość wzburzone, nie bielilo się już grzywami piany, a fale, chociaż nadal gwałtowne, nie mogły już przeszkodzić szkunerowi.

Na oceanie nie widać było żadnego innego statku poza trójmasztowcem, który około godziny drugiej ukazał się przez chwilę na wschodzie, i to w takiej odległości, że bez lunety Carcante nie zdołałby rozpoznać jego żagli. Zresztą płynął na północ, a więc w kierunku Pacyfiku; w krótkim czasie zniknął z oczu.

Co prawda w godzinę później Carcantego coś poważnie zaniepokoiło i nawet się zastanawiał, czy nie zawiadomić Kongrego. Z nord–nord–estu, ale jeszcze bardzo daleko, ukazał się dymek. Płynął tamtędy parowiec zdążający ku Wyspie Stanów albo na wody Ziemi Ognistej.

Na złodzieju czapka gore. Carcantemu wystarczył widok dymu, żeby cały się zatrzęsł ze strachu.

“Czyżby awizo?” — zadawał sobie w duchu pytanie. Co prawda, był dopiero dwudziesty piąty lutego, a przecież “Santa Fé” miał powrócić nie wcześniej niż w pierwszych dniach marca! A może przyspieszył swój przyjazd? Jeżeli to on, to za dwie godziny będzie miał na trawersie przylądek San Juan... i wszystko stracone. Czyżby musieli zrezygnować z wolności w chwili kiedy byli o krok od jej zdobycia i powrócić do okropnej egzystencji na Przylądku Św. Bartłomieja?

U swoich stóp Carcante widział szkuner kołyszący się z wdziękiem w zatoczce, jak gdyby rzeczywiście chciał sobie z niego zakpić. Wszystko było przygotowane. Pozostawało już tylko podnieść kotwicę i odpłynąć. Ale przy przeciwnym wietrze statek nie pokonałby fali przypływu, a wyrównanie pływów nie nastąpi wcześniej niż o pół do trzeciej. Nie ma zatem możliwości wyjść na ocean przed przybyciem tego parowca, a jeśli okaże się, że to awizo...

Carcante wybuchnął stekiem przekleństw. Nie chciał jednak przeszkadzać szefowi bardzo zajętemu ostatnimi przygotowaniem, zanim nie będzie pewien swego, toteż dalej pozostał sam jako obserwator na galerii latarni morskiej.

Statek zbliżał się raptownie korzystając z prądu i pomyślnego wiatru. Jego kapitan kazał dobrze nakładać do pieców, gdyż gęsty dym buchał z komina, którego Carcante nie mógł jeszcze dojrzeć za rozpiętymi żaglami. Parowiec przechylał się dość silnie na prawą burtę. Niedługo znajdzie się na trawersie przylądka San Juan, jeżeli będzie dalej szedł w tym tempie.

Carcante nie przestawał patrzeć przez lunetę, a jego niepokój wzrastał coraz bardziej, w miarę jak zmniejszała się odległość parowca. Wreszcie statek znalazł się zaledwie o parę mil od wyspy, tak że widać było nawet część jego kadłuba.

Właśnie w chwili kiedy Carcantego ogarnęły najsilniejsze obawy, nagle rozwiały się one zupełnie. Parowiec szedł pod pełnymi żaglami, co świadczyło, że chciał dotrzeć do cieśniny, a jego takielunek ukazał się oczom Carcantego w całej okazałości.

Był to statek parowy mający tysiąc dwieście do tysiąca pięciuset ton pojemności, którego w żaden sposób nie można było pomylić z “Santa Fé”.

Carcante, tak samo jak Kongre i jego kamraci, świetnie znał awizo, gdyż oglądał go kilkakrotnie w czasie jego długiego postoju w zatoce Elgor. Wiedział dobrze, że okręt miał omasztowanie szkunera, gdy tymczasem zbliżający się parowiec był trójmasztowcem.

Jakiej ulgi doznał Carcante i jak sobie wieszował, że nie narobił bez potrzeby paniki wśród całej szajki! Pozostał jeszcze godzinę na galerii i zobaczył, jak parowiec przepływa na północ od wyspy, ale w odległości trzech do czterech mil, a więc zbyt daleko, żeby przesygnalizować swój numer; zresztą ten sygnał, z wiadomych powodów, i tak pozostałby bez odpowiedzi.

Po czterdziestu minutach parowiec robiąc co najmniej dwanaście węzłów zniknął na pełnym oceanie w kierunku cypla Colnett.

Carcante zszedł z galerii, upewniwszy się przedtem, że na horyzoncie nie widać żadnego innego statku.

Tymczasem zbliżała się pora zmiany pływów. Był to czas ustalony dla odjazdu szkunera. Wszystkie przygotowania zostały zakończone, żagle gotowe do postawienia. Gdy będą już podniesione i rozpięte, chwycą wiatr, który przeskoczył i ugruntował się już z est-süd-estu, i "Carcante" szybko pomknie na ocean halfwindem.

O szóstej Kongre i większość jego ludzi byli na burcie. Łódka przywiozła tych, którzy czekali jeszcze u podnóża nasypu, potem została wciągnięta na szlupbelki.

Fala zaczęła się powoli cofać. Już wynurzyło się z wody miejsce, gdzie szkuner leżał na brzegu w trakcie naprawy. Z drugiej strony zatoczki skały podwodne wychyliły swoje spiczaste głowy. Wiatr przedzierał się przez szczeliny w nadbrzeżnym łańcuchu górskim i leciutki przybój zamierał na plaży.

Nadeszła chwila odjazdu. Kongre dał rozkaz podniesienia kotwicy. Łańcuch naciągnął się, zazgrzytał w kluzie, wreszcie kotwica się wynurzyła, zawisła pionowo na bloku, po czym została umocowana, gdyż teraz żegluga zapowiadała się na bardzo długo.

Postawiono żagle i szkuner, pod fokiem, grotem, marslem i bramslami poszedł prawym halssem w kierunku na ocean.

Ponieważ wiatr dał z est-süd-estu, "Carcante" mógł bez trudu opłynąć przylądek San Juan. Zresztą, żeglowanie blisko tej urwistej części wybrzeża nie przedstawiało najmniejszego niebezpieczeństwa.

Kongre wiedział o tym dobrze, gdyż doskonale znał zatokę. Toteż stojąc przy sterze odważnie wyostrzał do wiatru, żeby zwiecszyć szybkość w miarę możliwości.

O pół do szóstej Kongre był zaledwie o jedną milę od krańca cypla. Widział stąd morze rozciągające się po sam horyzont. Po przeciwnej stronie słońce już zachodziło i niebawem miały rozbłysnąć gwiazdy na zmierzchającym niebie.

Carcante zbliżył się do szefa.

— No, nareszcie znajdziemy się lada chwila poza zatoką! — wiedział z nie ukrywanym zadowoleniem.

— Za dwadzieścia minut — odparł Kongre — każę zluzować szoty i położę ster na prawą burtę, żeby opłynąć przylądek San Juan.

W tym momencie któryś z członków załogi stojący w pobliżu bomu ładowniczego krzyknął:

— Uwaga na przodzie!

— Co tam? — zapytał Kongre.

Carcante podbiegł do marynarza i wychylił się poza reling.

— Pomału... zwolnić! — krzyknął do Kongrego.

Właśnie szkuner przepływał przed jaskinią, która służyła bandytom przez długi czas za schronienie.

W tym miejscu zatoki dryfowała część stępki "Century", którą odpływ popychał na morze. Zderzenie z nią mogłoby mieć smutnej następstwa, a był to ostatni moment na manewr dla uniknięcia kolizji.

Kongre lekko przełożył ster na lewą burtę. Szkuner zrobił zwrot i przeszedł wzdłuż wraku, który tylko leciutko musnął spód jego kadłuba.

W wyniku tego manewru "Carcante" zbliżył się nieco do północnego brzegu, ale zaraz został wyprowadzony na dawny kurs. Jeszcze ze dwadzieścia łokci i znajdują się poza zakrętem skalnym, a wtedy Kongre będzie mógł wypuścić drążek sterowy z ręki i trzymać kurs prosto na północ.

Dokładnie w tym momencie ostry gwizd przeszył powietrze i kadłub szkunera zadrżał pod wpływem ciosu, po którym natychmiast nastąpiła potężna detonacja.

Jednocześnie znad brzegu morza uniósł się białawy dym, który wiatr wepchnął w głąb zatoki.

— Co to było? — wrzasnął Kongre.

— Ktoś do nas strzelał! — odkrzyknął Carcante.

— Weź ster! — rozkazał Kongre.

Sam rzucił się na lewą burtę i wychylił się za reling; zauważył zaraz dziurę w kadłubie, o pół stopy ponad linią wodną.

Cała załoga natychmiast przybiegła do niego na przód statku.

Zasadzka w tej części wyspy! Gdyby pocisk trafił trochę niżej, posłałby niewątpliwie statek na dno! Trzeba przyznać, że taki napad mógł w równym stopniu przestraszyć bandytów, co ich zaskoczyć.

Co powinni byli robić Kongre i jego kamraci? Spuścić na wodę szalupę, wsiąść do niej, wyskoczyć na brzeg w miejscu, gdzie unosił się dym, pochwycić tych, którzy strzelili, pozabijać ich, a przynajmniej wykurzyć z kryjówek? Ale skąd można wiedzieć, czy napastnicy nie górują nad nimi ilością i czy nie najrozsądniej będzie oddalić się stąd, żeby najpierw zorientować się w rozmiarach nowej awarii?

Taka decyzja narzucała się z tym większą oczywistością, że karonada wystrzeliła po raz wtóry. I znowu dym ukazał się w tym samym miejscu. Szkuner doznał nowego wstrząsu. Drugi pocisk trafił prosto w burtę, trochę z tyłu za pierwszym.

— Sternik ostrzyć! Wyluzować sztaksle! Szykować się do zwrotu! — wrzasnął Kongre biegnąc na rufę, żeby dołączyć do Carcanta, który śpieszył wykonać rozkaz.

Gdy tylko szkuner poczuł ster, wykręcił do wiatru i poszedł prawym halsiem. W niespełna pięć minut oddalił się od brzegu i niebawem znalazł poza zasięgiem działa, które było weń wycelowane.

Zresztą nowe wystrzały już nie nastąpiły. Wybrzeże było puste aż po kraniec przyładka. Wyglądało na to, że atak już się wiece nie powtórzy.

Najpilniejszą sprawą było sprawdzenie stanu kadłuba. Od wewnątrz nie można było dokonać oględzin bez przenoszenia ładunku. Ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że obydwa pociski przebiły poszycie i utkwily w podpokładziu.

Spuszczono łódź na wodę i zatrzymano statek, który dryfował na opadającej fali.

Kongre i cieśla zeszli do łódki i obejrzeni kadłub, żeby się przekonać, czy awarię można będzie naprawić na miejscu.

Stwierdzili, że szkuner został trafiony dwoma czterocalowymi pociskami, które przebiły poszycie na wylot. Na szczęście podwodne części statku nie ucierpiały, gdyż obydwie dziury znajdowały się na skraju blaszanego poszycia, na samej linii wodnej. Gdyby trafiły o parę centymetrów niżej, woda zaczęłaby się wdzierać przez otwór, którego załoga nie zdążyłaby może zaczopować, wypełniłaby na pewno ładownię i "Carcante" zatonałby przy wejściu do zatoki. Kongre i jego towarzysze może by zdołali dopłynąć do brzegu w łodzi, jednak szkuner byłby bezpowrotnie stracony.

W sumie awaria nie była chyba zbyt poważna, ale tak czy owak nie pozwalała wyjść na pełne morze. Przy najmniejszym przechyle na lewą burtę, woda przedostawałaby się do wnętrza statku. Trzeba było zatem, nim się wyruszy w dalszą drogę, zatkać obie dziury po pociskach.

— Ale kim jest ten łajdak, co do nas strzelał? — nie przestawał powtarzać Carcante.

— Może to ten latarnik, który nam się wymknął? — wyraziły przypuszczenie Vargas. — A może też być jakiś rozbitek z “Century”, który pozostał przy życiu i którego ów latarnik uratował? No bo przecież, żeby strzelać pociskami, potrzebne jest działko, a takie działko nie spada z księżyca.

— Oczywiście — zgodził się Carcante. — Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pochodzi ono z trójmasztowca. Szkoda, wielka szkoda, żeśmy go nie znaleźli wśród szczątków.

— To wszystko nie ma znaczenia — wtrącił ze złością Kongre. — Najważniejsze to naprawić jak najszybciej awarię.

Rzeczywiście, nie było teraz czasu na sprzeczki co do okoliczności napadu na szkuner, lecz trzeba było zabrać się do koniecznych napraw. Można było w ostateczności zaprowadzić statek na przeciwległy brzeg zatoki, na cypel Diegos. Wystarczyłoby na to godziny.

Tylko że tam szkuner byłby zbyt narażony na wiatry od morza, a na całym wybrzeżu, aż do cypla Several, nie było żadnej zacisznej przystani. Przy pierwszej burzy statek roztrzaskałby się o skały podwodne. Kongre zdecydował się więc powrócić jeszcze tego samego wieczora do zatoki Elgor, gdzie prace mogły być prowadzone w całkowitym bezpieczeństwie i w jak najszybszym tempie.

Akurat trwał odpływ i szkuner zyskałby niewiele na czasie żeglując przeciwko prądowi. Warto było zatem czekać na przyływ, który miał się zacząć nie wcześniej niż za trzy godziny.

Niestety “Carcante” kołysał się dość mocno na silnej fali, powstała więc obawa, że odpływ zaciągnie go aż do cypla Several, przy czym woda mogłaby się wedrzeć do środka. Już zresztą słyhać było, jak wlewa się ona przez dziury przy każdym silniejszym przechyle. Kongre musiał się więc zdecydować rzucić kotwicę o kilka kabli od cypla Diegos.

Na ogół biorąc, sytuacja była niepokojąca. Kongre wyteżał całą swoją wiedzę o tych wodach, żeby nie rozbić się o jedną z licznych skał broniących dostępu do brzegu.

Wreszcie koło dziesiątej zaczął się przyływ. Podniesiono kotwicę i przed północą “Carcante”, zdoławszy uniknąć wielu niebezpieczeństw, znowu stanął na swoim dawnym miejscu w zatoce Elgor.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY NASTĘPNE TRZY DNI

Można sobie z łatwością wyobrazić, w jaką rozpacz wpadli Kongre, Carcante i cała szajka. W chwili gdy mieli już wreszcie opuścić wyspę, zatrzymała ich ostatnia przeszkoda!

A przecież za cztery lub pięć dni, może nawet wcześniej, awizo nie omieszka ukazać się u wylotu zatoki Elgor! Gdyby awaria szkunera okazała się mniej poważna, Kongre nie zawahałby rzecz jasna, rzucić kotwicy w innym miejscu. Na przykład poszukałby schronienia w zatoce San Juan, która po drugiej stronie przylądka wrzyna się głęboko w południowy brzeg wyspy, przy obecnym stanie szkunera byłoby istnym szaleństwem puszczanie się w taką drogę. Statek poszedłby na dno, nim dotarłby wysokość cypla. Tę część drogi zmuszeni byłiby przebyć fordewindem, szkuner niewątpliwie napełniłby się wodą, przewalając z jednej burty na drugą. A w najlepszym wypadku cały jego ładunek byłby bezpowrotnie stracony.

Narzuciła się więc konieczność powrotu do przystani pod latarnię i Kongre mądrze postąpił, podejmując taką decyzję.

Owej nocy, którą wszyscy na pokładzie spędzili bezsennie, członkowie załogi musieli trzymać wachtę, gdyż nieodzowna była stała czujność. Któż mógł bowiem zaręczyć, że atak się nie powtórzy? Skąd można było wiedzieć, czy duża grupa ludzi, liczniejsza niż banda Kongrego, nie wylądowała ostatnio na odległym krańcu wyspy? Albo czy wiadomość o obecności bandy piratów na Wysp Stanów nie została przekazana komu należy w Buenos Aires i rząd argentyński nie będzie starał się jej zlikwidować?

Siedząc na rufie, Kongre i Carcante rozmawiali na ten temat a raczej monologował zastępca herszta, gdyż Kongre był tak zaabsorbowany, że odpowiadał mu tylko pojedynczymi, urywanymi słowami.

To Carcante pierwszy wysunął tę hipotezę: desant na Wyspę Stanów żołnierzy przysłanych w celu ścigania Kongrego i jego kamratów. Ale nawet zakładając, że wylądowali oni niepostrzeżenie, to jednak regularny oddział postąpiłby zupełnie inaczej. Wojsko zaatakowałoby otwarcie ich schronienie albo, gdyby zabrakło mu czasu na tego rodzaju akcję, ustawiłoby przy wyjściu z zatoki kilka statków, które zaarrestowałyby szkuner i zawładnęły nim jeszcze tego samego wieczora stosując abordaż bądź też uszkodziłyby statek, żeby nie mógł kontynuować rejsu. W każdym razie oddział nie ukryłby się po jednej jedynej potyczce, tak jak to zrobili nieznani napastnicy, których ostrożność była oznaką słabości.

Carcante odrzucił w końcu swoją hipotezę i powrócił do przypuszczenia wypowiedzianego przez Vargasa:

— Tak... ci, którzy nam splatali tego figla, mieli jedynie na celu przeszkodzić szkunerowi w opuszczeniu wyspy, a jeśli jest ich więcej, znaczy to, że uratowało się kilku ludzi z "Century". Natrafili na tutejszego latarnika i od niego dowiedzieli się o bliskim już przybyciu awiza. Armatkę zaś znaleźli wśród szczątków.

— Awiza jeszcze nie widać — wtrącił Kongre głosem drżącym z wściekłości. — Zanim tu dopłynie, szkuner będzie już daleko! Rzeczywiście, zakładając nawet, że latarnik napotkał rozbitków z "Century", jest zupełnym nieprawdopodobieństwem, aby mogło ich być więcej niż dwóch czy trzech. Czy tak gwałtowna burza oszczędziłaby więcej ludzi? Ale co może zdziałać garstka rozbitków wobec licznej i dobrze uzbrojonej bandy? Skoro tylko szkuner będzie naprawiony, natychmiast żagle zostaną wciągnięte na maszty i statek wypłynie na pełny ocean, tym razem trzymając się środka zatoki. Dali się nabrać jeden raz, ale taka sztuczka już się nie uda po raz drugi.

Teraz wszystko jest kwestią czasu. Ile dni potrwa naprawa nowego uszkodzenia?

Tej nocy nic nie zaalarmowało piratów i nazajutrz cała załoga stanęła do roboty.

Najpierw musieli znowu usunąć część ładunku ułożonego pod pokładem na lewej burcie. Na wydobywie tak dużej ilości przedmiotów na pokład zużyli co najmniej pół dnia. Na szczęście obeszło się bez wynoszenia ładunku na ląd i holowania szkunera na ławicę piaskową; ponieważ dziury po pociskach znajdowały się nieco powyżej linii wodnej, można je było łątać bez zbytnej trudności z łódki przycumowanej do nadburcia. Najważniejszą sprawą było ustalenie, czy pociski nie uszkodziły szkieletu.

Kongre i cieśla zeszli pod pokład. Oto jakie były rezultaty ich oględzin:

Oba pociski trafiły tylko w poszycie i przebiły je mniej więcej na tej samej wysokości; odnaleziono je zresztą po przesunięciu ładunku. Musnęły jedynie wręgi, ale ich nie naruszyły. Dziury znajdujące się w odległości dwóch czy trzech stóp od siebie były na linii wodnej i równe, jakby wycięte piłą. Można je było zatkać hermetycznie czopami wzmocnionymi kawałkami drewna wsadzonego pomiędzy żebra, a potem przybić na wierzch arkusz blachy.

W sumie uszkodzenia nie były wielkie. Nie zagrażały one najmniej solidności kadłuba i można je było szybko naprawić.

— Kiedy? — zapytał Kongre.

— Przygotuję wewnętrzne poprzeczki i założę je dzisiaj wieczorem — odpowiedział Vargas.

— A szpunty?

— Szpunty będą zrobione jutro w ciągu dnia i założone jutro wieczorem.

— A zatem jutro wieczorem będziemy mogli rozmieścić ładunek i odpłynąć pojutrze rano?

— Tak, na pewno — potwierdził cieśla.

A więc na wszystkie reperacje wystarczy sześćdziesiąt godzin i w rezultacie odjazd szkunera będzie opóźniony zaledwie o dwa dni.

Carcante zapytał szefa, czy nie zamierza wyprawić się z rana lub po południu na przylądek San Juan.

— Żeby zobaczyć, co się tam dzieje — powiedział.

— A po co? — zapytał Kongre. — Wszak nie wiem, z kim mamy do czynienia. Musielibyśmy udać się tam całą grupą w dziesięć czy dwanaście osób, a co za tym idzie, pozostawić zaledwie dwóch czy trzech ludzi do pilnowania statku. Kto wie, co mogłoby się stać podczas naszej nieobecności.

— Też racja — zgodził się Carcante. — Właściwie niewiele byśmy mogli w ten sposób zyskać? Niech diabli porwą tych, co do nas strzelali! Najważniejszą rzeczą jest opuszczenie tej wyspy, i to jak najprędzej!

— Pojutrze rano będziemy już na oceanie — oświadczył stanowczo Kongre.

Mieli zatem wszelkie szansę, że okręt, który powinien był przecież nadejść dopiero za kilka dni, nie pojawi się przed ich odjazdem.

A zresztą, gdyby nawet Kongre z kamratami pojechali na przylądek San Juan, to i tak nie znaleźliby już śladu Vasqueza i Johna Davisa.

Oto co tam zaszło:

Poprzedniego dnia realizacja projektu Johna Davisa zajęła obydwu czas aż do wieczora. Miejsce dla ustawienia karonady wybrali na zakręcie skalnej krawędzi. Pomędzy spiętrzonymi tam głazami mogli z łatwością ulokować lawetę. Wiele trudu kosztowało ich natomiast przyciągnięcie samego działka. Musieli najpierw wlec je po nadbrzeżnym piasku, a potem przebyć teren najeżony odłamami skał, gdzie trzeba było podnosić je na lewarach, co pochłonęło moc czasu i sił. Dochodziła szóstka, gdy karonada została wreszcie umieszczona na lawecie w taki sposób, żeby ją można było wycelować na ujście zatoki.

John Davis przystąpił wówczas do ładowania i wprowadził do lufy duży nabój, przybił go kłakami z suchego morszczyku, kładąc na wierzch kulę. Następnie podsypał prochu na panewkę. Teraz pozostawało tylko podłożyć ogień w odpowiedniej chwili. Wtenczas John Davis odezwał się do Vasqueza:

— Długo się zastanawiałem nad tym, co mamy robić. Otóż nie uważam wcale za potrzebne posyłać szkunera na dno, bo wtedy wszyscy bandyci dopłynęliby do brzegu i nie wiadomo, czy zdołalibyśmy im umknąć. Najważniejsze jest, żeby statek powrócił na dawne miejsce postoju, no i pozostał tam jakiś czas dla naprawy awarii.

— Niewątpliwie — zgodził się Vasquez — ale dziurę po pocisku można zatkać w ciągu jednego ranka.

— Nie — zaproponował John Davis — ponieważ będą musieli przenieść ładunek. Ja szacuję zwłokę na czterdzieści osiem godzin, a przecież mamy już dwudziesty ósmy lutego.

— A jeżeli awizo przybędzie dopiero za tydzień? — sprzeciwił się Vasquez. — Czyż nie lepiej celować w maszty niż w kadłub?

— Nie ulega kwestii, Vasquez; jeżeli statek będzie pozbawiony fokmasztu czy grotmasztu — a nie widzę wcale, w jaki sposób mogliby je wymienić — wówczas zatrzyma się na długo. Ale trafić w maszt jest znacznie trudniej niż trafić w kadłub i musielibyśmy wycelować bez pudła.

— No tak — chcąc nie chcąc zgodził się Vasquez. — W dodatku jeżeli bandyci wyjdą z zatoki korzystając z wieczornego odpływu, co jest bardzo prawdopodobne, będziemy mieli już kiepskie oświetlenie. Niech więc pan robi tak, jak pan uważa, że jest najlepiej, Davis.

Ponieważ przygotowania były zakończone, nie pozostawało innego, jak tylko czekanie. Vasquez z Davisem usadowili się przy karonadzie, gotowi do oddania strzału, gdy tylko szkuner ukaże się na wysokości cypla.

Wiemy już, jaki był rezultat ich akcji i w jakich warunkach "Carcante" musiał powrócić na swoje dawne miejsce. John Davis i Vasquez nie opuścili posterunku tak długo, dopóki nie stwierdzili, że dwumasztowiec stoi w głębi zatoki.

Ale teraz ostrożność nakazywała im poszukać sobie schronienia w innym zakątku wyspy, ponieważ, jak to wróżył Vasquez, może już jutro Kongre z częścią swoich ludzi przybędzie na przylądek San Juan. Może postanowi udać się w pościg za swymi wrogami?

Zdecydowali się bardzo szybko. Natychmiast opuścili swoją grootę, żeby poszukać o jakąś milę czy dwie dalej nowej kryjówki, położonej tak, aby mogli z niej widzieć każdy statek przybywający z północy. Jeżeli ukaże się ich oczom "Santa Fé", będą nadawać sygnały, ale przedtem znowu wrócą na przylądek San Juan. Kapitan Lafayate wyśle po nich łódź, weźmie ich na pokład i zostanie przez nich dokładnie poinformowany o sytuacji, która wreszcie znajdzie takie czy inne rozwiązanie, w zależności od tego, czyi szkuner będzie jeszcze w swojej przystani, czy też, co było niestety zupełnie możliwe, znajdzie się już na morzu.

— Oby Bóg zrządził, żeby tak się nie stało! — powtarzali John Davis i Vasquez.

W środku nocy obaj udali się w drogę, zabierając z sobą zapasy żywności, broń oraz rezerwę prochu. Szli brzegiem morza robiąc około sześciu mil dookoła przystani San Juan. Po dłuższych poszukiwaniach udało im się wreszcie znaleźć po drugiej stronie zatoki rozpadlinę, która mogła służyć im za schronienie aż do przybycia awiza. Zresztą, gdyby przez ten czas szkuner odpłynął, nic nie stałoby na przeszkodzie w ich powrocie na dawne miejsce.

W ciągu dnia Vasquez i John Davis nie opuszczali swego punktu obserwacyjnego. Przez cały czas trwania przypływu wiedzieli, że szkuner nie może wyjść z zatoczki, i nie troszczyli się o niego. Ale gdy się zaczął odpływ, powróciła obawa, że przez noc awaria zostanie usunięta. Kongre na pewno nie opóźni odjazdu ani o jedną godzinę, skoro tylko to będzie możliwe. Czyż nie obawiał się widoku na horyzoncie "Santa Fé" w tym samym stopniu, w jakim John Davis i Vasquez przyzywali ten statek wszelkimi zaklęciami?

Vasquez i Davis nie przestawali obserwować wybrzeża. Ale ani Kongre, ani żaden z jego towarzyszy się nie ukazywali.

Jak już wiemy, Kongre postanowił nie tracić ani chwili czasu na niepewne poszukiwania wrogów. Przyspieszyć prace, zakończyć naprawy w jak najkrótszym terminie, oto co uważał za konieczne do zrobienia, i tak też postępował. Zgodnie z przyrzeczeniem Vargasa kawał

drewna został wbity pomiędzy wręgi jeszcze tego samego popołudnia. Nazajutrz będą przygotowane i założone szpunty. Dlatego pierwszego marca nikt nie niepokoił Vasqueza i Davisa. Okropnie im się ten dzień dłużył!

Wieczorem, kiedy już nie musieli pilnować szkunera, gdyż nabrali pewności, że nie opuścił przystani, poszli do nowej kryjówki, przycupnęli w niej i zasnęli kamiennym snem, który dał im tak bardzo potrzebny wypoczynek.

Nazajutrz o świcie byli już na nogach. Ich pierwsze spojrzenie skierowało się ku morzu. Ani jednego statku w polu widzenia. Ani śladu "Santa Fé", najmniejszy dymek nie unosił się na horyzoncie.

Czyżby szkuner zamierzał wyjść na ocean wraz z porannym odpływem? Fala była już duża i jeżeli statek z niej skorzysta, to za jakąś godzinę opłynie przylądek San Juan.

Co zaś do powtórzenia wczorajszego zamachu, to John Davis nie mógł o tym nawet marzyć. Kongre na pewno będzie się miał na baczności, przejdzie poza zasięgiem strzału i pociski nie zdołają dosięgnąć szkunera.

Łatwo zrozumieć, jakie zniecierpliwienie, jaki niepokój targają Johnem Davisem i Vasquezem, dopóki nie skończył się odpływ! Wreszcie koło godziny siódmej zaczęły nadbiegać fale z oceanu. Teraz Kongre nie mógł już myśleć o opuszczeniu przystani aż do wieczornego odpływu.

Pogoda była dobra, wiatr utrzymywał się w kierunku północno-wschodnim. Na morzu nie znać już było skutków ostatniej burzy. Słońce świeciło pomiędzy lekkimi, bardzo wysoko pełznącymi chmurkami, do których nie docierał wiatr.

Jeszcze jeden nie kończący się dzień dla Vasqueza i Johna Davisa! Ale i tym razem, tak jak i poprzedniego dnia, nic ich nie zaalarmowało. Banda nie opuściła zatoki. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, żeby któryś z piratów oddalił się od reszty towarzystwa w ciągu ranka czy popołudnia.

— To dowodzi, że te łotry pochłonięte są całkowicie pracą — zauważył Vasquez.

— Tak, pilno im! — potwierdził John Davis. — Niebawem dziury po naszych kulach zostaną załatane i nic już nie powstrzyma bandytów.

— Co może nastąpić nawet dzisiejszego wieczora... chociaż odpływ zaczyna się późno — dodał Vasquez. — To prawda, że zatokę znają jak własną kieszeń. Niepotrzebny im jest żaden promień żeby ją oświetlić. Przecież wrócili tu wczoraj wieczorem. Jeżeli wyjdą na ocean następnej nocy, tyleśmy ich widzieli... Jakie to nieszczęście — zakończył głosem pełnym rozpacz — że pan nie utracił masztów!

— No cóż, Vasquez — odparł Davis — zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Reszta należy do Opatrzności.

— My jej pomożemy — mruknął przez zaciśnięte zęby Vasquez, który nagle jak gdyby powziął jakieś postanowienie.

John Davis trwał w zamyśleniu i przechadzał się tam i z powrotem po brzegu, mając oczy zwrócone na północ. Nic na horyzoncie... nic! Nagle przystanął, po czym podszedł blisko do swego towarzysza i powiedział:

— Vasquez... a gdybyśmy tak poszli zobaczyć, co oni tam robią?

— W głąb zatoki?

— Tak... zrobilibyśmy rekonesans, żeby się przekonać, czy szkuner jest naprawiony... czy się szykuje do wyjścia...

— Co nam z tego przyjdzie?

— Będziemy wiedzieć, Vasquez! — zawołał John Davis. Ja aż cały dygocę z niecierpliwości. Nie mogę dłużej wytrzymać! To silniejsze ode mnie!

Rzeczywiście, pierwszy oficer z "Century" nie panował już nad sobą.

— Vasquez — zaczął znowu po chwili — jak daleko jest stąd do latarni morskiej?

— Najwyżej trzy mile, jeśli iść szczytami wzgórz w prostej linii do zatoki.

— No to ja pójdę, Vasquez. Wyjdę stąd około czwartej, dobrnę przed szóstą na miejsce, przedostanę się tak daleko, jak tylko będę mógł. Mnie nikt nie zobaczy, a ja zobaczę wszystko!

Na nic by się nie zdało przekonywać Johna Davisa, żeby nie szedł. Zresztą Vasquez nawet nie usiłował go odwieść od tego zamiaru. Davis powiedział mu:

— Pan zostanie tutaj. Będzie pan obserwował morze. Ja powrócę wieczorem. Pójdę sam.

Ale Vasquez odpowiedział mu jak człowiek, który ma swój własny plan:

— Pójdę z panem, Davis. I mnie także sprawi przyjemność mała przechadzka w okolicy latarni morskiej.

Takie było ich niezłomne postanowienie, od którego nie dali się odwieść.

Przez kilka godzin, które dzieliły ich od wyruszenia, Vasquez zostawiwszy swego towarzysza na brzegu, poszedł sam do grotty, służącej im teraz za schronienie, i oddawał się tajemniczym przygotowaniom. Pierwszy oficer z "Century" złapał go na tym, jak starannie ostrzył na odłamku skały nóż, a potem znów jak darł swoją koszulę na pasy i splatał je w sznur.

Na zadawane mu pytania Vasquez dawał wymijające odpowiedzi, zapewniając jednak, że dokładnych wyjaśnień udzieli wieczorem. John Davis nie nalegał.

O czwartej, po zjedzeniu suchara i kawałka peklowanej wołowiny, obydwaj ruszyli w drogę uzbrojeni w rewolwery. Wąski parów ułatwił wspinaczkę na wzgórze, którego szczyt osiągnęli bez szczególnego wysiłku.

Dalej rozciągał się jałowy płaskowyż, gdzie rosły tylko rzadkie kępki berberysów. Nigdzie ani jednego drzewa, na którym można by zatrzymać wzrok. Tylko stada morskich ptaków wrzeszcząc ogłuszająco szybowwały w stronę południa.

Znalezienie drogi prowadzącej do zatoki Elgor nie przedstawiało najmniejszych trudności.

— Tędy — powiedział Vasquez.

Mówiąc to wskazał ręką latarnię morską, wznoszącą się w odległości niespełna dwóch mil.

— Chodźmy — odpowiedział John Davis.

Ruszyli szybkim krokiem. Może trzeba będzie zachować ostrożność, ale to dopiero w pobliżu przystani.

Po blisko godzinie wyteżonego marszu zatrzymali się zziębnięci. Ale nie zdawali sobie wcale sprawy ze zmęczenia. Pozostawało im jeszcze pół mili drogi. Teraz konieczna była ostrożność, na wypadek gdyby Kongre lub któryś z jego ludzi obserwował okolicę z galerii latarni. Z tej odległości mogli przecież ich zauważyć.

Przy bezchmurnym niebie galerię było widać doskonale. Nikogo tam w tej chwili nie dostrzegali, ale przecież Carcante czy któryś inny zbir mógł przebywać w wartowni pod latarnią, skąd przez wąskie okna skierowane na cztery strony świata wzrok ogarniał wyspę na dużej przestrzeni.

John Davis i Vasquez wślizgnęli się pomiędzy skały rozsiane tu i ówdzie w bezładzie. Przeskakiwali od jednej do drugiej, kryjąc się, a nawet niekiedy czołgając, gdy mieli do przebycia otwartą przestrzeń. Na końcowym odcinku drogi posuwali się bardzo powoli.

Dochodziła już szósta, kiedy dotarli do ostatniego łańcucha wzgórz okalających przystań. Zaczęli bacznie obserwować, co się dzieje na dole.

Niemożliwe, żeby ich ktoś dostrzegł, chyba że któryś z bandytów nagle wdrapałby się na wzgórze. Nawet z galerii latarni byli teraz niewidoczni pośród skał, z którymi się zupełnie zlewali.

Szkuner stał na miejscu, lekko kołysząc się na wodzie, maszty i reje miał przygotowane, liny i żagle w dobrym stanie. Załoga była zajęta przenoszeniem pod pokład ładunku, który trzeba było wyjąć na górę w trakcie usuwania uszkodzeń. Z tyłu, na końcu liny, kołysała się łódka, a ponieważ nie stała już przy lewej burcie statku, znaczyło to, że prace nad naprawą dobiegły końca że dziury po pociskach zostały załatane.

— Oni są już gotowi — warknął John Davis z trudem wstrzymując wybuch wściekłości.

— Kto wie, czy nie podniosą kotwicy przed początkiem odpływu, za jakieś dwie lub trzy godziny!

— A my jesteśmy bezsilni... bezsilni! — powtarzał John Davis.

Rzeczywiście, cieśla Vargas dotrzymał słowa, praca została wykonana szybko i starannie. Po awarii nie zostało już ani śladu, wystarczyło na to dwóch dni. Gdy ładunek zostanie złożony z powrotem na miejsce i pokrywa luku zamknięta, "Carcante" będzie znowu gotów do odjazdu.

Tymczasem godziny mijały, słońce zaszło nisko i wreszcie zupełnie się skryło; zapadła noc i nic nie wskazywało na to, że szkuner zamierza podnieść kotwicę. Ze swojego ukrycia Vasquez i John Davis słuchali odgłosów dochodzących z zatoki. Były to śmiechy, krzyki, przekleństwa, zgrzytanie skrzynek ciągniętych po pokładzie. Około dziesiątej usłyszeli wyraźnie stuk zamykającej się kłapy. Potem zapadła cisza.

Davis i Vasquez czekali ze ściśniętym sercem. Tak, praca jest zakończona, nadchodzi chwila odjazdu. Ale szkuner nadal kołysał się w głębi przystani, kotwica była nadal wbita w dno, żagle nadal zwinięte.

Upłynęła godzina. Pierwszy oficer z "Century" chwycił Vasqueza za rękę.

— Odpływ się kończy — powiedział. — Fala powraca.

— A więc nie wychodzą!

— Dzisiaj nie, ale jutro.

— Ani jutro, ani nigdy — oświadczył kategorycznie Vasquez. — Niech pan idzie za mną — dodał wyłazając z zagłębienia, gdzie siedzieli zaczajeni.

Davis, niesłuchanie zaintrygowany, poszedł za Vasquezem, który ostrożnie posuwał się w stronę latarni morskiej. Po krótkim czasie stali już u stóp nasypu będącego fundamentem wieży. Gdy tam przybyli, Vasquez chwilę pomacał ręką i odsunął jakiś głaz, który dał się bez wielkiego wysiłku ruszyć z miejsca.

— Niech się pan tam wślizgnie — powiedział do Davisa, wskazując dłonią otwór ziejący pod głazem. — Jest to kryjówka, którą znalazłem przypadkowo, kiedy jeszcze pełniłem swoje obowiązki w latarni. Wtedy nie przypuszczałem wcale, że kiedyś mi się przyda. To nie jest pieczara, to po prostu dziura, w której obaj zmieścimy się z ledwością. Ale można przejść tysiąc razy przed naszymi "drzwiami" nie podejrzewając, że dom jest zamieszkały.

Davis posłusznie spełnił polecenie, wsunął się do otworu, gdzie Vasquez dołączył do niego niezwłocznie. Przytuleni do siebie tak mocno, że nie mogli zrobić najmniejszego ruchu, rozmawiali z twarzą przy twarzy półgłosem.

— Oto mój plan — powiedział Vasquez. — Pan na mnie tutaj zaczeka.

— Tutaj? — zadziwił się John Davis.

— Tak, a ja pójdę na szkuner.

— Po co? — Davis był coraz bardziej zdumiony.

— Postanowiłem, że łotry stąd nie odpłyną — stanowczo oznajmił Vasquez.

Wyciągnął zza bluzy dwa zawiniątka i nóż.

— To jest nabój, który zrobiłem z naszego prochu i kawałka koszuli. Z drugiego kawałka koszuli i resztki prochu sfabrykowałem lont, oto on. Umocuję to sobie wszystko na głowie i udam się w pław na statek. Wciągnę się po sterze do góry i tym nożem wydrążę dziurę pod pawężą, pomiędzy sterem a tylnicą. Do otworu wsadzę ładunek, zapalę lont i wrócę. Taki oto jest mój projekt i nic na świecie nie jest w stanie przeszkodzić mi w jego zrealizowaniu.

— Projekt jest wspaniały! — zawołał John Davis z entuzjazmem. — Ale ja panu nie pozwolę narażać się na takie niebezpieczeństwo samemu. Pójdę z panem.

— W jakim celu? — sprzeciwił się Vasquez. — Łatwiej jest się prześlizgnąć w pojedynek, a przecież jeden człowiek zupełnie wystarczy, żeby wykonać to, co zaplanowałem.

Na nic się nie zdały nalegania, Vasquez pozostał niewzruszony. Pomysł należał do niego i on sam zamierzał go wykonać. W końcu, chcąc nie chcąc, Davis musiał się podporządkować.

W najczarniejszej godzinie nocy Vasquez zrzucił z siebie ubranie, wyczołgał się z kryjówki i zaczął schodzić po stoku wzgórza. Gdy dotarł nad morze, wszedł do wody i potężnymi ruchami ramion popłynął do szkunera, który kołysał się miękko w odległości mniej więcej kabla od brzegu.

W miarę jak się do niego zbliżał, sylwetka statku stawała się, coraz ciemniejsza i coraz bardziej okazała. Nie zauważył na pokładzie najmniejszego ruchu, a jednak tam czuwano. Niebawem pływak dostrzegł zupełnie już wyraźnie postać marynarza na wachcie. Siedział na przedniej nadbudówce, z nogami zwieszonymi nad wodą i pogwizdywał jakąś marynarską piosenkę, której tony czysto brzmiały w nocnej ciszy.

Vasquez opisał łuk i zbliżywszy się do statku od tyłu, zniknął w jeszcze gęściejszym cieniu, rzucanym przez pawęż. Nad nim uwypuklała się linia steru. Schwycił w obie garście jego oślizgłą powierzchnię i kosztem nadludzkich wysiłków zdołał się podciągnąć, czepiając żelaznych okuć. Gdy udało mu się wreszcie usiąść okrakiem na piórze, ścisnął je między kolanami, jak jeździec ściska boki swego wierzchowca. Uwolniwszy w ten sposób ręce, mógł sięgnąć po worek ulokowany na głowie i przytrzymując go zębami, wymacać ręką jego zawartość. Wydobył z niego nóż i natychmiast przystąpił do dzieła. Pomału dziura, którą wywiercał pomiędzy piórem steru a tylnicą, stawała się coraz szersza i coraz głębsza. Po jakiejś godzinie pracy, ostrze noża przeszło na wylot. Do tej dość już dużej dziury Vasquez wsunął przygotowany ładunek prochu,— przytwierdził do niego lont i zaczął szukać w worku krzesiwa.

W tej chwili zmęczone kolana rozluźniły na ułamek sekundy uścisk i Vasquez poczuł, że się ześlizguje, a takie obsunięcie znaczyło nieodwołalne fiasko jego zamysłów. Zamoczone krzesiwo w żaden sposób nie da ognia. Zrobił mimowolny ruch, żeby znowu złapać równowagę, ale w tej chwili worek drgnął, a nóż, który tam włożył z powrotem po skończonej robocie, wysunął się i wpadł do wody, sprawiając dość znaczny hałas.

Piosenka marynarza na wachcie urwała się raptownie. Vasquez usłyszał, jak schodzi on z nadbudówki, idzie po pokładzie i wchodzi na tylny kasztel. Zobaczył, że jego cień zarysował się na powierzchni morza. Marynarz, wychylony za burłę, szukał prawdopodobnie przyczyny niezwykłego dźwięku, który zwrócił jego uwagę. Pozostał tak przez dłuższą chwilę, a tymczasem Vasquez, z nogami zeszywniałymi i paznokciami wbitymi w oślizgłe drzewo, czuł, jak po trochu siły go opuszczają. Wreszcie uspokojony absolutną ciszą marynarz odszedł, powrócił na dziób i dalej pogwizdywał swoją melodyjkę.

Vasquez wydobył z worka krzesiwo i ostrożnie jął uderzać o krzemień. Wytrysło parę iskierek, zajął się od nich lont i zaczął dyskretnie potrzaskiwać.

Vasquez szybko osunął się wzdłuż steru, a gdy się już znalazł w wodzie, długimi, cichymi ruchami ramion popłynął w stronę ładu.

W kryjówce, gdzie John Davis pozostał sam, czas dłużył w nieskończoność. Upłynęło pół godziny, trzy kwadranse, godzina. Davis nie mógł dłużej wytrzymać, wyczołgał się z dołka i z niepokojem spoglądał w stronę morza. Co się mogło stać Vasquezowi? W każdym razie chyba go nie wytropiono, gdyż ze statku nie dobiegał najmniejszy hałas.

Nagle w ciszy nocnej rozległ się głuchy wybuch, podchwycony przez echo wśród pagórków, a potem dały się słyszeć ogłuszające wrzaski i tupot nóg.

W parę minut później jakiś człowiek cały mokry i umazany mułem wpadł z impetem, odepchnął Johna Davisa, wcisnął się obok niego na samo dno kryjówki i zakrył ją głazem maskującym dokładnie otwór.

Prawie w tej samej chwili przebiegła galopem głośno wrzeszcząc grupa ludzi. Hałaśliwe walenie ciężkich buciorów na skale nie mogło zagłuszyć ich głosów.

— Dalej, śmiało! — darł się jeden z nich. — Już go mamy!

— Widziałem go przecież, tak jak widzę ciebie! — krzyczał drugi. — On jest sam.
— Nie ma więcej niż sto metrów przewagi nad nami!
— O, łajdak! Ale go dostaniemy!

Hałas zmniejszył się, wreszcie oddalił zupełnie.

— Zadanie wykonane? — zapytał szeptem John Davis.

— Tak — odpowiedział Vasquez.

— Myśli pan, że się udało?

— Mam nadzieję — szepnął Vasquez.

O świcie stukanie młotków rozwiało wszelkie wątpliwości. Ponieważ praca wrzała na pokładzie szkunera, należało przypuszczać, że został on uszkodzony, a zatem Vasquez zrealizował swój plan. Ale jakie były rozmiary awarii, tego ani Davis, ani Vasquez nie mogli oszacować.

— Oby okazały się one tak poważne, żeby ich zatrzymać jeszcze przez miesiąc w zatoce!
— westchnął Davis, zapominając o tym, że gdyby tak się stało, to i on, i jego towarzysz umarliby z głodu w głębi swojej nory.

— Cicho! — mruknął nagle Vasquez chwytając Davisa za rękę. Zbliżała się nowa grupa ludzi, tym razem bez hałasu. Może nawet ta sama, co w pierw, ale powracająca z nieudanego polowania.

W każdym razie nie odzywali się ani słowem. W kryjówce słychać było tylko odgłos obcasów stukających o ziemię.

Przez cały ranek Vasquez i Davis słyszeli wokół siebie kroki. Przechodziły grupy ludzi wysyłanych w pogoń za nieuchwytnym napastnikiem. Jednakże w miarę upływu godzin robiło się spokojniej. Już od dłuższego czasu nic nie zakłócało otaczającej ciszy, kiedy nagle koło południa trzech czy czterech ludzi zatrzymało się o dwa kroki od dziury, w której ukryli się Davis i Vasquez.

— Przepadł jak kamień w wodę — powiedział jeden z nich, siadając na głazie zamykającym otwór kryjówki.

— Lepiej byśmy zrobili, dając spokój poszukiwaniom — stwierdził drugi. — Towarzysze już weszli na statek.

— I my pójdziemy za ich przykładem. Zwłaszcza że, koniec końców, temu łajdakowi się nie udało.

Vasquez i Davis, niewidoczni dla ich oka, drgnęli i nadstawili uszu z jeszcze większą uwagą.

— Aha — przytaknął czwarty rozmówca. — Jak wam się to podoba? Chciał wysadzić w powietrze ster.

— Duszę i serce każdego statku, co tu gadać.

— To by nam dopiero splątał figła, jak to się mówi.

— Na szczęście ten jego ładunek eksplodował po prawej i po lewej burcie. Cały kram sprowadza się do dziury w pawęży i do wyrwanego okucia. Co zaś do trzonu steru, to tylko jest lekko osmalony.

— Wszystko będzie dzisiaj naprawione — znowu odezwał się pierwszy z rozmówców. — I wieczorem, nim zacznie się przyływ, kotwica w górę, chłopcy! A potem, niech on sobie zdycha z głodu, jeśli ma ochotę!

— No co, Lopez, może już dosyć odpoczywania? — przerwał mu nagle brutalnie czyjś szorstki głos. — Na co tyle gadaniny? Wracajmy.

— Wracajmy — chórem odpowiedziała cała trójka, ruszając w drogę.

W swojej kryjówce Vasquez i John Davis, zdruzgotani świeżo zasłyszanymi nowinami, leżeli bez ruchu i w milczeniu.

Dwie grube łzy napłynęły do oczu Vasqueza i stoczyły się po policzkach; zahartowany wilk morski wcale się nie wstydził tego dowodu bezsilnej rozpacz. Jak znikomy rezultat

przyniósł jego bohaterski wyczyn! Dwanaście godzin dodatkowego opóźnienia, do tego sprowadziły się szkody wyrządzone bandzie piratów. Jeszcze dziś wieczorem, po naprawieniu awarii, szkuner wyjdzie na szeroki ocean i zniknie na horyzoncie.

Odgłos stukających młotków dobiegający z wybrzeża świadczył niezbicie o tym, że Kongre zabrał się z zapalem do pracy, żeby doprowadzić "Carcante" do należytego stanu. Było po piątej, kiedy stukot ustał nagle, ku wielkiej rozpaczycy Vasqueza i Davisa. Zrozumieli bowiem, że ostatnie uderzenie młota zakończyło robotę. Jeszcze po paru minutach zgrzyt łańcucha ocierającego się o kluzę potwierdził ten domysł. Kongre kazał wyciągnąć kotwicę. Zbliżała się chwila odjazdu.

Vasquez nie mógł już wytrzymać dłużej i odsunawszy głaz, wychylił się ostrożnie, żeby spojrzeć na zewnątrz.

Z jednej strony zachodzące słońce dosięgało szczytów gór ograniczających widok. W tym okresie, bliskim jesiennego porównania, do pełnego zmroku pozostawała zaledwie godzina.

Po przeciwnej stronie szkuner nadal stał na kotwicy w głębi zatoki. Nie można było na nim dostrzec żadnych widomych znaków awarii. Na pokładzie wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Pionowa pozycja łańcucha kotwicznego wskazywała na to, jak zresztą słusznie przypuszczał Vasquez, że wystarczy ostatni wysiłek, żeby podnieść kotwicę z dna zatoki.

Vasquez, zapominając o wszelkiej ostrożności, wysunął się z dziury do połowy ciała. Stojący z tyłu Davis przyciskał się do jego ramienia. Obaj patrzyli, ciężko dysząc ze zdenerwowania.

Większość piratów była już na pokładzie. Ale paru z nich pozostawało jeszcze na lądzie. Wśród nich Vasquez od razu poznał Kongrego, który chodził tam i z powrotem z Carcancem po ogrodzonym terenie latarni. W pięć minut później rozstali się i Carcante skierował kroki do drzwi przybudówki.

— Uważajmy teraz — ostrzegł po cichu Vasquez — bo on na pewno wejdzie na latarnię.

Obaj z powrotem wsunęli się do swojej kryjówki.

Istotnie, Carcante po raz ostatni wspiął się po schodach latarni. Szkuner miał odbić za chwilę. Zastępca herszta chciał jeszcze rzucić okiem na horyzont, żeby się upewnić, czy jakiś statek nie ukaże się w polu widzenia.

Zresztą, noc zapowiadała się spokojna, pod wieczór wiatr złagodniał, co wróżyło pogodę o wschodzie słońca.

Kiedy Carcante wyszedł na galerię, John Davis i Vasquez zobaczyli go zupełnie wyraźnie. Carcante obchodził latarnię i nastawiał swoją lunetę na wszystkie punkty widnokregu.

Nagle z ust jego wyrwał się prawdziwy ryk. Kongre i pozostali piraci zadarli ku niemu głowy. Przerażliwym głosem, który dotarł do uszu wszystkich, Carcante wrzeszczał:

— Awizo! Awizo!

Trudno znaleźć odpowiednie słowa, żeby odmalować poruszenie, którego widownią stała się przystań w zatoce Elgor. Okrzyk: "Awizo!", spadł jak grom z jasnego nieba, jak wyrok śmierci na głowy bandy nędzników. "Santa Fé" to była sprawiedliwość przybywająca na wyspę, to była kara za niezliczone grzechy, i tej karze już nie byli w stanie się wymknąć!

Ale czy Carcante się nie omylił? Czy ten zbliżający się okręt naprawdę był awizem marynarki argentyńskiej? I czy zdążył do zatoki Elgor? A może kierował się po prostu do Cieśniny Le Maire'a albo w stronę cypla Several, żeby opłynąć wyspę od południa?

Skoro tylko Kongre posłyszał okrzyk Carcanciego, rzucił się pędem na szczyt kopca, wbiegł po schodach latarni morskiej i po paru minutach był już na galerii.

— Gdzie ten statek? — zapytał.

— Tam... na kierunku nord-nord-west.

— Jak daleko jeszcze od nas?

— Mniej więcej z dziesięć mil.

— A zatem nie może wejść do zatoki przed nastaniem ciemności?

— Nie.

Kongre wziął do ręki lunetę. Wpatrywał się w płynący statek uważnie, nie mówiąc ani słowa.

Był całkowicie pewien, że ma przed oczami parowiec. Widział już wyraźnie dym buchający z komina gęstymi kłębam, co świadczyło, że palacz dobrze nakładał do kotła.

Ani Kongre, ani Carcante nie mieli powodu wątpić, że ten parowiec to awizo. Przecież oglądali wiele razy argentyński okręt podczas prac przy budowie latarni. A zresztą, ten parowiec pruł prościuteńko w stronę zatoki. Gdyby kapitan miał zamiar wejść do Cieśniny Le Maire'a, wzięłby kurs bardziej na zachód, a gdyby pragnął obejść od morza cypel Several, wówczas trzymałby się bardziej na południe.

— Tak — powiedział wreszcie Kongre — to na pewno awizo.

— Przekląty pech, który nas tutaj uwięził! — wybuchnął Carcante. — Gdyby nie ci nicponie, co nas zatrzymali już dwukrotnie, bylibyśmy teraz na pełnym Pacyfiku.

— Te wszystkie wyrzekania nie zdadzą się na nic — zauważył zimno Kongre. — Musimy coś postanowić.

— Ale co?

— Odpłynąć.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Nim odpłyniemy dalej, awizo będzie już na wysokości zatoki!

— To prawda... ale do niej nie wejdzie.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że nie będzie mógł posłużyć się światłem latarni morskiej, a przecież nie zaryzykuje wejścia do zatoki po ciemku.

Kongre rozumował bardzo słusznie; tego samego zdania byli zresztą John Davis i Vasquez. Nie chcieli wyjść ze swojej jamy, dopóki można było ich dostrzec z galerii. Skuleni w ciasnej kryjówce, myśleli dokładnie to samo co herszt piratów. Latarnia powinna była już wysłać promienie, ponieważ słońce właśnie się schowało. Nie widząc jej światła, kapitan Lafayate, aczkolwiek świetnie znający położenie wyspy, może się zawaha, nim zdecyduje się płynąć dalej. Może przez całą noc pozostanie na morzu, kręcąc się tam i z powrotem przed wyspą? Prawdę mówiąc, zawijał już do zatoki Elgor najmniej z dziesięć razy, ale zawsze za dnia, a nie widząc latarni morskiej wskazującej mu drogę, pewnie nie odważy się wejść do niej po ciemku. Zresztą, na pewno pomyśli, że na wyspie musiały zajść jakieś poważne wydarzenia, skoro latarnicy nie pilnowali swego posterunku.

— Co robić? — zapytał Vasquez.

— Czekać — odpowiedział John Davis. Minęła już szósta i zmierzch zaczął otulać wyspę.

A tymczasem na pokładzie "Carcante" przygotowania do ponownego wyruszenia były prowadzone z największym pośpiechem. Kongre chciał wyjść z zatoki za wszelką cenę. Zżerany niepokojem, postanowił natychmiast opuścić miejsce postoju. Jeżeli uczyni to dopiero przy porannym odpływie, narazi się na spotkanie z awizem. Przecież kapitan Lafayate, gdy zobaczy wychodzący z zatoki szkuner, na pewno nie da mu przejść. Każę zatrzymać statek i zasypie kapitana pytaniami. Bez wątpienia będzie chciał wiedzieć, dlaczego latarnia morska nie została zapalona. Obecność tutaj szkunera wyda mu się całkiem słusznie podejrzana. Kiedy "Carcante" się zatrzyma, wejdzie na jego pokład, przywoła do siebie Kongrego, dokona inspekcji załogi i po samych tylko minach tych ludzi powęźmie uzasadnione podejrzenia. Zmusi statek, żeby wykonał zwrot i płynął za nim, a potem przetrzyma go w zatoczce aż do otrzymania obszerniejszych wyjaśnień. Ponieważ dowódca "Santa Fé" nie zostanie na wyspie swoich trzech latarników, nie zdoła inaczej sobie wytłumaczyć ich nieobecności, jak tylko zamachem, którego padli ofiarą. A wtedy czy nie

będzie skłonny pomyśleć, że sprawcami tego zamachu są ludzie z tego właśnie statku, którzy chcieli mu się wymknąć?

Kongre oczami duszy ujrzał te wszystkie ewentualności oraz ich konsekwencje. Stąd też jedynym posunięciem, na jakie musiał się zdecydować, było, co następuje: przygotować się natychmiast do wypłynięcia, a ponieważ dął z północy pomyślny wiatr, skorzystać z ciemności nocnych, żeby wyjść z zatoki pod pełnymi żaglami. Tak, wtedy szkuner będzie miał przed sobą wolny ocean.

John Davis i Vasquez doskonale rozumieli, na czym polega plan piratów; łamali sobie głowę nad tym, w jaki sposób mogliby przeszkodzić w jego urzeczywistnieniu, i ogarniała ich rozpacz, gdyż czuli swoją bezsilność.

Około pół do ósmej Carcante przywołał na burtę paru pozostałych na lądzie ludzi. Gdy tylko załoga znalazła się w komplecie na pokładzie, wciągnięto łódkę i Kongre wydał rozkaz podniesienia kotwicy.

John Davis i Vasquez słyszeli regularny zgrzyt zapadki, łańcuch wybierano za pomocą kabestanu.

Po dalszych pięciu minutach kotwica była już na bloku. Natychmiast szkuner zaczął manewrować. Miał postawione żagle, małe i duże, tak aby nic nie stracić z wiatru, którego siła się zmniejszała. Wreszcie statek powoli odbił od brzegu i, żeby lepiej chwytać wiatr, szedł środkiem zatoki.

Niebawem żegluga stała się bardzo trudna. Ponieważ poziom wody był niski po odpływie, szkuner nie mógł korzystać z prądu i w tym tempie, idąc baksztagiem, niewiele zyskiwał na czasie. A już w ogóle nic nie zyska, kto wie, czy nawet nie straci, kiedy za dwie godziny zacznie się przypływ. W najlepszym wypadku nie dotrze przed północą na wysokość przylądka San Juan.

To zresztą nie było ważne. Ponieważ "Santa Fé" nie wchodził do zatoki, Kongre nie ryzykował, że się na niego natknie. Nawet gdyby tam miał czekać na następny odpływ, to i tak o świcie będzie już poza zatoką.

Załoga nie zaniedbywała niczego, co mogłoby zwiększyć szybkość "Carcante", ale była bezbronna wobec realnego niebezpieczeństwa, wynikającego ze znoszenia przez prąd. Wiatr pomału odpychał statek w stronę południowego brzegu zatoki Elgor. Kongre słabo znał ten brzeg, ale wiedział, że jest on bardzo niebezpieczny, gdyż okalała go długa grzęda skalna. W godzinę po wyjściu z przystani wydało mu się nawet, że tak się do niej zbliżył, iż uznał za stosowne zrobić lekki zwrot, żeby się trochę odsunąć od brzegu. Wiedział, że zmiana halsu bynajmniej nie będzie łatwa do wykonania, gdyż wraz z zapadaniem nocy wiatr stawał się coraz słabszy. A jednak manewr ten był niezbędny i pilny; drążek na dół, szoty ściągnięte z tyłu i zluzowane z przodu. Niestety, szkuner nie mając szybkości, nie zdołał wyostrzyć do wiatru i dalej dryfował w stronę wybrzeża.

Kongre zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Pozostawał mu jeden jedyny sposób, więc skorzystał z niego bez wahania. Spuszczono łódkę na wodę, sześciu ludzi wsiadło do niej z grubą liną i pracując wiosłami, zdołali w końcu obrócić szkuner, który poszedł prawym halsem. Po upływie kwadransa mógł powrócić na pierwotny kurs bez obawy, że zostanie rzucony na skały południowego wybrzeża.

Niestety wiatr uciszył się zupełnie, żagle łopotały o maszty. Szalupa nie byłaby w stanie przyholować "Carcante" do ujścia zatoki. Mogła najwyżej utrzymać statek w miejscu w czasie przypływu, który właśnie się zaczynał, ale nie było co marzyć o tym, żeby pociągnęła szkuner pod prąd. Czy Kongre będzie zmuszony rzucić kotwicę tutaj, w odległości niespełna dwu mil od przystani? Gdy szkuner podniósł kotwicę, John Davis i Vasquez wypełzli ze swojej kryjówki i zeszli prawie na sam brzeg, skąd obserwowali każdy ruch statku. Kiedy wiatr ucichł zupełnie, zrozumieli, że teraz Kongre będzie musiał stać i czekać do następnego

odpływu. Ale nawet w tym wypadku zdąży przed nastaniem brzasku osiągnąć ujście zatoki, a zatem nadal miał wielkie szansę na to, że umknie niespostrzeżony.

— Trzymamy go w garści! — krzyknął nagle Vasquez.

— W jaki sposób? — zapytał z niedowierzaniem John Davis.

— Proszę za mną! Niezwłocznie!

Vasquez gwałtownie pociągnął swego towarzysza w kierunku latarni morskiej.

Jego zdaniem "Santa Fé" powinien był krążyć przed wyspą. Mógł się znajdować nawet bardzo blisko, co w końcu nie było szczególnie niebezpieczne przy tak spokojnym morzu. Nie ulegało wątpliwości, że kapitan Lafayate, niesłychanie zdziwiony wygaszeniem latarni, snuje się tu pod małą parą w oczekiwaniu na wschód słońca.

Zresztą dokładnie to samo myślał Kongre, ale herszt bandy pocieszał się jednocześnie, że ma wielką szansę wyprowadzenia awiza w pole. Skoro tylko odpływ odciągnie wody z zatoki na morze, wówczas "Carcante" obejdzie się bez pomocy wiatru, ruszy z miejsca, i za niespełną godzinę znajdzie się na oceanie.

Po wyjściu, z zatoki Kongre wcale nie zamierzał pchać się zbyt daleko. Wystarczy mu wtedy najslabszy podmuch wiatru, który przecież zawsze zrywa się od czasu do czasu, nawet gdy noc jest najspokojniejsza, a także prąd znoszący na południe, żeby mógł bezkarnie przepłynąć wzdłuż brzegu wśród głębokich nocnych ciemności. Skoro tylko szkuner minie przylądek Several, odległy o ponad siedem, osiem mil, zaraz skryje się za wzgórzami, a wtedy nic mu nie będzie zagrażać.

Było już po dziewiątej. Kongre musiał się zdecydować rzucić kotwicę na czas zrównania się pływów i tak czekać na chwilę, kiedy się zacznie odpływ. Ale to miało nastąpić dopiero za jakieś sześć godzin. Przed trzecią nad ranem nie było co liczyć na pomyślny prąd. Szkuner stał obrócony pod falę, z dziobnicą w kierunku oceanu. Łódka została ponownie wciągnięta na pokład. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, Kongre nie straci ani chwili czasu i natychmiast ruszy w drogę.

Nagle z gardła zgrai piratów wydarł się wrzask, który można było usłyszeć po obu brzegach zatoki. Latarnia morska zapłonęła pełnym blaskiem, oświetlając morze przed wyspą!

— Ach, łajdaki! Oni tam są! — zawołał Carcante.

— Na ład! — skomenderował Kongre.

Istotnie, żeby uniknąć grożącego im wielkiego niebezpieczeństwa, nie mieli innego wyboru, jak tylko wylądować zaraz, pozostawiając na pokładzie niewielką ilość ludzi, pobiec do ogrodzenia, wdrzeć się do przybudówki, wdrapać się po schodach prowadzących do latarni, wtargnąć do pokoju wachtowego i rzucić się na latarnika, na jego towarzyszy, jeżeli ich miał, pozbyć się ich szybko i wygasić latarnię. Jeżeli awizo nie wszedł do zatoki, to się na pewno zatrzyma... A jeżeli już się w niej znalazł, to będzie usiłował wypłynąć, pozbawiony światła latarni, które by go prowadziły do przystani. W najgorszym razie rzuci tu kotwicę, czekając, aż nastanie dzień.

Kongre kazał spuścić łódkę. Carcante i dwunastu ludzi umieściło się tam wraz z nim, uzbrojeni w strzelby, rewolwery i noże. W ciągu jednej minuty przybili do brzegu i pognali w stronę ogrodzenia, od którego dzieliła ich odległość zaledwie półtorej mili.

Drogę tę przebyli w kwadrans. Nikogo nie trzeba było popędzać. Cała banda, z wyjątkiem dwóch ludzi pozostawionych na pokładzie, zgromadziła się u podnóża kopca.

Tak... Vasquez i John Davis byli tutaj. Wdrapali się po zboczach kopca i weszli za ogrodzenie, bowiem dobrze wiedzieli, że nie mogą nikogo spotkać, Vasquezowi pilno było zapalić latarnię, tak żeby awizo mógł wejść do zatoki nie czekając świtu. Jedyne, czego się obawiał, było to, że Kongre zniszczył soczewki, potłukł lampy i że całe urządzenie będzie nie do użytku. No, a wtedy szkuner, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ucieknie, nim zostanie spostrzeżony przez "Santa Fé".

Obaj mężczyźni szybko weszli do domu mieszkalnego, tamtędy przedostali się na korytarz, pchnęli drzwi na schody, zamknęli je za sobą i zasunęli na wszystkie skoble, po czym wspięli się po schodach i wreszcie dotarli do wartowni.

Latarnia była w dobrym stanie, lampy na swoich miejscach, jeszcze miały knoty i oliwę od tego dnia, kiedy zostały wygaszone. Nie! Kongre wcale nie zniszczył urządzenia dioptrycznego latarni, chodziło mu jedynie o to, by uniemożliwić jej funkcjonowanie przez cały czas pobytu bandy w zatoce Elgor.

Zresztą, czyż był w stanie przewidzieć okoliczności, w jakich będzie zmuszony ją opuścić?

Ale oto latarnia płonie na nowo! Awizo może teraz bez trudu powrócić na swoje dawne miejsce postoju.

Na dole wieży rozległy się gwałtowne uderzenia. Bandyci rzucili się do drzwi, żeby dostać się na latarnię i wygasić światła. Wszyscy ryzykowali życiem, byle tylko opóźnić wejście "Santa Fé" do zatoki. Ani na tarasie, ani w mieszkaniu nie zastali nikogo. Tych, którzy się wdarli do pokoju wachtowego, nie mogło być zbyt wielu. Łatwo uda się ich pozabijać, a wtedy latarnia morska nie będzie wysyłać w ciemność nocy swoich niebezpiecznych promieni.

Jak wiadomo, drzwi znajdujące się w głębi korytarza były zrobione z grubej płyty żelaznej. Wyłamanie rygli zasuniętych od strony schodów było niemożliwe. Nie udało się także wyważyć drzwi łomami i siekierami. Carcante, który się do tego zabrał, zrozumiał to natychmiast. Po paru nieudanych próbach wrócił do Kongrego, który czekał z resztą kamratów wewnątrz ogrodu.

Co robić? Czy jest jakaś możliwość przedostania się aż do samej latarni? Jeżeli taki sposób nie istniał, to bandzie nie pozostawało nic innego, jak tylko ucieczka w głąb wyspy, żeby nie trafić w ręce kapitana Lafayate'a i jego załogi. Co zaś do powrotu na pokład szkunera, to na co by się to zdało? Zresztą, nie mieliby czasu... Nie ulegało wątpliwości, że teraz awizo znajdował się już w zatoce, w drodze do przystani.

Gdyby jednakże udało się zgasić latarnię, to "Santa Fé" nie tylko nie mógłby kontynuować rejsu, ale byłby zmuszony się wycofać, no a wtedy może szkuner zdołałby przepłynąć? Otóż był tylko jeden sposób na to, żeby zgasić światła latarni.

— Łańcuch piorunochronu! — krzyknął Kongre.

Istotnie, wzdłuż całej wieży biegł metalowy łańcuch, podtrzymywany co trzy stopy żelaznymi klamrami. Wspinając się od klamry do klamry na rękach, na pewno można będzie dostać się na galerię i może zaskoczy tych, którzy się znajdują w pomieszczeniu wachtowym.

Kongre postanowił spróbować tego ostatniego sposobu ocalenia. Przed nim poszli Carcante i Vargas. Obaj wdrapali się na przybudówkę, uchwycili się łańcucha i zaczęli po nim włączyć, mając nadzieję, że nikt ich nie zauważy wśród nocnych ciemności.

Wreszcie dotarli do balustrady, uczepili się jej poprzeczek... Już pozostawało tylko przełożyć nogę...

W tym momencie rozległy się dwa wystrzały z rewolweru.

John Davis i Vasquez czuwali w defensywie. Obaj bandyci, trafieni w głowę, puścili balustradę i zwalili się martwi na dach przybudówki.

Wtedy u podnóża latarni rozległy się gwizdki. To awizo wchodził do przystani. Jego syrena rzucała w powietrze ostre sygnały.

Czas był najwyższy na ucieczkę. Za parę minut "Santa Fé" stanie na kotwicy. Kongre i jego towarzysze, zrozumiaławszy, że nic im innego nie pozostaje, rzucili się w dół zboczem kopca i pobiegli w głąb wyspy.

W kwadrans później, gdy na rozkaz kapitana Lafayate'a opuszczano kotwicę na dno zatoczki, odzyskana szalupa latarników dobiła do okrętu kilkoma uderzeniami wiosła.

John Davis i Vasquez stanęli na pokładzie awiza.

ZAKOŃCZENIE

Awizo "Santa Fé" wioząc na swym pokładzie zmianę warty dla Wyspy Stanów, wypłynął z Buenos Aires dziewiętnastego lutego. Przy sprzyjającym wietrze rejs odbył się bardzo szybko. Silna burza trwająca blisko osiem dni nie rozprzestrzeniła się poza Cieśniną Magellana. Kapitan Lafayate nie odczuł zatem jej skutków, toteż przybył do portu przeznaczenia na kilka dni przed terminem. Gdyby zjawił się tu o dwanaście godzin później, szkuner byłby hen daleko i trzeba by zrezygnować z pogoni za bandą Kongrego.

Nim minęła noc, kapitan Lafayate został powiadomiony o zajściach, które się wydarzyły w ciągu tych trzech miesięcy w zatoce Elgor.

Tak, Vasquez przybył na pokład okrętu, ale nie było z nim kolegów, Felipego i Moriza. Jego obecnego towarzysza nikt nie znał, nikt nie wiedział, jak on się nazywa.

Kapitan Lafayate kazał im przyjść obu do swej kabiny i pierwsze jego słowa były:

— Latarnia została zapalona zbyt późno, Vasquez.

— Od dziewięciu tygodni nie funkcjonowała wcale! — odparł Vasquez.

— Od dziewięciu tygodni? Co to ma znaczyć? A pańscy dwaj towarzysze?

— Felipe i Moriz nie żyją! W trzy tygodnie po wyjściu stąd "Santa Fé" latarnia morska miała już tylko jednego strażnika, panie kapitanie.

Vasquez opowiedział o wszystkich wydarzeniach, jakie rozegrały się na Wyspie Stanów, przemilczając skromnie fakty, które jemu samemu przynosiły honor. Wtrącił się do rozmowy John Davis:

— Vasquez zapomniał panu powiedzieć, panie kapitanie — uzupełnił opowieść — że nasze obydwa pociski okazały się niewystarczające. Nie zważając na dziury wybite w kadłubie, "Maule" wyszedłby w morze jeszcze tego ranka, gdyby Vasquez, ryzykując życiem, nie dostał się na statek wplaw i nie wpakował ładunku z prochem pomiędzy ster a tylnicę. Prawdę mówiąc, nie uzyskał on spodziewanego efektu. Uszkodzenia były lekkie i piraci potrafili je naprawić w ciągu dwunastu godzin. Ale właśnie te godziny pozwoliły panu, panie kapitanie, zastać jeszcze szkuner w zatoce. Zawdzięcza to pan wyłącznie Vasquezowi. To on także rozpoznawszy awizo, wpadł na pomysł, żeby popędzić do latarni i ponownie zapalić w niej światło, które już tak dawno nie płonęło.

Kapitan Lafayate gorąco uściskał dłonie Johna Davisa i Vasqueza, którzy swoją zuchwałą interwencją sprawili, że "Santa Fé" mógł wyprzedzić odjazd szkunera, a potem opowiedział, w jakich to warunkach, na godzinę przed zachodem słońca, zorientował się, że znajduje się przed Wyspą Stanów.

Kapitan Lafayate zrobił pomiar tego ranka, więc był pewien pozycji. Okręt miał tylko trzymać kurs na przylądek San Juan, który powinien był się wyłonić przed nastaniem nocy.

Istotnie, w chwili kiedy zmrok zaczynał przyciemniać niebo, kapitan Lafayate zobaczył najzupełniej wyraźnie, jeśli nie wschodnie wybrzeże wyspy, to przynajmniej wznoszące się na dalszym planie wysokie szczyty górskie. Znajdował się w tym czasie o jakieś dziesięć mil od wyspy i liczył na to, że rzuci kotwicę w zatoce w dwie godziny później.

W tym to właśnie momencie "Santa Fé" został dostrzeżony przez Johna Davisa i Vasqueza. I w tej samej chwili Carcante, z wysokości latarni morskiej, zasygnalizował pojawienie się statku hersztowi bandy, ten zaś wydał natychmiast zarządzenie, żeby szykować się do odjazdu z całym pośpiechem, tak aby zdążyć wyjść z zatoki, nim do niej wejdzie "Santa Fé".

A tymczasem "Santa Fé" płynął dalej w kierunku przylądka San Juan. Morze było spokojne, ledwie dobiegały tu ostatnie poddmuchy wiatru z pełnego oceanu.

Rzecz jasna, że zanim Latarnia na Końcu Świata została zbudowana na Wyspie Stanów, kapitan Lafayate nigdy by nie popełnił tej nieostrożności, żeby zbliżyć się zbyt do lądu wśród nocy, a tym bardziej nie wchodziłby do zatoki Elgor, żeby rzucić kotwicę w przystani.

Ale przecież teraz zarówno wybrzeże, jak i zatoka były oświetlone, wobec czego kapitan nie uznał za potrzebne czekać do rana.

Awizo szedł zatem dalej na południowy zachód, a kiedy ciemności nocne zgęstniały, dotarł na odległość niecałej mili od wejścia do zatoki Elgor. Zatrzymał się tutaj pod małą parą, czekając aż zapłonie latarnia morska.

Minęła godzina. Na wyspie nie widać było najmniejszego światełka. Przecież kapitan Lafayate nie mógł popełnić omyłki co do położenia statku! Wszak przed nim otwierała się zatoka Elgor, a zatem znajdował się w zasięgu światła latarni... Tymczasem latarnia nie chciała zapłonąć!

Co mogli pomyśleć na pokładzie awiza? Tylko to, że coś się popsło w aparaturze. Może w trakcie ostatniej burzy, tak przecież gwałtownej, latarnia została rozbita, soczewki uszkodzone, lampy nie nadawały się do użytku. Nigdy nikomu nie przyszłoby do głowy, że trzech latarnicy zostali napadnięci przez bandę piratów, że dwaj spośród nich padli pod ciosami zbójców, a trzeci uciekł, żeby uniknąć losu towarzyszy.

— Nie wiedziałem, co robić — opowiadał kapitan Lafayate. — Panowała głęboka noc, nie mogłem przecież ryzykować wejścia do zatoki po ciemku. Musiałbym więc pozostać na morzu do samego brzasku. Moi oficerowie i cała załoga, wszyscy byliśmy śmiertelnie zaniepokojeni i przeczuwaliśmy jakieś nieszczęście. Wreszcie po dziewiątej latarnia się rozjarzyła! To opóźnienie mogło być spowodowane tylko wypadkiem. Kazałem zwiększyć parę, kierując się prosto na wejście do zatoki. W godzinę później “Santa Fé” do niej wchodził. W odległości półtorej mili od przystani spotkałem stojący na kotwicy szkuner, który wydawał się zupełnie opuszczony. Miałem już posłać na jego pokład paru ludzi, kiedy rozległy się strzały, i to strzały dobiegające z galerii latarni morskiej! Zrozumieliśmy, że nasi latarnicy zostali napadnięci, że się bronią, i to, prawdopodobnie, przed załogą szkunera. Kazałem uruchomić syrenę, żeby przestraszyć napastników... no i w kwadrans później “Santa Fé” był już na miejscu.

— W samą porę, panie kapitanie — powiedział Vasquez.

— To byłoby niemożliwe — odpowiedział mu kapitan Lafayate — gdyby pan nie zaryzykował własnym życiem, żeby zapalić latarnię. O tej porze szkuner byłby już na morzu. Nie zauważylibyśmy go zapewne u wylotu zatoki i piracka banda nam by się wymknęła.

Cała ta historia lotem błyskawicy rozniosła się po statku i nie szczędzono gorących gratulacji zarówno Vasquezowi, jak i Johnowi Davisowi.

Noc minęła spokojnie i nazajutrz Vasquez poznał trzech latarników, których “Santa Fé” przywiózł na Wyspę Stanów jako zmianę warty.

Nie trzeba dodawać, że w ciągu nocy silny oddział marynarzy został wysłany na szkuner, żeby nim zawładnąć. Gdyby nie to, Kongre na pewno usiłowałby się na niego załadować i korzystając z odpływu, szybko dotarłby na ocean.

Żeby zapewnić bezpieczeństwo nowym latarnikom, kapitan Lafayate miał teraz niezwykle ważne zadanie do wykonania: oczyścić wyspę z bandytów, którzy się tam zagnieździli; było ich teraz, po śmierci Carcatego i Vargasa, trzynastu, licząc w tym zawiedzionego w swych nadziejach herszta. Z uwagi na rozległość wyspy istniała obawa, że pościg może potrwać długo, a nawet zakończyć się niepowodzeniem. W jaki bowiem sposób załoga “Santa Fé” zdołałaby przeszukać wszystkie zakątki?

Z całą pewnością Kongre ze swoimi kamratami nie popełni nieostrożności, żeby powrócić na Przylądek Św. Bartłomieja, gdyż tajemnica jego pierwszej meliny mogła być poznana. Ale mieli oni do swojej dyspozycji pozostały teren wyspy, zatem całe tygodnie czy nawet miesiące mogą upłynąć, nim szajka zostanie wyłapana co do jednego. A wszak kapitan

Lafayate nigdy by się nie zgodził opuścić Wyspy Stanów, nim jego strażnicy nie będą całkowicie zabezpieczeni przed wszelką napaścią i nim nie zapewni się prawidłowego funkcjonowania latarni morskiej.

Co prawda była jedna okoliczność mogąca doprowadzić do szybszych efektów: Kongre i jego kamracy pozostali bez zasobów żywności. Nie mieli już bowiem żadnej rezerwy, ani w pieczarze na Przylądku Św. Bartłomieja, ani w grocie położonej w zatoce Elgor.

Kapitan Lafayate, zaprowadzony do tej ostatniej groty przez Vasqueza i Johna Davisa, stwierdził nazajutrz z samego rana, że nie było w niej najmniejszych zapasów ani w sucharach, ani w peklowiznie, ani w żadnych konserwach. Wszystkie artykuły żywnościowe zostały przeniesione do ładowni szkunera, który marynarze z awiza sprowadzili z powrotem do przystani.

W grocie piraci zostawili tylko przedmioty nie przedstawiające większej wartości, pościel, ubranie i narzędzia, które marynarze z "Santa Fé" złożyli w budynku mieszkalnym przy latarni. Gdyby nawet Kongre powrócił w nocy do dawnej składnicy swoich łupów, nie znalazłby tam żadnych produktów mogących służyć jako pożywienie dla jego bandy. Herszt nie miał chyba nawet broni myśliwskiej do swojej dyspozycji, zważywszy na ilość karabinów i odpowiedniej amunicji wykrytej na pokładzie "Carcante". Musiałby zadowolić się tylko plonem rybołówstwa. W takich warunkach albo będzie zmuszony się poddać, albo niebawem wszyscy bandyci zginą z głodu.

A tymczasem przystąpiono niezwłocznie do poszukiwań. Uformowano oddziały marynarzy pod dowództwem oficerów lub bosmanów i skierowano je do centrum wyspy oraz na jej wybrzeże. Kapitan Lafayate wyprawił się nawet na Przylądek Św. Bartłomieja, ale tam nie znaleziono ani śladu szajki.

Minęło kilka dni, ale nikt nie zauważył ani jednego pirata, aż dopiero rankiem dziesiątego marca do zagrodzenia latarni weszło siedmiu nędznych mieszkańców Ziemi Ognistej, bladych, wychudzonych, u kresu sił, wygłodniałych. Przewieziono ich na pokład "Santa Fé", gdzie dano im jeść, a potem umieszczono tak, że wszelkie próby ucieczki na nic by się nie zdały.

Po dalszych czterech dniach pierwszy oficer Riegal, który przepatrywał południowy brzeg w okolicach przylądka Webster, odkrył tam pięć trupów, wśród których Vasquez zdołał jeszcze rozpoznać dwóch Chilijczyków należących do szajki.

Znalezione wokół nich na ziemi odpadki pozwoliły stwierdzić, że odżywiali się rybami i skorupiakami, ale nigdzie nie dostrzeżono śladu ogniska ani wypalonych węgielków, ani popiołu. A zatem bandyci nie mieli już żadnej możliwości rozniecenia ognia.

Wreszcie następnego wieczora, chwilę przed zachodem słońca, wśród skał okalających zatokę, w odległości niespełna pięciuset metrów od latarni ukazał się jakiś człowiek.

Było to prawie w tym miejscu, skąd John Davis i Vasquez obserwowali szkuner z obawą, że odpłynie w przeddzień przybycia awiza, tego dnia, kiedy Vasquez zdecydował się zaryzykować swoją ostatnią próbę.

Tym mężczyzną był Kongre.

Vasquez, który przechadzał się po zagrodzonym terenie z nowymi latarnikami, rozpoznał go natychmiast i krzyknął:

— To on! To on!

Na ten krzyk kapitan Lafayate, który krążył po wybrzeżu razem ze swoim zastępcą, natychmiast znalazł się przy latarni.

Nadbiegli Davis i paru marynarzy. Z tarasu mogli zobaczyć bandytę, jedyne pozostałego przy życiu członka szajki, jej herszta.

Po co on tu przyszedł? Dlaczego pokazywał się im tak otwarcie? Czyżby miał zamiar się poddać? Chyba nie powinien był mieć najmniejszych wątpliwości co do losu, jaki go

oczekiwał. Zostanie zawieszony do Buenos Aires i zapłaci gardłem za swój żywot pełen rabunków i zabójstw.

Nie spuszczać oka z przystani Kongre stał nieruchomo na wznoszącej się ponad inne skały, o którą morze rozbijało się łagodnie, ze wzrokiem wbitym w przystań. W pobliżu awiza mógł zobaczyć szkuner, który pomyślny los zesłał mu na Przylądek Św. Bartłomieja, a który los przeciwny mu odebrał. Jakie ponure myśli musiały kłębić się w jego głowie! Na pewno robił sobie gorzkie wyrzuty.

Gdyby nie przybycie awiza, byłby już od dawna na wodach Pacyfiku, gdzie zdołałby z łatwością uniknąć wszelkich poszukiwań i zapewnić sobie bezkarność.

Jak można się łatwo domyślić, kapitan Lafayate chciał wziąć go żywcem. Wydał rozkaz i pierwszy oficer Riegal wraz z pół tuzinem marynarzy wymknęli się poza ogrodzenie, żeby dotrzeć do bukowego lasku, a stamtąd, kryjąc się za barierą skał, dopaść bandyty. Vasquez prowadził ten oddziałek na skróty.

Nim uszli ze sto kroków, poza ogrodzeniem, rozległ się odgłos strzału i jakieś ciało zważyło się ze skały do morza, wśród rozbryzgującej się piany.

Był to Kongre, który wyciągnął zza pasa rewolwer i przyłożył go sobie do skroni. Ten nędznik sam sobie wymierzył sprawiedliwość, a odpływ pociągnął jego zwłoki na pełny ocean.

Takie oto rozwiązanie znalazła tragedia, jaka się rozegrała na Wyspie Stanów.

Nie trzeba chyba dodawać, że począwszy od nocy trzeciego marca latarnia morska funkcjonowała bez przerwy. Nowi latarnicy zostali poinstruowani przez Vasqueza, jak mają pełnić swoją służbę.

Z całej szajki piratów nie pozostał na wyspie ani jeden. John Davis i Vasquez zamustrowali na awizo, który powracał do Buenos Aires; stąd John Davis miał być odwieziony do Mobile, gdzie na pewno oczekiwała go nominacja na kapitana, na co zresztą zasługiwał z uwagi na swoją energię, odwagę i inne zalety.

Co do Vasqueza, to powracał on do rodzinnego miasta, żeby wypocząć po ciężkich doświadczeniach losu, które zniósł z takim, męstwem. Ale powracał sam, jego biedni koledzy nie mogli mu towarzyszyć.

Popołudniem osiemnastego marca kapitan Lafayate, pewien teraz już bezpieczeństwa swoich nowych latarników, dał sygnał odjazdu. Gdy odpływał z zatoki, słońce właśnie zachodziło.

Na wybrzeżu rozbłysło światło, a jego odbłask zatańczył w śladzie okrętu, który, oddalając się po ściemniałym morzu, zdawał się unosić z sobą kilka promieni rzucanych znowu szczerze przez Latarnię na Końcu Świata.

KONIEC